

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



Andrzej Samson

**MIT SZCZĘŚLIWEGO  
DZIECIŃSTWA**

Projekt okładki i serii  
MAŁGORZATA ŚLIWIŃSKA

Edytor  
ELŻBIETA JASZTAŁ-KOWALSKA

Opracowanie redakcyjne  
BARBARA BRZEZIŃSKA

Korekta  
ROMA SACHNOWSKA

© Copyright by Andrzej Samson

© Copyright by Wydawnictwo Książkowe  
Twój Styl Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze  
Warszawa 2000  
ISBN 83-7163-171-5  
Zapraszamy do księgarni internetowej  
[www.twojstyl - ksiazki.com.pl](http://www.twojstyl - ksiazki.com.pl)

Typografia, skład i łamanie WMC s.c., Warszawa  
Druk i oprawa XYZ

## Słowo od autora

*Każdy z nas, mniej lub bardziej dokładnie, pamięta historię swojego życia, oprócz jej pierwszego rozdziału, czyli dzieciństwa. Stanowi ono prawie jedną czwartą przeciętnego ludzkiego życia i formalnie trwa około 6570 dni. W rzeczywistości jednak dziećmi jesteśmy tylko przez około 4745 dni. Reszta to okres młodości. Z tych 4745 dni, czyli z blisko 57 000 godzin przeżytych w stanie czuwania, pamiętamy zaledwie nieco mniej niż 400. Reszta tonie „w mrokach niepamięci”. Do piątego roku życia praktycznie nie pamiętamy nic. Potem pojawiają się niejasne, migawkowe przebłyski wspomnień, później niewielkie wyspy pamięciowe, porozdzielane rozległymi obszarami zapomnienia, i dopiero gdzieś około dwunastego roku życia mamy już prawdziwe wspomnienia, też jednak pełne czarnych dziur amnezji.*

*To, co piszę, zapewne kłóci się z doświadczeniami wielu z was. Na ogół bowiem ludziom wydaje się, że pamiętają czasy, kiedy byli dziećmi, i że był to okres beztrudnej szczęśliwości, bo przecież tak kojarzy się dzieciństwo. W rzeczywistości najczęściej pamiętamy zasłyszane znacznie później opowieści*

rodziców, dziadków i innych członków rodziny o tym, jak byliśmy mali. Historia każdego życia ludzkiego, tak jak historie narodów i państw, ma swoją prehistorię będącą rodzajem baśni o pradawnych czasach.

Jednak ci, którzy z pewną nieufnością odnieśli się do mojej tezy mówiącej, że z dzieciństwa bardzo niewiele pamiętamy, w pewien sposób mieli rację. Nauka udowodniła jej fałszywość. Freud, Penfield, Hebb i inni badacze stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że zapamiętane, czyli utrwalone i przechowane w strukturach mózgu, zostaje niemal wszystko, co przeżyliśmy od momentu narodzin, a może jeszcze wcześniej.

Freud, stosując hipnozę, a potem metodę wolnych skojarzeń, potrafił u swoich pacjentów wydobyc z mroków amnezji szczegółowe wspomnienia sięgające okresu niemowlęctwa. Później udowodniono, że stosując hipnozę, można, przynajmniej u niektórych ludzi, wywołać przypomnienia obejmujące nawet moment porodu.

Potem Penfield, neurochirurg, który po otwarciu czaszki wybudzał pacjentów z narkozy (mózg nawet krojony skalpelem nie boli, bo nie ma w nim nerwowych zakończeń bólowych) i drażnił słabym prądem różne okolice mózgu celem zlokalizowania ognisk epileptycznych, stwierdził, że pobudzenie pewnych struktur mózgowych powoduje wystąpienie u przytomnych pacjentów niezwykle żywych wspomnień, między innymi z okresu bardzo wczesnego dzieciń-

stwa, których w normalnych warunkach nigdy sobie nie przypominali. Były one tak intensywne, że opisujący je ludzie mieli wrażenie, iż są aktualnie w tamtych sytuacjach. Tego rodzaju badania – które były i są kontynuowane – pozwoliły ustalić, że w jakiś sposób (do dziś tak naprawdę nie wiemy, na czym on polega), w tkance mózgowej, jak na dysku komputera, zostało zapisane prawdopodobnie wszystko, co przeżyliśmy.

A więc dzieciństwo nie tyle zostaje zapomniane, ile usunięte, wyeliminowane z naszej świadomości i przeniesione do swoistej sfery psychicznej, którą Freud nazwał podświadomością.

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego natura wykreśliła nam ze świadomości całe partie fundamentalnych wspomnień o kształtowaniu się naszego człowieczeństwa i osobowości?

Najprawdopodobniej jest tak dlatego, że życie z tymi wspomnieniami w całej ich intensywności byłoby zbyt trudne. Wiele wskazuje na to, że okres dzieciństwa ma niewiele wspólnego z beztroską, radością i szczęściem. Wręcz przeciwnie. Jest to przypuszczalnie najbardziej bolesny i trudny okres w życiu człowieka. Choć zdarzają się w nim chwile pogodne i spokojne, dzieciństwo jest przeważnie ponurym, niekończącym się koszmarem. Niewykluczone, że już nigdy potem istota ludzka nie przeżywa takich napięć emocjonalnych, lęku, bezradności i bólu, jak wtedy, gdy zmagają się z nieposłuszeństwem swego ciała, z grawitacją, z obcością otaczających ją rze-

czy, z koniecznością nawiązania kontaktu z innymi ludźmi, z osamotnieniem i z wszechogarniającym strachem. Dziecko rodzi się z krzykiem i płaczem najprawdopodobniej dlatego, że rozpoczęcie samodzielnego funkcjonowania przez jego organizm związane jest z fizycznym bólem. Noworodka i wczesne niemowlę boli wszystko, kiedy jego maleńkie organy podejmują swoje skomplikowane działanie. Jak niedotarty silnik jego ciało z oporem i zgrzytami mozolnie nabiera właściwego rytmu. Potem przychodzi czas zmagania się z siłą ciężenia, z oporem rzeczy i z bezradnością, kiedy nic nie jest po słuszne jego woli. W dowolnych chwilach bywa podnoszone, przestawiane, przesuwane, podrzucane, łaskotane i ugniatane. Bez względu na jego potrzeby bywa karmione, pojone i pieszczone. Jego chęci i upodobania są brane pod uwagę w minimalnym stopniu, nawet wtedy, gdy umie je już wypowiedzieć. Bardzo długo nie rozumie, czego od niego chce świat, a świat nie rozumie, czego ono chce od niego. Nie może i nie umie być samo, ale też nie umie być z innymi ludźmi, poza chwilami bliskości z matką czy ojcem. Cały czas czuje, że wszyscy, mimo zachwyków i wyrazów miłości, są w jakiś sposób z niego niezadowoleni, ponieważ na każdym kroku poprawiają je, pouczają, wyręczają albo przymuszają, bo ono generalnie nie radzi sobie, nie nadąża, nie wyrabia się.

A później? Czy pamiętacie intensywność cierpienia po przegranej rywalizacji o zabawkę w przed-

szkolu? Albo głębiej rozpaczy po zdradzie najbliższej przyjaciółki w podstawówce?

Natura za pomocą amnezji uwolniła nas od bagażu tych wszystkich wspomnień i znalazła jeszcze jeden sposób na ich zneutralizowanie – idealizację. Sprawiała, że pozostają nam w pamięci tylko te lepsze wspomnienia. Te gorsze łądzą w lamusie podświadomości, dzięki czemu wydaje nam się, że bycie dzieckiem to okres spokojnej beztroski i zadowolenia.

Dzieciństwo jest fundamentem dorosłości i podobnie jak fundament wyznacza bryłę domu, tak i ono wpływa na kształt naszego życia. Głębsze zrozumienie zachowania się, sposobu myślenia czy motywów działania człowieka nie jest możliwe bez znajomości i zrozumienia jego dzieciństwa. Nie można też zrozumieć dziecka, nie wiedząc, czym w istocie jest jego pozornie pogodna i szczęśliwa egzystencja, nie rozumiejąc zaś, nie można go prawidłowo wychowywać i skutecznie edukować. Niniejsza książka jest próbą przedstawienia dzieciństwa takim, jakim prawdopodobnie ono jest, co powinno się przyczynić do pełniejszego zrozumienia dziecka, a tym samym usprawnienia jego wychowania i edukacji. Napisałem ją przede wszystkim dla rodziców, aby pomóc im w uwolnieniu się od stereotypu patrzenia na swoje potomstwo jak na zadowolone, nieco bezmyślne aniołki, które przeżywają właśnie swój najszczęśliwszy w życiu okres. Tymczasem fizyczna kondycja dziecka, jego sytuacja psychologiczna i



*położenie społeczne przez długie okresy są dla niego źródłem dojmującego cierpienia i niemal stałego psychicznego napięcia. Niedojrzała, formująca się dopiero dziecięca psychika jest wyjątkowo wrażliwa na niezliczone, spadające na nią urazy, których część wywoła odległe skutki trwające nieraz przez całe życie. Zrozumienie otaczającej dziecko materialnej i ludzkiej rzeczywistości wymaga od niego pracy, wysiłku i napięć, jakich później nigdy już nie będzie musiało doświadczać, i z którymi mało co, w dojrzałym życiu, daje się porównać. I tak dalej. Doprawdy, nie jest lekko być dzieckiem.*

*Za wszystko, co w tej książce napisałem, ponoszę naturalnie całkowitą odpowiedzialność, chociaż, jak zwykle, korzystałem z wielu lektur. Dziękuję też wszystkim rodzicom moich małych i większych pacjentów oraz im samym za to, co pozwolili mi zobaczyć i czego się od nich nauczyłem.*

Część I

## Oblicza koszmaru

*O, biedne dziecko, cóż ci uczyniono?*  
Goethe



# 1. Dziecko – kto to jest?

## **Głupie pytanie**

Co tu dużo gadać? Dziecko, jakie jest, każdy widzi – sparafrazowałby w tym miejscu niejeden z nas nieśmiertelne zdanie księdza Chmielowskiego o koniu\*. No bo jakże inaczej? Każdy przecież wie, kto to jest dziecko i jak ono wygląda w różnych okresach życia. Zdaje sobie sprawę z tego, że dziecko rośnie od niemowlaka poprzez malucha, dzieciaka, подростка, nastolatka aż do prawie dorosłego młodzieńca czy dziewczyny. Każdy też zazwyczaj pamięta, jak dziecko w tych różnych stadiach swego życia się zachowuje, jak się ubiera, co je itd. Jednym słowem, wszyscy mamy poczucie, że po prostu wiemy, kto to jest dziecko, tak jak wiemy, co to jest koń, śnieg, łyżka czy kalafior. Jesteśmy też przeświadczeni, że zawsze, wszędzie i każdy takie oczywiste rzeczy wie, bo widział mnóstwo dzieci i koni, jadł kalafiora, lepił kule ze śniegu i używał łyżki. Nad definicjami rzeczy i zjawisk powszechnych,

---

\* Koń, jaki jest, każdy widzi. *Nowe Ateny*, 1745–1746.

ustawicznie w naszym życiu obecnych, zazwyczaj się nie zastanawiamy. Jeśli zaś czasami zdarzy się nam nad nimi podumać, przekonujemy się, że definicje te wcale nie są takie proste, a oczywistości oczywiste. No bo tak naprawdę, co to jest łyżka albo dlaczego śnieg jest biały, a nie, powiedzmy, szary, dlaczego deszcz pada kropelkami, a nie strumyczkami, co to znaczy, że woda jest mokra itd. Podobnie jest z dzieckiem. Niby wszystko wiemy i wszystko jest oczywiste, bo przecież sami byliśmy dziećmi, mamy swoje dzieci albo mamy je w rodzinie, ale tak naprawdę, to kto to jest dziecko?

### **Kwestia wieku**

Fakt, że dziecko jest człowiekiem, potomkiem ludzkim – zawsze synem albo córką – jest w rzeczy samej oczywistością. Ale do kiedy (bo od kiedy z grubsza wiadomo) ów ludzki potomek ma prawo nazywać się dzieckiem, już wcale oczywiste nie jest. Oto bowiem podręczna encyklopedia\* stwierdza, że jest to „człowiek od urodzenia do wieku młodzieńczego, w okresie intensywnego wzrastania”. *Słownik współczesnego języka polskiego* mówi zaś, iż dziecko to „człowiek od urodzenia do okresu dojrzewania”. Wiek młodzieńczy, jak się powszechnie uważa, to czas pomiędzy 16 a 20 rokiem życia, natomiast okres dojrzewania rozpoczyna się (statystycznie rzecz biorąc) pomiędzy 13 a 14 ro-

---

\* *Mała encyklopedia powszechna*, PWN, Warszawa 1997.

kiem życia. Tym sposobem jedno źródło definiuje jako dziecko człowieka od urodzenia do (w przybliżeniu) 18-20 roku życia, a drugie skraca ten okres, twierdząc, że jest to człowiek od urodzenia do (znów średnio rzecz biorąc) 14-15 roku życia. Wynika z tego, że podzielane na ogół przez nas zaufanie księdza Chmielowskiego do tego, co się widzi, naukowo rzecz biorąc, jest mało uzasadnione. Jeszcze bardziej owo zaufanie podważa *Encyklopedia powszechna PWN\**, twierdząc, że dziecko to „człowiek w pierwszym okresie postnatalnego rozwoju osobniczego (ontogenezy), od chwili urodzenia do zakończenia procesu wzrastania; odznacza się intensywną przemianą materii, w której procesy syntezy składników chemicznych organizmu przeważają nad procesami ich rozpadu” itd. w tym duchu. Tu już zupełnie nie można mieć zaufania do swoich oczu, bo procesu syntezy czy rozpadu chemicznych składników organizmu nie widać, a młodzi ludzie coraz częściej, przerósłszy w wieku 16-17 lat rodziców, rosną dalej nieraz do dwudziestu, a nawet więcej lat. Póki zaś człowiek rośnie – jest dzieckiem, przynajmniej według *Encyklopedii PWN*.

*Encyklopedia Britannica\*\** stara się połączyć wszystko razem, twierdząc, że dziecko to człowiek w pierwszym okresie rozwoju postnatalnego, który trwa od momentu narodzenia do wieku młodzień-

---

\* PWN, Warszawa 1973.

\*\* Wydawnictwo Kurpisz, Poznań 1996.

czego (kończącego okres wzrastania). Okres ten obejmuje fazy: niemowlęcą, poniemowlęcą, wczesnego dzieciństwa, wczesnoszkolną i adolescencji, czyli dojrzewania, przy czym adolescencja trwa od 11 do 18 roku życia. Jak by więc nie patrzeć, dzieckiem – według *Britanniki* – jesteśmy od urodzenia do 18 roku życia, chociaż dzieciństwo (trudno zrozumieć dlaczego) definiuje ona jako „okres biegu życia między niemowlęctwem a adolescencją, rozciągający się od 0,5 do 12-13 roku życia”. Widać – zdaniem autorów *Britanniki* – można być dzieckiem, nie będąc jednocześnie w okresie dzieciństwa, co permanentnie przydarza się wszystkim dzieciom czteromiesięcznym czy czternastoletnim.

Najbardziej stanowczo i jednoznacznie na interesujący nas temat wypowiada się *Praktyczny słownik współczesnej polszczyzny\**, twierdząc, że dziecko to „człowiek od urodzenia do wieku młodzieńczego, czyli, w zależności od płci i warunków bytowych, do 15 roku życia”. Niejasna jest tylko owa zależność od płci i warunków bytowych. Skoro, tak czy inaczej, wiek młodzieńczy kończący dzieciństwo zaczyna się w 15 roku życia, to gdzie tu zależność? Gdyby, przykładowo, warunki bytowe (gorzej z płcią) powodowały, że u niektórych dzieci okres młodzieńczy zaczynałby się w 11 albo w 10 roku życia, to można by mówić o zależności. Tu jednak mamy twardo zakreśloną granicę 15 lat. Autorzy hasła najwyraźniej utożsamiają (do pewnego stop-

---

\* Wydawnictwo Kurpisz, Poznań 1997.

nia słusznie) początek okresu młodzieńczego z dojrzewaniem płciowym, które np. u dziewcząt następuje wcześniej niż u chłopców i które może być opóźnione przez złe warunki bytowe poza tę granicę. Ale z drugiej strony, współcześnie obserwuje się znaczne przyspieszenie dojrzewania płciowego; u dziewcząt coraz częściej następuje ono nawet w 9-10 roku życia, a u chłopców w 12-13, ten zaś wiek trudno raczej uznać za młodzieńczy. Niemniej, przyjęcie piętnastego roku życia jako przeciętnego statystycznie początku dojrzewania płciowego wydaje się uzasadnione. Tak więc, według *Praktycznego słownika współczesnej polszczyzny*, dzieciństwo to okres od narodzin do okresu dojrzewania płciowego, co z punktu widzenia kryterium księdza Chmielowskiego jest już lepszą definicją, bo niektóre objawy owego dojrzewania rzeczywiście można zobaczyć.

Jak widać, naukowe źródła, mimo pewnych rozbieżności, są zgodne przynajmniej co do tego, że dziecko to człowiek w pierwszym stadium swego życia, które rozpoczyna się narodzinami. Autorzy encyklopedii i słowników najwyraźniej nie uważają za dziecko płodu ludzkiego w żadnej fazie jego rozwoju i za początek egzystencji dziecka przyjmują jego narodziny. Być może jest to pogląd arbitralny, ale naukowo obowiązujący. Podobnie arbitralny, choć jak najbardziej obowiązujący, jest pogląd prawników mówiący, że formalnie, w Polsce, dzieckiem, czyli człowiekiem nie będącym osobą prawną



i nie posiadającym pełni praw obywatelskich, jest się od urodzenia do 18 roku życia. W tej książce przyjęliśmy – wspartą intuicyjnym odczuciem – definicję dziecka jako człowieka od narodzin do piętnastego roku życia, jako że szesnastoletni młodzieniec czy dziewczyna, w powszechnym odczuciu, dzieckiem już tak do końca nie jest.

### **Mały dorosły**

Przyjęcie do wiadomości przez świat dorosłych faktu, że dziecko jest jednostką o specyficznych właściwościach emocjonalnych i intelektualnych, której rozwój przebiega wedle określonych reguł, nastąpiło zaledwie 150-200 lat temu, chociaż „odkrycie” pewnych aspektów specyfiki dzieciństwa nastąpiło pod koniec XVI wieku. Ludzie starożytności i średniowiecza nie mieli poczucia ani odrębności dzieciństwa, ani odmienności świata dzieci w stosunku do świata dorosłych. Dziecko było dla nich miniaturą dorosłego, pozbawioną, z racji krótkości przeżytego czasu, jego rozumu, władzy sądu, siły i doświadczenia. Za dzieciństwo uważano tylko ten okres, kiedy potomek nie mógł się obejść bez stałej opieki i pomocy dorosłych. Gdy tylko stanął pewniej na nogach i potrafił sięgnąć do wspólnej miski po jedzenie, zaczynała się dorosłość. Dziecko w pełni uczestniczyło w życiu dorosłych, dzieląc z nimi pracę, odpoczynek i zabawę, a nawet, w dobie wspólnych izb i postać, wiele aspek-

tów intymności i seksu. Najwcześniej, jak się dało, było oddawane przez rodziców do terminu lub na służbę, gdzie dorastało, ucząc się jednocześnie życia i zawodu bądź określonych umiejętności. Kilku-letnich terminatorów, służących, „chłopców do wszystkiego”, paziów, koniuchów, doboszy w armii i innych tego rodzaju „zawodowców” spotyka się w dokumentach, począwszy od starożytności.

Więzi uczuciowe z rodziną odgrywały minimalną rolę. Dzieci było dużo i więcej niż połowa z nich wczesnie umierała. Były więc w rodzinie niejako „zastępowalne”. Jeśli któreś ginęło jako niemowlę, to wkrótce pojawiało się następne albo było już na świecie inne, niewiele starsze od zmarłego, tak że do tamtej śmierci nie przywiązywano szczególnej wagi, chowając kolejne „niewiniątka” w ogródku czy pod ścianą domu bez specjalnych ceremonii. Grobowce czy w ogóle groby dzieci spotyka się dopiero w XIV wieku, a i to umieszczone na nich inskrypcje (jak podaje Philippe Ariès w swojej arcy-ciekawej, choć – niestety – nudno i rozwlekle napisanej *Historii dzieciństwa*) wymieniały, na ogół, jedynie nazwisko ojca i, ewentualnie, płeć dziecka, nic nie wspominając o jego wieku ani nawet o imieniu. Małe dziecko było bowiem w średniowieczu anonimowe. Był to potencjalny dorosły, który nie objawił jeszcze swojej dorosłości, a więc nie istniał jako indywiduum. Pewnie dlatego średniowieczne wizerunki dzieci, rzadko zresztą spotykane, to miniatury dorosłych. Mają twarze, umięśnienie i pro-

porcje ciała dorosłych, tyle że są mali. Dotyczy to także niemowląt. Na trzynastowiecznym obrazie, który widziałem w Jerozolimie, przedstawiającym bodajże św. Bonawenturę, jest on malutkim mężczyzną odzianym w mnisi habit i siedzącym na kolanach matki. Habit służy, oczywiście, podkreśleniu, że będąc niemowlęciem, już zdradzał oznaki świętości.

Od dziecka, jako od niedoskonałego dorosłego, oczekiwano, że jak najszybciej pozbędzie się słabości dzieciństwa i podejmie przypisane mu role społeczne. Dlatego, jak się zdaje, starożytność i średniowiecze nie znały właściwie pojęcia młodzieńczości w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Po okresie dziecięcej zależności od rodziców następowała niemal natychmiastowa dorosłość, ze wszystkimi jej konsekwencjami. Czternastoletni Rzymianin przywdziewał uroczyście męską togę i stawał się, jak Juliusz Cezar, głową potężnego rodu i przywódcą znaczącego stronnictwa politycznego. Szesnastoletni Neron został cesarzem Imperium Rzymskiego, piętnastoletnia Joanna d'Arc dowodziła armią, tyle samo lat miał jeden z Kondeuszy, kiedy dowodząc Francuzami, zginął pod Rocroy w bitwie z angielskim regimentem, czternastoletni Ludwik XIV, niemal na oczach całego dworu, musiał spełnić „obowiązek małżeński” ze swą jeszcze młodszą żoną. I tak dalej. Nastoletnie, a nawet jeszcze młodsze żony i matki były zresztą wtedy rzeczą normalną, jako że gotowość dziewcząt do małżeństwa

wyznaczało osiągnięcie dojrzałości płciowej, a i to nie zawsze. Historia odnotowała np. , że król Anglii, Henryk II Plantagenet, jako pięćdziesięcioletni mężczyzna zakochał się w swej niespełna dziesięcioletniej synowej Alison, uwiódł ją i żył z nią jak z żoną, przy czym bynajmniej nie miano mu za złe wieku kochanki, ale fakt, że odebrał żonę synowi i trwał w cudzołóstwie. Można się więc spodziewać, że żony i kochanki w wieku Alison nie były wtedy rzadkością.

Młodzieńczość i młodość, w znaczeniu „okresu przejściowego” pomiędzy dzieciństwem a dorosłością, kiedy młodemu człowiekowi przysługują jeszcze pewne specjalne prawa i opieka ze strony dorosłych, to późniejsze wynalazki. Bycie dzieckiem (czyli pierwsze 6-10 lat życia) w średniowieczu, a nawet dużo później, sprowadzało się do walki o przeżycie przy niewielkim zainteresowaniu i trosce dorosłych. Nie znaczy to oczywiście, że nie istniały wtedy miłość rodzicielska i miłość dzieci do rodziców. Małe dzieci zapewne zawsze budziły, szczególnie w matkach, czułość i opiekuńczość, ale raczej nie uzewnętrzniano ich. Rodzina była zbyt zajęta „dorosłymi” sprawami i „obrabianiem” swojego (jaki by on nie był) majątku, aby znajdować czas na igraszki z dzieckiem i w dodatku uważać, że są one do czegoś potrzebne albo ważne. W tej surowej i praktycznej epoce prawdopodobnie nie widziano w takich zajęciach najmniejszego sensu. Dopiero w XVII i XVIII w. ludzie nauczyli się rozpoznawać i

ujawniać uczucia miłości, rozczulenia i swoistej rozkoszy, jakiej może dostarczyć obcowanie z dziećmi, jak też dostrzegać, że uczuciowe relacje w rodzinie wpływają prawie na wszystko, co się w niej dzieje, a przede wszystkim na kształtowanie się charakteru i usposobienia dziecka. Wtedy też dokonała się zasadnicza zmiana obyczajowa polegająca na zastąpieniu terminowania nauczaniem zorganizowanym w systemie szkolnym. Dzieci przestały przebywać wśród dorosłych i bezpośrednio uczyć się od nich życia. Zaczęły być od dorosłych odłączane i izolowane do czasu, kiedy – w ocenie społecznej – będą gotowe do podjęcia samodzielnego życia. Ten proces trwa do dziś. Chodzenie do szkoły, czyli podleganie celowemu, zorganizowanemu nauczaniu, staje się na wiele lat najważniejszym obowiązkiem dziecka, na którym koncentruje się uwaga rodziny. Pojawiają się uczucia rodzinne, początkowo w postaci zainteresowania postępami potomka w szkole, a potem dzieckiem jako takim, jako samodzielnym bytem, jednostką i osobą. Dziecko przestaje być anonimowe, ponieważ dorośli spostrzegają, że bywa ono nosicielem unikatowych, tylko jemu właściwych zdolności i talentów albo sprawia tylko sobie właściwe kłopoty i nie można go zastąpić bratem czy siostrą.

Oddzielenie dzieci od dorosłych sprzyjało rozwojowi więzi rodzinnych i rodzinnego życia, chociaż z drugiej strony doprowadziło i wciąż doprowadza do coraz większej rozbieżności pomiędzy

światem dzieci a światem dorosłych. Dzisiaj można śmiało powiedzieć, że w kręgu cywilizacji zachodu istnieje i rozwija się odrębna od kultury dorosłych podkultura dziecięco-młodzieżowa ze swoim językiem, obyczajami, wartościami, wzorcami zachowania się, rozrywkami, religiami i obrzędami. Tylko na jej potrzeby pracuje olbrzymi przemysł i wciąż rozwijająca się sieć usług zaspokajających potrzeby niejednokrotnie dla dorosłych zupełnie niepojęte, bowiem obu podkulturom coraz trudniej się ze sobą porozumieć, a więzi uczuciowe pomiędzy dziećmi a rodzicami stały się skomplikowane i niejednoznaczne. I choć miejsce dziecka w społeczeństwie uległo w stosunku do przeszłości całkowitej zmianie, a wiedza o nim stała się wysoce wyspecjalizowanymi gałęziami psychologii, medycyny, pedagogiki, socjologii i kilku jeszcze nauk, to jego życie wcale nie stało się ani łatwiejsze, ani szczęśliwsze niż dawniej.

Dziecko, jakie jest, każdy widzi, ale na pewno nie każdy wie, kto to jest, jak żyje, co przeżywa i co czuje.

### **Bardzo niedoskonały dorosły**

W 1762 r. Jan Jakub Rousseau opublikował rozprawę pod tytułem *Emil*. Była to rzecz o dziecku, wychowaniu i rodzinie, mająca przełomowy charakter, ponieważ autor, po raz pierwszy tak zdecydowanie i przekonująco, kładł w niej nacisk na zna-

czenie rodzinnych więzów uczuciowych, gloryfikował miłość macierzyńską i opisywał dziecko jako twór natury, matki wszystkiego, co dobre i pożądane. Była to książka epokowa, która wywarła i wywiera do dziś ogromny wpływ na uczonych i pisarzy zajmujących się dzieciństwem, inspirując ich do nowych interpretacji myśli Jana Jakuba. Po *Emilu* dziecko ostatecznie przestaje być miniaturą dorosłego i powoli zaczyna zmierzać do zajęcia dzisiejszej pozycji najważniejszej osoby w rodzinie i przedmiotu najwyższej troski społeczeństwa.

Do tej pory zarówno dla rodziny, jak i dla społeczeństwa dziecko znaczyło bardzo niewiele.

W starożytnej Grecji i Rzymie potomstwo zajmowało miejsce pomiędzy sprzętami domowymi a niewolnikami. Ojciec miał nad nim nieograniczoną władzę i mógł je nawet najzupełniej bezkarnie zabić, podobnie jak niewolnika, z tym że niewolnik miał tę nad dzieckiem przewagę, że był drogi i przedstawiał sobą znaczną materialną wartość. Podobnie jak niewolnikowi, psu i krzesłu dziecku nie przysługiwały żadne prawa. Żadne też instancje czy przepisy nie krępowały woli ojca, której dziecko było całkowicie podległe i której wypełnianie było jego najwyższym obowiązkiem. Na szczęście, owi wszechwładni ojcowie na ogół nie zwracali na swoje dzieci specjalnej uwagi. Starożytni uważali bowiem dzieciństwo za przykrą ludzką słabość, przez którą trzeba przejść jak najszybciej i równie szybko o niej zapomnieć. Życiorysy cesarzy rzym-

skich spisane przez Swetoniusza czy portret Nerona nakreślony przez Senekę zaczynają się od przywdziania przez bohaterów męskiej togi, czyli od 14-15 roku życia. Dzieciństwo nawet tych ludzi, potomków znakomitych rodów, od urodzenia przeznaczonych do sprawowania najwyższych stanowisk, po prostu nie istnieje, poza sporadycznymi, fantastycznymi anegdotami, jak ta, głosząca, że Neron już w życiu płodowym miał zęby i kąsał łono matki.

Później sytuacja zmienia się na gorsze. Wraz z triumfem chrześcijaństwa przychodzą dla dziecka ciężkie czasy. Staje się ono obiektem odrazy, naczyniem grzechu i jako takie budzi lęk i wstręt na podobieństwo potworów i innych „diabelskich pomiotów”, zaludniających wyobraźnię ówczesnych ludzi. Jest to o tyle zdumiewające, że Chrystus, według świadectwa ewangelii, głosił wyższość moralną niewinnych dzieci nad dorosłymi, zalecając matkom i ojcom, aby stali się, pod tym względem, podobni swoim potomkom, a mówiąc: „Pozwólcie dziatkom przychodzić do mnie” – przyznawał dzieciom niejako specjalne prawo dostępu do siebie. Ojcowie Kościoła poszli jednak w zupełnie innym kierunku, tworząc odrażający wizerunek dziecka jako naczynia grzechu pierwородnego, pełnego zła, głupoty i wynaturzonych namiętności. Szczególnie zajadłą, paranoiczną wręcz nienawiść do dzieci prezentuje św. Augustyn, który sam miał, jak wynika z jego *Wyznań*, dzieciństwo w miarę spokoj-



ne, a młodość burzliwą i raczej niezapowiadającą przyszłego świętego. W późniejszym od *Wyznań*, swoim głównym dziele teologicznym *O państwie Bożym*\* szeroko opisuje on dziecko jako „ludzkie szczenię”, tak złe i głupie, że – gdyby nie było nadzorowane przez dorosłych – z rozkoszą pogrążyłoby się w każdej zbrodni i wyuzdaniu. Dla tego świętego męża dzieciństwo pozbawione jest wszelkiej wartości i specyfiki, a dziecko jest grzesznikiem zasługującym na takie samo potępienie jak dorośli zbrodniarze i heretycy. Takie rzeczy, jak świadomość swoich czynów, premedytacja czy zła wola nie mają dla niego znaczenia. Dzieciństwo jest okresem upadku i upodlenia każdego człowieka, który musi zostać odkupiony poprzez dobre uczynki, bojaźń bożą i walkę z pokusami w całym dalszym życiu. Doraźnie zaś wymaga walki z naturą dziecka, pełną zepsucia i przywar, aż do przewyciężenia i likwidacji tego godnego pożałowania stanu. W swoim antydziecięcym zaciętrzewieniu św. Augustyn posuwa się do zaprzeczenia ewangelicznym słowom Chrystusa i do poprawiania Go, pisząc: „Nie, Panie, nie ma prawdziwej niewinności. Sławiłeś więc tylko obraz pokory w drobnej postaci dziecka”\*\*. Zła zakorzenione w dziecku nie da się, oczywiście, wyplenić bez kar, toteż nasz święty jest wręcz entuzjastą bata, różgi, pięści, kija, groźby, zastraszania czy psychicznej presji, zwanej dziś

---

\* *O państwie Bożym*, Pax, Warszawa 1977.

\*\* Tamże, rozdz. 22.

„praniem mózgu”, jako koniecznych narzędzi wychowania i edukacji. Tylko srogość kar, stały nadzór i bezwzględna dyscyplina mogą pomóc „ludzkiemu szczenięciu” w wydobyciu się z jego zepsucia i upadku. Ta myśl św. Augustyna stała się na bardzo długo, bo niemal do końca XVII w., osnową wszelkiej pedagogiki i wychowania w rodzinie. Zaleca ona traktować dziecko chłodno i surowo, szczególnie piętnując wszelkie objawy czułości wobec niego, jako patentowane sposoby na utwierdzenie małego człowieka w jego diabelskiej złośliwości i umiłowaniu wszelkiego bezceństwa. Trzeba go karać bez litości, bić, straszyć i poniżać, aby wyzbył się naturalnej pychy i hardości, czyniąc to oczywiście dla jego dobra i na Bożą chwałę. Okazywanie dziecku miłości czy łagodne go traktowanie jest grzechem rodziców, ponieważ miłość należy okazywać tylko Bogu, a łagodność jest zaniechaniem bezwzględnej walki ze złem, wszechobecnym w dziecku, która to walka stanowi powinność każdego chrześcijanina. W walce owej nie ma takiego sposobu, który byłby niegodny lub niedozwolony. Przemoc, manipulacja, kłamstwo i zastraszenie są w walce ze złem uosobionym w dziecku skuteczne, więc można, a nawet należy się nimi posługiwać, bowiem zbożny cel usprawiedliwia wszelkie środki, a poza tym zasady przyzwoitości, prawdomówności i miłosierdzia obowiązują wobec ludzi, a nie wobec dzieci. Bo czy dzieci to ludzie? Trudno powiedzieć. Raport prefekta Paryża z początków XIV w. na

wszelki wypadek podaje, że w karnawałowych tumultach ulicznych zginęło 35 ludzi i kilkunastu *scholares* (czyli uczniów).

Ta przerażająca „czarna pedagogika” – jak ją nazywa Alice Miller – przetrwała do naszych czasów i wielu surowych nauczycieli nawet sobie nie zdaje sprawy, ile zawdzięcza św. Augustynowi.

Jeszcze w XVII w. powszechne było wywodzące się wprost z myśli augustyńskiej przekonanie, że „stan dzieciństwa jest najnędniejszym i najobrzydliwszym stanem natury ludzkiej poza śmiercią”\*. W znacznym stopniu podzielał je najwybitniejszy umysł tej epoki – Kartezjusz. Ten wszechstronny geniusz, który zadał śmiertelny cios stworzonej przez świętych mężów scholastyce, tutaj zgadzał się z nimi, chociaż za główną przywarę dzieciństwa uważał nie grzech, ale słabość umysłu i niedostatek władzy sądenia. Dziecko, według niego, jest przede wszystkim ciałem i poprzez ulotne, cielesne wrażenia dokonuje się jego poznanie, pełne przez to niejasności i błędnych wyobrażeń. Pozbawiona krytycyzmu dusza dziecka chłonie z równą łatwością prawdę, jak i bezsensowne przesady, które, nabyte dostatecznie wcześnie, zakorzeniają się w człowieku silniej niż sądy rozumu. A przecież dziecko od zarania życia przebywa w atmosferze fałszywych opinii i spaczonych wyobrażeń, karmione nimi przez rodziców i opiekunów. Aby uwolnić się od

---

\* Elizabeth Badinter, *Historia miłości macierzyńskiej*. Volumen, Liga Republikańska, Warszawa 1988, s. 44.

dzieciństwa i jego utrwalonych złych nawyków, trzeba wykonać ciężką pracę wymagającą siły woli i wielu wyrzeczeń, dlatego też niewielu ludziom się to udaje. W większości trwają nieraz przez całe życie w błędach swego żalostnego, pierwszego okresu, a ignorancja i przesąd są najtrudniejszymi do zwalczania słabościami człowieka. W *Rozprawie o metodzie* Kartezjusz wprost uważa się, że – gdyby nie dzieciństwo – ludzkie poznanie byłoby jaśniejsze i pewniejsze, dzięki czemu i świat, w którym żyjemy, byłby lepszy. Nie boi się on dzieciństwa i nie obdarza go nienawiścią, tak jak św. Augustyn, ale nim pogardza, jako główną przyczyną duchowej słabości człowieka i jego niemożności pełnego utożsamienia się ze swoim boskim wzorcem. Bycie dzieckiem jest karą, jaką Bóg nałożył na człowieka za jego poznawczą pychę i podejmowane próby zbliżenia się umysłem do absolutu wbrew jego woli. Wszak pierwsi rodzice nigdy nie byli dziećmi i gdyby nie ich dążenie do przeniknięcia Bożych tajemnic, być może Wszechmogący znalazłby dla człowieka inny sposób rozmnażania niż ten, który w końcu stał się ich udziałem. Skazując człowieka na dzieciństwo, Stwórca oddalił go od siebie i od swojej doskonałości na nieprzekraczalną, w zasadzie, odległość. Jest więc dzieciństwo jednocześnie winą i karą, stanowi przyczynę i skutek stałego błąkania się duszy ludzkiej w ciemnościach ignorancji i niepewności w życiu doczesnym.

## Pępek świata

Tę dramatyczną, jeśli nie wręcz tragiczną koncepcję dzieciństwa i wyłaniający się spoza niej niewesoły obraz losu dziecka zmienił, jak już wspomniałem, dopiero Rousseau. Przedstawił on w *Emilu* małego człowieka jako „szczęśliwego dzikusa”, autentycznie niewinnego, bo żyjącego zgodnie ze wskazaniem natury, nieskażonego cywilizacyjnym zepsuciem dorosłych. Po raz pierwszy też powiedział jasno i niedwuznacznie, że dziecko nie jest ani grzeszne, ani głupie, a uzależnienie jego umysłu od cielesnych doznań oraz brak władzy sądenia i moralnych zahamowań uznał za przemijające fazy rozwojowe, które w duszy dziecka nie pozostawiają prawie żadnych trwałych śladów. Nietrudno przecież wyobrazić sobie, że Arystoteles, św. Augustyn, św. Tomasz, a nawet sam Jezus byli kiedyś niemowlętami moczącymi pieluski lub jednorocznikami z mozołem uczącymi się stać na własnych nogach, co, jak wiadomo, nie przeszkodziło im w staniu się tymi, którymi byli, i w wypełnieniu ich dziejowej misji. *Emil* był dziełem wybitnie nowatorskim, ale też ukazał się w odpowiednim czasie, kiedy dawne idee i systemy wartości gwałtownie ustępowały pod naporem racjonalizmu i naukowych przełomów Oświecenia. Dlatego też niemal od razu zyskał powszechne uznanie i zainicjował zmiany, które – z dna społecznej obojętności i pogardy – doprowadziły dziecko na królewski tron „pępka świata”, gdzie pozostaje ono do dzisiaj.

Zachodnia cywilizacja rozpoczynającego się właśnie XXI w. jest, bez wątplenia, w znacznym stopniu cywilizacją dzieciństwa i dziecka. Jest ono niekwestionowanym „królem rodziny”, wokół którego koncentruje się uwaga rodziców, dziadków i wszystkich innych jej członków, i nie będzie chyba przesady w stwierdzeniu, że opieka nad potomstwem i jego wychowanie są najważniejszymi zadaniami rodziny, a nawet, coraz częściej, stanowią podstawowy sens jej zakładania i trwania. Dziecko jest też najważniejszą i absolutnie priorytetową „inwestycją” rodziny, pochłaniającą ogromne ilości czasu i pieniędzy. Jednocześnie jest to inwestycja, która nigdy się nawet nie zamortyzuje, nie mówiąc już o przyniesieniu jakichkolwiek zysków, poza (a i to nie zawsze) uczuciową satysfakcją. Zamiast tego potomstwo jest dla rodziców źródłem nieustającego napięcia, bowiem wraz z nowo narodzonymi w ich umysłach i sercach pojawia się lęk o zdrowie, rozwój i przyszłość córki czy syna, osiągający chwilami paraliżujące natężenie i właściwie nigdy się niekończący.

Współcześnie, dziecko – w naszym kręgu kulturowym – od przyjścia na świat, a czasami nawet wcześniej, traktowane jest jak nikim niedająca się zastąpić jednostka, indywidualność i osoba, a jego ewentualna śmierć jest największym nieszczęściem, jakie może dotknąć rodzinę. Śmierć dziecka odczuwana bywa powszechnie jako większa tragedia niż śmierć dorosłego. Jest budzącą sprzeciw i

bunt wyjątkową niesprawiedliwością losu uderzającego bezlitośnie w stworzenie absolutnie niewinne, chociaż tyle jest przecież obiektów bardziej na ów cios zasługujących. Nawet dla osób głęboko wierzących bywa to zdarzeniem skłaniającym do zwątpienia w doskonałość Bożych zamysłów. Pamiętam pewną młodą matkę, która po stracie swojego dziecka powiedziała mi z goryczą: „Nie mogę myśleć o Bogu, kiedy moja córeczka nie żyje, a tyłu drani cieszy się dobrym zdrowiem”. Ta kobieta miała do Pana Boga bardzo ludzkie, chociaż mało sensowne pretensje, bo śmierć, jak wiadomo, nie jest sprawiedliwa i nie ma związku z tym, jak żyjemy. Niemniej, jeśli zabiera dziecko, odczucie niesprawiedliwości i krzywdy bywa tak silne, że może zachwiać wiarą w nadrzędny rozum rządzący światem.

Dziecko, przez całe stulecia niemające żadnych praw, jest obecnie pod wszechstronną ochroną prawną ze specjalnymi międzynarodowymi konwencjami włącznie. Prawo to broni jego interesów nawet, jeśli zachodzi taka potrzeba, przed jego rodzicami. Nie znaczy to, oczywiście, że prawa te są wszędzie i zawsze przestrzegane. Mimo ewidentnej zmiany na lepsze usytuowania w hierarchii społecznej, w dalszym ciągu dzieci bywają źle traktowane, bite, poniżane, molestowane, wykorzystywane na wszelkie sposoby i wreszcie zabijane. Ale na złe obchodzenie się z dzieckiem nie ma już społecznego przyzwolenia, a jego los nie jest traktowa-

ny z taką obojętnością, jak było to jeszcze 150 czy 200 lat temu. Wręcz przeciwnie, przemoc, brutalność czy choćby tylko obojętność wobec dzieci spotyka się z powszechnym moralnym potępieniem, a stan społecznej ochrony dziecka i instytucjonalnej opieki nad nim jest jedną z miar cywilizacji i ładu wewnętrznego każdego państwa. Stopień jego rozwoju gospodarczego i demokratyzacji życia można poznać po tym, jak traktuje ono dzieci i starców.

Generalnie, w podejściu do dzieciństwa dokonał się całkowity przewrót. Z żałosnego stadium upadku, grzechu i błędu awansowało ono do rangi najważniejszego okresu w życiu człowieka. Od czasu odkryć Freuda i jego następców wiadomo bowiem, że o tym, jaki będzie i co będzie sobą reprezentował dorosły, w znacznym stopniu decyduje przebieg jego dzieciństwa. W trzecim roku życia – powiada Freud – gotowy jest już fundament osobowości jednostki, na którym, w toku dalszego rozwoju, zostaną zbudowane jej indywidualność i charakter. W związku z tym dzieciństwo stało się nie tylko specjalnie chronionym i na wszystkie sposoby „do-inwestowywanym” okresem ludzkiego życia, ale znalazło się też w centrum zainteresowania nauki, sztuki i w ogóle kultury. Gruntownej przemianie uległa pedagogika, stając się nauką o tworzeniu dostosowanych do specyfiki dzieciństwa warunków wychowania i edukacji. Podobnie stało się z medycyną i psychologią, które wykształciły wysoko wy-



specjalizowane gałęzie wiedzy poświęcone wyłączenie poznawaniu i studiowaniu – pod kątem leczenia specyficznych chorób tego okresu oraz wspomagania – prawidłowego rozwoju dziecka. Pediatria, psychologia dziecka, psychiatria dziecięca i pedagogika zgromadziły olbrzymią wiedzę, która stała się przedmiotem odrębnych studiów i specjalistycznego przygotowania zawodowego, a do nazw wielu dziedzin wiedzy i umiejętności dodaje się przymiotnik „dziecięcy”, dla podkreślenia ich specjalistycznego charakteru, skoncentrowanego na dziecku. Oprócz psychiatrii mamy więc dziecięcą chirurgię, dziecięcą onkologię i dziecięce odmiany prawie wszystkich specjalności medycznych. Mamy dziecięcą modę, dziecięcą rozrywkę i dziecięcą sztukę. Funkcjonują i prosperują dziecięcy fryzjerzy, krawcy i szewcy. Produkcją zabawek zajmuje się olbrzymi przemysł mający setki miliardów dolarów obrotu i zatrudniający miliony dorosłych. Podobnie jest z dziecięcymi środkami pielęgnacyjnymi, kosmetykami i żywnością. Wszystkim tym z kolei handluje gigantyczna sieć sklepów, gdzie jedni dorośli zostawiają innym dorosłym miliardy dolarów. Gdyby nagle w dzisiejszym świecie (co oby nigdy się nie stało) zniknęły wszystkie dzieci, nastąpiłaby katastrofa gospodarcza o niewyobrażalnych rozmiarach. Straciłoby sens i rozpadło się mnóstwo społecznych struktur i instytucji z rodziną na czele. Innymi słowy, nastąpiłby, w pewnym sensie, koniec świata. Dlatego też w stwierdzeniu, że dziecko jest

pękiem tego świata, naprawdę nie ma wielkiej przesady. Ale, mimo to, indywidualny los każdego takiego „pępka” wcale nie jest godny pozazdroszczenia.

## 2. Dziecko i miłość

### **Owoc miłości**

Zazwyczaj dziecko jest owocem miłości. Jest nim zarówno w sensie fizycznym, jako rezultat aktu miłosnego pomiędzy kobietą i mężczyzną, jak i w sensie psychicznym, jako wynik powstałego pomiędzy kochającymi się partnerami pragnienia posiadania potomstwa. Jeżeli owi kochający się partnerzy chcą dzielić ze sobą życie, dziecko jest najwyższym spełnieniem ich miłości, a jego przyjście na świat przekształca małżeństwo czy też wolny związek dwojga ludzi w rodzinę. Przejście od pary małżeńskiej lub wolnego związku pomiędzy dwojgiem ludzi różnej płci do związku pomiędzy rodzicami a ich dzieckiem, zwanego rodziną, nie wymaga żadnych formalnych zabiegów. Jest to fakt czysto psychologiczny polegający na powstaniu pomiędzy rodzicami a potomkiem wielorakich i wielostronnych, przede wszystkim uczuciowych więzi. Ich istnienie wyróżnia grupę ludzi, spośród innych, właśnie jako rodzinę. Potocznie nazywamy je zwykle

więzami krwi, więzią rodzinną, rodzinnymi uczuciami, rodzinnością albo wprost – rodzinną miłością, bowiem ludzie w rodzinie kochają się nawzajem. Dziecko zaś, jako owoc i spełnienie miłości rodziców, kochane jest szczególnie. Cóż to znaczy? Jest to pytanie wbrew pozorom kłopotliwe, bo, choć intuicyjnie prawie wszyscy rozumiemy znaczenie słowa „miłość”, to kiedy przychodzi do prób wyjaśnienia, na czym ona polega, okazuje się to nie takie proste. Nieco uproszczona odpowiedź na nie wyjaśnia, iż aby móc powiedzieć o jakichś dwu osobach, że się kochają, muszą one spełnić trzy warunki:

- Muszą pragnąć wzajemnej bliskości. Kochający się ludzie chcą być fizycznie blisko siebie. Chcą razem spędzać czas, razem jeść, spać, rozmawiać, spacerować, podróżować itd. Pragną dotykać się, pieścić, przytulać, głaskać i całować, a w niektórych przypadkach współżyć ze sobą seksualnie, bowiem seks jest ukoronowaniem fizycznej bliskości. Pragnieniem cielesnej bliskości może być naturalnie całkowicie pozbawione elementów seksualnych, jak to ma, na ogół, miejsce pomiędzy dziećmi a rodzicami czy pomiędzy rodzeństwem. Kochający się pragną też, aby ich bliskości fizycznej towarzyszyła bliskość psychiczna, polegająca przede wszystkim na braku we wzajemnych stosunkach lęku i nieufności. Nie ma miłości pomiędzy osobami, które boją się siebie nawzajem lub które są wobec siebie podejrzliwe. Miłość w sferze psychicznej polega na empatii, czyli na umiejętności wczuwania się w

przeżycia partnera, na całkowitym zaufaniu, kiedy mamy pewność, że partner nie zwróci przeciwko nam powierzonych mu informacji na temat naszych myśli, pragnień i uczynków, i na braku lęku przed tym, że partner może działać na naszą szkodę lub chcieć nam zrobić jakąkolwiek krzywdę.

I wreszcie, kochający się pragną bliskości intelektualnej polegającej głównie na możliwości nieskrępowanej wymiany myśli i poglądów, na wzajemnej ciekawości siebie i na chęci poznania tego, co się dzieje „w głowie i w duszy” partnera. Najmniej chodzi tu o posiadanie takich samych myśli i poglądów, bo bliskość intelektualna jest możliwa pomiędzy ludźmi na różnych poziomach umysłowych, chociaż, jeśli mamy takie same lub podobne osądy i przekonania do tych, które ma nasz partner, na pewno nie zaszkodzi to naszej miłości.

- Muszą być stale, nawzajem obecni w swoich myślach, czyli kochana osoba musi być ważnym wyznacznikiem naszych decyzji i zachowań. Jeśli kocham np. moją żonę, to kiedy mam podjąć jakąś decyzję albo przedsięwziąć jakieś działanie, zazwyczaj automatycznie przychodzi mi do głowy pytanie: co ona na to? Czy moja decyzja przypadnie jej do gustu, czy pochwali moje zachowanie, czy to, co zamierzam, nie uczyni jej krzywdy, nie spowoduje jej smutku, złości albo innych „złych” uczuć, czy nie będzie z tego powodu cierpieć, wstydzić się lub bać, czy moje działanie nie urazi jej godności, dumy i poczucia własnej wartości itd. Mówiąc inaczej,

kochają się te osoby, które żyją w określony sposób nie tylko ze względu na siebie, ale też ze względu na partnera. Tu ktoś może mieć zastrzeżenia, że w takim ujęciu miłość jest uzależnieniem się od drugiej osoby, więc od razu odpowiadam – tak, miłość jest formą uzależnienia się ludzi od siebie i nie może być inaczej.

- Muszą pragnąć nawzajem swojego dobra. Jeśli obdarzam kogoś moją miłością, to zazwyczaj nie chcę, żeby był on nieszczęśliwy, chory, wystraszony, smutny, głodny, bezradny, samotny itd. Pragnę natomiast, żeby był zdrowy i doznawał spokoju, zadowolenia, szczęścia itd. To pragnienie jest tak silne, że kochające się osoby skłonne są ponosić na rzecz partnera najróżniejsze ofiary i wyrzeczenia, w niektórych przypadkach nawet z narażeniem życia włącznie.

W świetle tych kryteriów większość dzieci jest bez wątpienia kochana przez rodziców, szczególnie przez matki, których miłości do swoich dzieci przypisuje się wręcz biologiczny, instynktowny rodowód. Dzieci natomiast raczej bez wyjątków kochają swoich rodziców, z matkami zaś wiążą je wyjątkowo silne uczucia. Udowodniono eksperymentalnie, że dzieci (małpie w tym przypadku) pozbawione miłości matki i jej opieki wolniej i gorzej się rozwijają zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Zaobserwowano to zjawisko również u ludzkich dzieci przebywających od niemowlęctwa w domach

dziecka i innych instytucjach opiekuńczych i nazwano chorobą sierocą. Przywrócenie cierpiącym na nią dzieciom, zarówno małpim, jak i ludzkim bliskości matki (niekoniecznie biologicznej) i jej opieki okazało się jedynym skutecznym lekarstwem likwidującym jej objawy stosunkowo szybko i bez śladu. Od czasu tych sławnych badań przeprowadzonych przez amerykańskiego psychiatrę René Spitza i jego współrodaka, psychologa Harry'ego F. Harlowa, miłość matki nazywana bywa, przez analogię do innych, „rozwojowych” witamin – „witaminą M”, a wczesne pozbawienie dziecka opieki matki uważa się za najpoważniejsze zagrożenie „normalności” i harmonijności jego rozwoju. Do badań Harlowa i Spitza jeszcze wrócimy, a na razie wypada stwierdzić, że przywiązanie dziecka do matki wydaje się mieć rzeczywiście biologiczne korzenie, czego bynajmniej nie można powiedzieć o sytuacji odwrotnej, czyli o przywiązaniu matki do dziecka. Wprawdzie miłość macierzyńską uważa się powszechnie za prawo naturalne oparte na biologicznym (hormonalnym?) uwarunkowanym instynkcie, ale istnieje zbyt wiele wyjątków od tej reguły, które nie pozwalają na jej bezkrytyczną akceptację. Po prostu miłość matki do dziecka nie była i nie jest regułą w naszym ludzkim świecie. O ile jest rzeczą pewną, że dziecko nie może przeżyć i rozwijać się bez macierzyńskiej troski i opieki, o tyle niepodważalne też wydaje się twierdzenie, że nie wszystkie matki obdarzają swoje dzieci miłością będącą owej opieki i

troski źródłem. Między potrzebami dziecka a odpowiedzią na nie matki nie istnieje żaden z góry ustanowiony związek mający charakter naturalnego prawa i z całą pewnością istnieją kobiety (nie będące wcale rzadkością), które owych potrzeb dziecka nie widzą, nie rozumieją i nie wyczuwają. Skądinąd wreszcie, wszyscy wiemy, że niekochane i niechciane dzieci nie są wśród nas wyjątkami.

### **Brzemie nie do udźwignięcia**

Gdyby macierzyńska miłość, czułość i wrażliwość na potrzeby dziecka miała rzeczywiście instynktowny charakter, dzieci niekochanych, porzucanych, a nawet mordowanych przez własne matki po prostu by nie było. Instynkt bowiem, według definicji słownikowej, to: „czynności i reakcje zwierząt (i ludzi), celowe, ale nieświadome i niewyuczone, oparte na wrodzonych mechanizmach psychicznych, charakterystyczne dla każdego gatunku, ważne dla życia osobnika i gatunku; popęd, odruch”. Ten sam słownik określa macierzyństwo poprzez „cechy typowe dla matki, m.in. miłość i przywiązanie do dziecka, postawę opiekuńczości wobec dziecka”. Wystarczy połączyć te dwie definicje, żeby mieć gotowy obraz tzw. instynktu macierzyńskiego. Według niego, miłość matki do dziecka miałaby popędowy lub odruchowy, a więc pozaświadomy charakter i realizowałaby się poprzez wrodzone, czyli zapisane gdzieś w kodzie gene-



tycznym reakcje i czynności. Matka wyposażona w taki instynkt po prostu musiałaby kochać dziecko, przejawiać wobec niego czułość i przywiązanie oraz opiekować się nim, będąc pod wpływem nieświadomego popędu do czynienia tych wszystkich rzeczy i czyniąc je w dodatku odruchowo i bezrefleksyjnie (czyli bezmyślnie). Jest to obraz fantastyczny i całkowicie nieprawdziwy. Opisuje on dobrze kurę, która okresowo musi wysiadywać jajka, więc wysiaduje nawet puste gniazdo, a gdy znajdują się w nim jajka kaczki, wysiedzi je także, bo dla jej instynktu ważne jest to, że wysiaduje, a nie, co wysiaduje. Jeśli wyklują się kaczuśki, będzie nimi opiekować się tak, jakby to były kurczaki, bo tylko opiekę nad kurczakami ma zapisaną w swojej biologicznej strukturze. W odniesieniu do kobiety opis ten nie ma żadnego zastosowania chociażby dlatego, że miłość wśród ludzi nie jest instynktowną rzeczą mającą na celu jedynie podtrzymanie gatunku, ale, jak to próbowałem wcześniej przedstawić, niezwykle złożoną **relacją** obejmującą **cały** repertuar ludzkich zachowań. Dziecko można instynktownie, odruchowo osłonić przed ciosem czy innym niebezpieczeństwem, ale nie sposób odruchowo je kochać, ponieważ wśród przedstawicieli gatunku *homo sapiens* w ogóle, nikogo nie można kochać odruchowo. Ten gatunek tak ma.

Obraz kierowanej instynktem matki-samicy czy też matki-maszyny jest całkowicie niezgodny z faktami, zarówno współcześnie, jak i na przestrzeni

dziejów. Od starożytności po dzień dzisiejszy istniały i istnieją rzesze kobiet (mężczyzn oczywiście też), dla których macierzyństwo (i ojcostwo) nie było potrzebą, a dziecko stanowiło brzemię nie do udźwignięcia. Nie chcieli oni i nie chcą wyrzec się swojej wygody ani ponieść niebagatelnych nakładów finansowych związanych z rodzicielstwem. Dziecko było dla nich ciężarem, którego starali się pozbyć wszelkimi sposobami. Ponieważ jawne dzieciobójstwo zawsze było w jakiś sposób piętnowane moralnie, a z czasem zaczęło stanowić surowo karane przestępstwo, rodzice, a przede wszystkim matki – do dziś przecież pokutuje pogląd, że niechciana ciąża to sprawa kobiety, bo się „nie upilnowała” – imały się innych sposobów. Jednym z nich było i jest porzucenie dziecka, najczęściej noworodka, lub podrzucenie go innym ludziom. Najślawniejszym w historii podrzutkiem jest niewątpliwie biblijny Mojżesz, którego, jak wiadomo, egipska księżniczka znalazła w koszyku pływającym po Nilu, co dowodzi, że ten sposób pozbywania się niechcianego brzemienia był znany od zarania dziejów. W późniejszych czasach bardzo rozpowszechniony był sposób polegający na jak najwcześniejszym oddawaniu (lub sprzedawaniu) dzieci ludziom bardziej zamożnym, którzy wychowywali je sobie na służących, parobków i nałożnice. W XVIII w. kobiety były tak zajęte, że nagminnie umieszczały dzieci tuż po urodzeniu u płatnych mamek. Początkowo był to prawdopodobnie zwy-

czaj jedynie kobiet z arystokracji (pierwsze biuro pośrednictwa dla płatnych mamek otwarto we Francji jeszcze w XIII w. ), który z czasem rozciągnął się na sfery kupieckie, rzemieślnicze, a nawet na bogatsze chłopstwo. Owe mamki, najczęściej ubogie, wiejskie kobiety, miewały pod opieką po kilkanaścioro, a nawet i więcej dzieci, do czego zmuszało je zazwyczaj nędzne wynagrodzenie, jakie otrzymywały. Bieda też powodowała, że stan tych dzieci pozostawiał wiele do życzenia, a więcej niż połowa z nich umierała w pierwszych miesiącach życia. Nikogo to specjalnie nie obchodziło. Mamki, mimo obfitego żniwa, jakie śmierć zbierała wśród ich podopiecznych, miały wciąż pełne ręce roboty. Często dzieci pozostawały u nich znacznie dłużej, niż wymagało tego karmienie piersią (nawet do 3-4 roku życia), bo rodzice nie bardzo się spieszyli z wzięciem sobie z powrotem na głowę brzemia, którego się pozbyli, albo po prostu „zapominali” o swoich wysłanych na wieś potomkach.

Charakterystyczne pod tym względem są dzieje najświetniejszego bodajże dyplomaty i męża stanu wszech czasów, hrabiego Karola Maurycego de Talleyrand-Périgord. Ten potomek jednego z najstarszych rodów szlacheckich Francji urodził się 21 lutego 1754 roku w Paryżu i tego samego dnia, po uroczystym chrzcie udzielonym przez kardynała, został oddany mamce na stosunkowo niedalekie przedmieście Saint-Jacques, gdzie pozostawał do czwartego roku życia. Przez ten czas rodzice ani

razu go nie odwiedzili, nie zabrali do domu, ani też nie przejawiali żadnego nim zainteresowania. Gdy miał 4 miesiące, spadł z komody, na której położyła go mamka, i złamał nogę. Jego prymitywna i zabiegana wśród innych dzieci opiekunka nie zwróciła na to jakiegokolwiek uwagi. Kości zrosły się same, ale stopa pozostała zdeformowana, co uczyniło Talleyranda na całe życie utykającym kaleką. Przez 4 lata jego matka w ogóle o tym nie wiedziała. Dama dworu Ludwika XV i towarzyszką jego córek, rozrywana pomiędzy Wersalem a Paryżem, nie miała czasu (a pewnie i ochoty) nawet dowiedzieć się o zdrowie swego jedyne­go (wtedy) syna i dziedzica sławnego rodu, przebywającego w odległości godziny jazdy powozem od jej domu. Odnaleziony w końcu na tym podmiejskim pustkowiu przez swego stryja, czteroletni Karol Maurycy, po trwającym kilka minut widzeniu się z matką (którą zobaczył po raz pierwszy w życiu), ale bez jej pocałunku, został odesłany do dalekiego Bordeaux, gdzie w zamku Chalais mieszka jego prababka, siedemdziesięcioletnia księżna Franciszka Rochechouart-Martemart. Była to jedyna na świecie istota, która obdarzyła chłopca pierwszym w życiu pocałunkiem (ani matka, ani ojciec nie pocałowali go nigdy) i pierwszym ciepłym uczuciem. Ale pobyt w domu starej damy, gdzie zaznał nieco miłości i szacunku, trwał tylko dwa lata. Kiedy miał sześć i pół roku, wezwano go do Paryża. Podróż odbył z guwernantką, a na końcowej stacji czekał na niego stary lokaj ojca, który,

tym razem bez widzenia się z matką, odwiózł go prosto do internatu sławnego kolegium d'Harcourt, gdzie przebywał prawie dziesięć lat. Przez ten czas nikt z rodziny go nie odwiedził ani się nim nie zainteresował.

W sumie Talleyrand widział swą matkę zaledwie kilka razy w życiu, z czego na pierwsze jego 20 lat wypadły dwa spotkania – jedno, nieuniknione, przy porodzie i drugie, kiedy miał cztery lata.

W dorosłym życiu zasłynął na cały świat swoim cynizmem, amoralnością i zupełnym brakiem tzw. uczuć wyższych, które to cechy osobowości uważa się dziś za jeden ze skutków przedwczesnej separacji od matki i braku matczynej opieki.

Matka Talleyranda była rozpróżnioną arystokratką, której jedynym zajęciem było życie towarzyskie i „bywanie u dworu”. Cóż więc można powiedzieć o oddających dzieci do mamek zapracowanych modystkach, krawcowych, sklepikarkach itp., które zapewne miały znacznie mniej szans na odwiedzanie swych dzieci niż hrabina Périgord? Chyba tylko to, że śmierć córki czy syna będących u mamki witały, na ogół, z ulgą.

Wracając zaś jeszcze na chwilę do matki Talleyranda, to warto zaznaczyć, że nie była ona bynajmniej jakimś emocjonalnym monstrum. Dwu młodszych braci Karola Maurycego wychowywała bowiem w domu i nawet od czasu do czasu karmiła ich piersią. Nie kochała widać i zupełnie nie była wrażliwa na potrzeby tylko swego pierwszego dziecka.

Wszystkie historycznie znane sposoby pozbywania się, głównie przez matki, niechcianych dzieci funkcjonują do dzisiaj. Co pewien czas opinię publiczną porusza przypadek wyjątkowo odrażającego dzieciobójstwa (noworodki wrzucane do pojemników na śmieci, topione w muszlach klozetowych, rozbijane o ścianę, duszone, zagładzane na śmierć itd.), których to przypadków, mimo wysokich kar grożących sprawcom, zdarza się w Polsce co najmniej kilkadziesiąt rocznie. Znacznie więcej bywa podrzutków, o których społeczeństwo rzadziej się dowiaduje, a miejsce płatnych mamek z przeszłości zajęły państwowe i prowadzone przez organizacje charytatywne instytucje opiekuńcze. W naszym kraju, w zasadzie każda niezamężna kobieta jeszcze w szpitalu położniczym może oficjalnie zrzec się praw do urodzonego właśnie dziecka, które idzie wtedy do domu małego dziecka, skąd, jeśli ma szczęście, może trafić do rodziny adopcyjnej. Kwitnie też, i to w skali międzynarodowej, nielegalny handel dziećmi. Wiadomo np., że za zdrowe polskie niemowlę można dostać i półtora tysiąca dolarów. Dzieci wietnamskie, chińskie, hinduskie, tajskie czy też latynoskie są znacznie tańsze.

## **Lalka**

Wśród wcale niemałej liczby rodziców do dzisiaj pokutują echa wspomnianego wcześniej, średniowiecznego przeświadczenia, że dziecko to nie-

doskonały dorosły. Według tego nie zawsze do końca uświadomionego przekonania mały człowiek jest czymś w rodzaju lalki, która niewiele rozumie, niewiele czuje i niewiele potrafi. W związku z tym nie ma uzasadnionych powodów, żeby dziecko traktować poważnie. Można mówić przy nim i robić wszystko, co nam przychodzi do głowy, bo przecież ono nie zrozumie, co mówimy, i nie pojmie sensu naszych działań. Dziecku też, poza sprawieniem mu fizycznego bólu, właściwie nie można zrobić żadnej przykrości, ponieważ już po chwili nie pamięta, co się wydarzyło, nie chowa urazy i nie ma za złe. Będąc lalką „o bardzo małym rozumku”, nie osądza ono i nie ocenia naszego postępowania, wobec czego nie ma sensu się go wstydzić czy krępować. Nie obowiązują też w stosunku do niego zasady przyzwoitości, prawdomówności czy konsekwencji, bo dziecku można „wcisnąć każdy kit”, ono zaś zadowoli się każdym tłumaczeniem i przyjmie każde wyjaśnienie. Krótko mówiąc, dziecko to wprawdzie skomplikowana i wymyślnie zrobiona, ale tylko lalka, którą miło i ciekawie jest się pobawić, lecz którą – bez szkody i żalu – można odłożyć po zabawie na półkę, tak jak czyni to bohaterka *Dobrej pani Elizy Orzeszkowej*. Jak pewnie pamiętacie, w tej opowieści znudzona dziedziczka, zachwycona urodą małej chłopskiej dziewczynki, bierze ją do siebie, stroi, rozpieszcza, uczy „po francusku” itd. Żyjąca w biedzie rodzina dziecka sądzi, że mała wygrała wielki los na loterii życia. Tymczasem, w miarę

jak dziewczynka rośnie i coraz mniej nadaje się na lalkę, zainteresowanie pani jej osobą słabnie. Dziecko przeżywa katusze odrzucenia i poczucia winy, nie rozumiejąc, dlaczego ubóstwiana przez nie pani niemal z dnia na dzień przenosi swój afekt na nowego faworyta, którym jest mały „francuski” piesek. Ale pani jej rozpacz nie wzrusza i w końcu Helcia (tak ma na imię mała bohaterka) zostaje usunięta z „salonów” do izby czeladnej, gdzie poznaje dorosłą już i zgorzkniałą swoją poprzedniczkę, pełniącą teraz obowiązki służącej. Obie zaczynają czekać, kiedy dołączy do nich „francuski” piesek.

Traktowanie dziecka jak bezmyślnej i niewrażliwej lalki ma długą tradycję sięgającą końca XVII w. (wcześniej nie uważano go nawet za lalkę). Przez setki lat dzieci były przez dorosłych (w tym oczywiście głównie przez rodziców) bogato strojone i tresowane tak, aby budziły podziw otoczenia niczym rzadkie ptaki albo dobrze „ułożone” pieski. Kiedy wystrojony w aksamity i koronki potomek pojawia się w salonie i wie, komu, kiedy i jak się uklonić, budzi to chwilowe zainteresowanie osiemnastowiecznego towarzystwa, podobnie jak budzą je współcześnie mali synowie księżnej Diany, w „dorosłych” garniturach, dobrze wiedzący, jak stosownie zachować się w sytuacjach oficjalnych. Stary-malutki, przemądrzała karykatura dorosłego wciąż budzi niezrozumiałe rozbawienie rodziców, dziadków, cioc, babć i innych spektatorów z upodobaniem oglądających głupkowate programy telewizyjne, w



których dzieci poprzebierane za znanych piosenkarzy podrygują w takt odtwarzanych z play-backu przebojów albo – w ciągu kilku minut – przeskakują od przedszkola do Opola.

Tymczasem prawda jest taka, że już dwuletnie dziecko przejawia bardzo dobrą orientację zarówno w przestrzeni (wie, czasami lepiej niż dorośli, gdzie co w domu się znajduje), jak i w stosunkach międzyludzkich (wie kto z kim, choć może jeszcze nie orientuje się – dlaczego?). Praktyka sądowo-psychologiczna dowodzi, że już czterolatek może, w sprzyjających okolicznościach, przedstawić wiarygodną i zborną relację ze zdarzeń, których był świadkiem.

Jeśli zaś chodzi o pamięć świeżą, to mają ją maluchy doskonałą. A że nie obrażają się i nie pamiętają dorosłym czynionych sobie krzywd, to dlatego, że nie mają wyboru. Całkowita zależność od rodziców i opiekunów wyklucza taką możliwość. Dzieci więc cierpią, pamiętają i bez wątpienia nie dają sobie „wcisnąć każdego kitu”, lecz zachowują się tak, jakby było to możliwe, wyczuwają bowiem, że dorośli właśnie tego od nich oczekują.

Najdobitniejszym dowodem na to, że dziecko nie jest bezduszną lalką ani „rozkoszonym głuptakiem”, są odległe, ujawniające się dopiero u progu dorosłości, albo i później, skutki urazów, krzywd i złego traktowania w dzieciństwie, chociaż nie musiało to być bicie czy inne sposoby zadawania bólu fizycznego. Małe dziecko bowiem na swój sposób

przeżywa nasze upokarzanie go, oszukiwanie i wykorzystywanie jego naiwnej ufności do naszych dorosłych, egoistycznych celów i cierpi, nie mogąc sobie poradzić z wewnętrznym konfliktem pomiędzy np. chęcią zadowolenia kochanej matki a negatywną oceną jej postępowania. Bo dzieci, proszę państwa, choć niewiele na ten temat mówią, patrzą na nas i po naszymu oceniają nasze wobec nich postępowanie, szczególnie, kiedy jesteśmy ich rodzicami. Wiem o tym doskonale od nich samych, jako że niejednokrotnie zdarzało mi się wysłuchiwać kilkulatków (nie mówiąc już o starszych dzieciach) słusznie wstydzących się za swoich rodziców, choć byli i tacy, którzy równie słusznie byli dumni ze swoich, mimo że ich postępowanie nie było ogólnie akceptowane. Po prostu lepiej ich rozumieli.

## **Lekarstwo**

Uczucie do dziecka-lalki spełnia właściwie, i to tylko częściowo, pierwsze z naszych kryteriów miłości – mianowicie to, które mówi o pragnieniu bliskości wobec kochanej osoby. Dziecko-lalka bywa obiektem takiego pragnienia pod warunkiem, że nie sprawia kłopotów i, jeśli tak można powiedzieć, nadaje się jeszcze do zabawy, czyli nie jest za duże i zbyt samodzielne. W przeszłości takie dzieci, wyrastając z „lalkowych” lat, trafiały do izby czeladnej, szkół z internatem, klasztorów lub na inne jeszcze „półki”. Współcześnie najczęściej lądują w gabine-

tach psychologów jako trudne nastolatki, z których buntem i złością albo zahamowaniem i niesamodzielnnością – będącymi najczęstszym rezultatem „lalkowego” wychowania – mają sobie teraz poradzić specjaliści. Spotykają się tam z jeszcze inną kategorią dzieci „kochanych inaczej”, czyli z dziećmi powołanymi do życia jako lekarstwo na różne problemy i niespełnienia dorosłych.

Dawniej dzieci musiały się rodzić, jeśli dorośli nie chcieli się wyrzec życia seksualnego. Zasada „co rok prorok” obowiązywała przez całe stulecia, a kobiety rodzące po dziesięć i więcej razy były zjawiskiem powszechnym w każdej warstwie społecznej. Dopiero przekwitanie (następujące w przeszłości wcześniej niż dzisiaj) uwalniało je z piekła porόδów i poronień. Dzisiaj, w zasadzie, zajście w ciążę i urodzenie dziecka stało się przedmiotem świadomej decyzji, przede wszystkim kobiety. Dzięki produkcji coraz doskonalszych środków antykoncepcyjnych życie seksualne, przynajmniej potencjalnie, zostało oddzielone od prokreacji. Zasadniczo też zmienił się stosunek do dzieci przedmałżeńskich i do samotnych matek. W XVIII i XIX w. „panna z dzieckiem” była obiektem społecznej pogardy i niechęci, a jej szanse na znalezienie męża i założenie normalnej rodziny były, praktycznie rzecz biorąc, zerowe. Toteż owe, może nie tyle rozwiązłe, co nieostrożne panny najczęściej korzystały ze wspomnianych wcześniej sposobów pozbywania się niechcianych dzieci. Same zaś przedmałżeńskie lub

pozamałżeńskie „owoce miłości”, zwane „bękartami”, nie posiadały prawie żadnych praw i niemal z góry skazane były na życie na marginesie społeczeństwa.

W dzisiejszych czasach piętno „nieprawego pochodzenia” właściwie nie istnieje, a wraz z wciąż postępującą emancypacją kobiet rośnie liczba tych, które zupełnie świadomie decydują się na samotne macierzyństwo, nie tylko niepotępiane społecznie, ale stanowiące przedmiot różnorodnej opieki i pomocy ze strony państwa. W Polsce liczba samotnych matek przekroczyła półtora miliona i z roku na rok rośnie. W tej grupie najwięcej jest dzieci-lekarstw. Dla wielu kobiet, którym, z różnych względów, nie udało się bądź które nie chciały wyjść za mąż czy wejść w inny, stały związek z mężczyzną, urodzenie dziecka stało się lekarstwem na samotność oraz na poczucie bezsensu i jałowości egzystencji. Bardzo często są to kobiety wykształcone i dobrze ustawione zawodowo, które „mają już prawie wszystko” z wyjątkiem kogoś, kto by je kochał i kogo one by kochały. W tej grupie mieszczą się też kobiety o innych niż heteroseksualna orientacjach seksualnych, pragnące mimo to spełnić się w macierzyństwie, i w końcu kobiety, których dotychczasowe związki z mężczyznami okazały się na tyle nieudane i mało satysfakcjonujące, że postanowiły ułożyć sobie życie bez stałego partnera, ale nie wyrzekając się posiadania potomstwa. Ich dzieci nie są więc, na ogół, owocem miłości, ale wynikiem bar-

dzo nieraz chłodnej kalkulacji. Stanowią one raczej rodzaj inwestycji, która ma przynieść zysk w postaci dostarczenia matce zajęcia, towarzystwa i „usensownienia” jej życia, niż być realizacją spontanicznej, „instynktownej” potrzeby macierzyństwa. Nie chcą przez to bynajmniej powiedzieć, że te matki nie kochają swoich dzieci. Wręcz przeciwnie. Kochają je często bardziej zachłannie, zaborczo i egoistycznie niż inne matki. W okresie wczesnego dzieciństwa (0-10 lat) ich synowie i córki traktowani są najczęściej jak superlalki; otoczone troskliwą opieką stale znajdują się w centrum uwagi matki. W związku z tym są nadzwyczaj mocno (jak mówią psychologowie – symbiotycznie) z nią związane, co, przy jednoczesnym niedostatku kontaktów z rówieśnikami (najczęściej to jedynacy), powoduje ich społeczną nieporadność oraz bardzo wydłuża i komplikuje proces separacji. Po wyrośnięciu z „lalkowych” lat zazwyczaj zaczynają się kłopoty, bo dzieci gwałtownie przestają być lekarstwem na samotność matek, przede wszystkim dlatego, że zaczynają mieć problemy z odnalezieniem się w grupie rówieśniczej, z brakiem umiejętności społecznych, z poczuciem własnej wartości itd. Zaborcze matki, które do tej pory stanowiły dla nich protezę życia społecznego, zastępując im ojca, rówieśników i przyjaciół, nie potrafią wyrzec się tej roli i nie są w stanie wspomóc ich w rozwiązywaniu tych problemów. Wtedy razem pojawiają się w gabinetach psychologów, ponieważ dzieci wybierają najczęściej jedną z dwu

patologicznych dróg poradzenia sobie z tym impasem – gwałtowny bunt przeciwko wszelkim dotychczasowym regułom życia albo neurotyczną ucieczkę w chorobę (np. anoreksję, nerwice natręctw, rozmaite fobie, lęki i schorzenia psychosomatyczne), w objawy przedłużające wczesne dzieciństwo i pozwalające kontynuować symbiotyczny związek z matką.

O tym wszystkim piszę dokładniej w dalszych rozdziałach, a na zakończenie tego chciałbym jeszcze wspomnieć o dzieciach powołanych do życia jako lekarstwo na małżeńskie i rodzinne kryzysy. Mnóstwo par małżeńskich, przeżywając trudne, przelomowe momenty swoich związków, dochodzi do wniosku, że ponowne wejście w role rodziców małego dziecka uzdrowi, odświeży i umocni łączące ich więzi. Najczęściej dzieje się tak w przypadku tzw. kryzysu stabilizacji, czyli przesilenia, jakie następuje zwykle w małżeństwach pomiędzy 6. a 12. rokiem ich trwania. Jest to rzeczywiście czas pewnej stabilizacji kończącej okres dorabiania się i intensywnej opieki nad małymi dziećmi, kiedy podstawowe „urządzenie się” zostaje zakończone, a dzieci są już „odchowane”. Małżonkowie mogą wtedy zwrócić baczniejszą uwagę na wzajemne stosunki i najczęściej konstatają znaczne ich ochłodzenie. Łączące ich pierwotnie uczucia bledną z upływem czasu, życie intymne ulega pewnej rutynizacji i nie jest już tak fascynujące jak na początku, a brak znaczących wspólnych doświadczeń w okre-

się „dorabiania się” i „urządzania” sprzyja ich emocjonalnemu i intelektualnemu oddaleniu od siebie. Wszystko to jest, z jednej strony, wynikiem naturalnej ewolucji małżeństwa, a z drugiej – rezultatem braku inwestowania w pogłębianie wzajemnej bliskości i zainteresowania sobą. W trakcie budowania materialnej bazy rodziny i „odchowывania” dzieci małżonkowie uczą się współdziałać i współpracować ze sobą w tym zbożnym dziele, przekonują się, że mogą na sobie polegać i wzajemnie na sobie liczyć, ale z ich życia powoli ulatnia się fascynacja partnerem i ciekawość jego osoby, które stanowiły istotę pierwszego – „gorącego” – okresu związku. Nierzadko mężowie zaczynają w tym okresie przejawiać pewne znudzenie wdziękami żon, które, z kolei, nie przywiązują zbyt wielkiej wagi do tego, aby się mężom podobać. W efekcie, mężowie (a coraz częściej i żony) zdradzają wzmożone zainteresowanie innymi kobietami (albo mężczyznami), przez co w małżeństwie następuje okres napięcia i kryzysu. Wtedy właśnie na ogół żony (choć bywa i tak, że oboje małżonkowie) wpadają na pomysł, iż nowe dziecko na powrót scementuje rozpadającą się więź uczuciową i odświeży związek. Różnie, oczywiście, z tym bywa, ale większość doświadczeń wskazuje, że dziecko do pełnienia roli lekarstwa na małżeński kryzys raczej się nie nadaje. Przyjście na świat tzw. późnych dzieci, czyli urodzonych po kilkuletniej przerwie i najczęściej po decyzji o zakończeniu prokreacyjnej aktywności mał-

żeństwa, czasem rzeczywiście zapobiega realnemu rozpadowi rodziny, ale równie często go przyspiesza, raczej nie ma wpływu na uczuciowe relacje pomiędzy małżonkami i nie tyle scala lub odświeża związek, ile go komplikuje.

Późne dzieci są, podobnie jak „lalki”, kochane nieco inaczej. Ich matki przeważnie są nadopiekuńcze i zaborcze, co wynika z poczucia winy, a naturalne zmęczenie i zniecierpliwienie, wynikające z wejścia w nie do końca chcianą rolę, maskują nadmierną na nich koncentracją i obezwładniającą troskliwością. Zachowują się tak, jakby ustawicznie przeproszały swoje dzieci za „użycie” ich do „lecniczych” celów. Do pewnych konsekwencji takiej sytuacji wrócę jeszcze później.

A na razie, cóż? Wypada stwierdzić, że z miłością do dzieci, a w szczególności z miłością macierzyńską, jak z większością zjawisk na tym świecie, różnie bywa. Jedno jest wszak pewne – bycie dzieckiem nie musi oznaczać, że się jest kochanym nawet przez tę jedyną, wyjątkową w naszym życiu osobę, przez tę, która nas urodziła.



### 3. Chaos i ból

#### **Poród**

Poród jest bolesnym i trudnym przeżyciem nie tylko dla matki, ale i dla postronnego, nieobytego z takimi zdarzeniami obserwatora. Tego krwawego, dramatycznego widowiska pełnego skrajnego wysiłku i cierpienia nie można oglądać chłodnym okiem. Nic więc dziwnego, że nawet silnym i odpornym mężczyznom zdarzało się zemdleć podczas asystowania rodzącej żonie. Wszelako bez wątplenia najtrudniejszym przeżyciem jest poród dla przychodzącego na świat dziecka. Ktoś kiedyś porównał ten moment do wypadnięcia z ciepłego miękkiego pościania w głąb ciemnej, lodowato zimnej studni o kamiennej cembrowinie. Myślę, że to porównanie, choć sugestywne, nie oddaje jednak w pełni przeżyć noworodka. Pierwszą reakcją dziecka na kontakt z pozamaciczną rzeczywistością jest, jak wiadomo, przeraźliwy krzyk. Wszystko wskazuje na to, że jest on wynikiem wszechogarniającego fizycznego bólu i związanego z nim skrajnego prze-

rażenia. Noworodka boli wszystko. Skóra przyzwyczajona dotąd do stykania się z miękkością, ciepłem i wilgocią żywego ciała nagle zostaje podrażniona dotknięciami suchych i szorstkich, jak sproszkowane szkło, materiałów. Nigdy dotąd niepracująca przepona opornie i boleśnie wykonuje pierwszy, spazmatyczny skurcz. Małeńkie płuca wypełniają się po raz pierwszy zimnym, ciężkim jak płynny kamień powietrzem raniącym po drodze delikatną krtań i cieniutkie jak włoski oskrzela. Mamy za sobą pierwszy wdech. Wydech jest już krzykiem bólu, bo oto do pracy muszą się zabrać inne organy. Pierwszy łyk mleka, pierwsze bolesne przetknięcie i kłujący ból w jelitach rozciągających się pod wpływem wypełniającej je zawartości, ból w moczowodach i cewce moczowej drażnionych pierwszym moczem, ból ruszających do pracy nerek, wątroby, mięśni, ból, ból i ból. W pierwszych godzinach życia organizm noworodka przypomina po raz pierwszy uruchamiany, nowy, pokryty smarem silnik, który powoli, ze zgrzytami i zacięciami, rusza do nierównej pracy i dopiero po dłuższym czasie, kiedy dotrą się różne mniejsze i większe nierówności, chropowatości i zadry, nabiera właściwego rytmu i mocy. Wraz z upływem czasu ból jest coraz mniejszy, chociaż upłyną tygodnie i miesiące, zanim ustanie całkowicie kolka w przepuszczających coraz to nowe rodzaje pożywienia jelitach, skurcze żołądka przyjmującego coraz twardsze i bardziej suche kęsy czy dojmujące pie-

czenie nadżartych kwaśnymi wydaliniami odbytu i cewki moczowej.

Ból jest więc mniejszy, ale bezradność i przerażenie zdają się rosnąć.

### **Bezradność i przerażenie**

W swojej znakomitej książce *Mury milczenia* Alice Miller przytacza fragment pracy Jean Lidlof *W poszukiwaniu straconego szczęścia*, który wydał mi się doskonałym opisem przeżyć niemowlęcia w pierwszych tygodniach i miesiącach życia, czyli w czasie, o którym sądzimy, że dziecko potrzebuje tylko tego, żeby było suche i syte. Pozwalam sobie zacytować ów fragment z niewielkimi skrótami.

„Noworodka, którego skóra tęskni za pierwotnym dotknięciem miękkiego, emanującego ciepłem, żywego ciała, zawija się w suchy, martwy materiał. Kładzie się go do łóżeczka, choć krzyczy ile sił. Tam jest skazany na męczącą pustkę, w której nie ma żadnego ruchu (po raz pierwszy w jego całym, cielesnym doświadczeniu, podczas milionów lat jego ewolucji i błogiej wieczności w macicy). Jedynie dźwięki, jakie może słyszeć, to krzyki innych ofiar, które cierpią tę samą, niewypowiedzianą mękę. Te dźwięki nic mu nie mówią. Dziecko krzyczy i krzyczy, jego nieprzyzwyczajone do powietrza płuca są przeciążone. Nikt nie przychodzi. A ponieważ, zgodnie ze swoją naturą, wierzy w prawidłowe zasady życia, robi jedynie to, co potrafi: krzyczy na-

dal. W końcu wyczerpane zasypia – mija cała wieczność. Budzi się pełne nieprzytomnego strachu przed ciszą, bezruchem. Krzyczy. Od stóp do głów pełne jest palącej tęsknoty i niecierpliwości. Z trudem łapie powietrze i krzyczy, aż pulsuje mu głowa pełna zgiełku. Krzyczy aż do bólu piersi, aż jego krtań staje się raną. Nie może już dłużej znieść bólu; jego szlochanie staje się słabsze i cichsze. Nasłuchuje. Otwiera i zaciska piątki. Przekręca głowę. Nic nie pomaga. To jest nie do zniesienia. Znowu zaczyna krzyczeć, ale dla jego nadwężonej krtani to zbyt wiele; wkrótce znowu przestaje. Usztynnia swoje zmaltretowane, stęsknione ciało i odczuwa zapowiedź ulgi. Macha rączkami i uderza stopami. Przestaje, cierpi nadal, ale nie ma siły myśleć ani żywić nadziei. Nasłuchuje. Potem znowu zasypia.

Nagle zostaje podniesione; pojawia się znowu oczekiwanie tego, co mu się należy. Mokra pielucha zostaje usunięta. Odprężenie. Żywe ręce dotykają jego skóry. Jego stopy są podnoszone i nowe, suchy jak pieprz, kawałek materiału owija jego biodra. I znowu jest tak, jakby nie istniały ręce ani mokra pielucha. Nie ma żadnego świadomego wspomnienia, żadnego śladu nadziei. Dziecko znajduje się w nieznośnej pustce, beczasowej, pozbawionej ruchu, spokojnej, pełnej niezaspokojonego pragnienia. (...) Czas jego pobytu w ciele matki był prawdopodobnie ostatnim okresem nieprzerwanego zadowolenia, który, zgodnie z wrodzonymi mu oczekiwaniami, powinien trwać całe życie. (...) Ktoś

przychodzi i fachowo podnosi je do góry. Dziecko ożywia się. Jak na jego gust jest wprawdzie niesione zbyt delikatnie, ale przynajmniej coś się dzieje. Teraz czuje się na właściwym miejscu. Strach, którego doznawało, zniknął. Wypoczywa w obejmujących je ramionach i jakkolwiek jego skóra nie odbiera przez materiał wrażenia ulgi, żadnego przesłania od ciała żyjącego tuż przy jego ciele, to ręce i usta mówią, że wszystko jest w porządku. Wyrażona radość życia, która w stanie *continuum* (czyli w czasie życia płodowego – przyp. A. S. ) jest normalna, jest teraz prawie pełna. Jest smak i struktura piersi, ciepłe mleko płynie do jego pożądlivych ust, bije serce, które powinno być dla niego nicią, potwierdzeniem związku z ciałem matki. Jego słaby wzrok rejestruje ruch. Także ton głosu jest prawidłowy. Jedynie materiał i zapach (jego mama używa wody kolońskiej) są pewnym dysonansem. Ssie, a gdy czuje się syte i zadowolone, zasypia. Budząc się, odnajduje się w piekle. Żadnego wspomnienia, żadnej nadziei, żadna myśl nie może w tej pustce przywołać pocieszającego wspomnienia wizyty u matki. Mijają godziny, dni i noce. Dziecko krzyczy i zmęczone zasypia. Budzi się i moczy pieluszki. Teraz nie wiąże się z tym żadne uczucie błogości. Jego organy wewnętrzne nie przekazują mu radości odprężenia, którą zgłusza ciągle narastający ból, gdy ciepła, zawierająca kwas uryna podrażnia jego już otarte do krwi ciało. Krzyczy. Jego zmęczone płuca muszą krzyczeć, żeby zagłuszyć ostre piecze-

nie. Krzyczy, aż ból i krzyk zmęczą je, zanim znowu zaśnie.

W jego klinice, która wcale nie jest wyjątkiem, pracowite pielęgniarki zmieniają pieluchy według planu, suche, wilgotne czy też zupełnie mokre; posyłają dzieci do domu całkiem obolałe, gdzie ktoś, kto ma czas na takie sprawy, musi je prawidłowo pielęgnować. Kiedy już znajdzie się w domu swojej matki (nie można go jeszcze nazwać jego domem), w pełni już poznał istotę życia. Na przedświadomej płaszczyźnie, która określi wszystkie jego późniejsze wrażenia i która przejmuje ich piętno, poznaje życie jako niewypowiedziane osamotnienie, bez reakcji na wysłane przez siebie sygnały pełne bólu.

Ale jeszcze nie zrezygnowało. Dopóki jest w nim życie, dopóty siły jego *continuum* stale próbują osiągnąć stan równowagi. Dom w istocie nie różni się od kliniki położniczej także pod względem bolesnych odczuć dziecka. Godziny, podczas których czuwa, pełne są tęsknoty, pragnienia i nieustannego oczekiwania na to, że prawidłowość w sensie *continuum* może zastąpić pozbawioną dźwięków pustkę. Przez kilka minut w ciągu dnia jego pragnienie spełnia się i ogromna, odczuwana na skórze jak swędzenie potrzeba dotyku, bycia trzymanym i noszonym zostaje zaspokojona. Jego matka jest tą, która po wielu rozważaniach zdecydowała się dopuścić je do swojej piersi. Kocha je z nieznaną dotąd czułością. Na początku jest jej ciężko kłaść je po karmieniu do łóżeczka, szczególnie wtedy, gdy

tak rozpaczliwie płacze. Ale jest przekonana, że musi tak postępować, ponieważ matka powiedziała jej (a przecież musi to wiedzieć), że jeśli mu ustąpi, to później, źle wychowane, będzie sprawiało kłopoty. Chce wszystko robić prawidłowo; przez chwilę czuje, że to małe życie, które trzyma w ramionach, jest ważniejsze niż wszystko na świecie. (...) Wzdycha i kładzie je delikatnie do łóżeczka (...) pochyla się i całuje je w aksamitny policzek; potem idzie do drzwi, podczas gdy pierwszy, bolesny krzyk wstrząsa jego ciałem. Powoli zamyka drzwi. Wypowiedziała mu wojnę. Jej wola musi mieć przewagę nad jego wolą. Poprzez drzwi słyszy dźwięki jakby kogoś maltretowanego. (...) Waha się. Jej serce wrywa się do dziecka, ale opiera się pokusie i odchodzi. Właśnie jest świeżo przewinięte i nakarmione. Dlatego jest pewna, że w rzeczywistości nic mu nie brakuje, i pozwala mu płakać aż do wyczerpania. Dziecko budzi się i krzyczy nadal. Jego matka spogląda zza drzwi, żeby się przekonać, że leży prawidłowo; cicho, aby nie budzić w nim niepotrzebnej nadziei na jej obecność, ponownie zamyka drzwi. Biegnie pospiesznie do kuchni, do swojej pracy, i zostawia drzwi otwarte, aby mogła usłyszeć dziecko, gdyby mu się coś stało. Krzyki niemowlęcia przechodzą w drżące kwilenie. Ponieważ nikt nie odpowiada, siła napędowa wysyłanych sygnałów gubi się w chaosie martwej pustki, w której przecież już od dawna powinna pojawić się ulga. Rozgląda się. Po drugiej stronie prętów jego łóżecz-

ka jest ściana. Światło jest stłumione. Nie może się obrócić. Widzi tylko nieruchome pręty i ścianę. Z daleka dochodzą bezsensowne dźwięki. W jego pobliżu jest cisza. Patrzy na ścianę, aż zamykają mu się oczy. Kiedy później otwiera je znowu, pręty i ściany są dokładnie takie same jak poprzednio, ale światło jest bardziej stłumione”.

Nie możemy, niestety (a może – na szczęście), dowiedzieć się od samego dziecka, czy ten wstrząsający opis początków jego życia jest prawdziwy. Ale obserwując noworodka i wczesne niemowlę bez sentymentalizmu i „życzeniowego myślenia”, czujemy, że tak, że całkowicie odpowiada on prawdzie, a nasze przekonanie, iż syte i suche niemowlę nie ma prawa niczego więcej pragnąć, to właśnie czyste *wishfull thinking*. Lęk przed ciemnością i samotnością, trapiący niezliczone rzesze dzieci w Europie i USA, jest często uważany za wrodzony atawizm. Dramatyczna wizja malutkiego więźnia zasypiającego samotnie w „oprętowanej” celi swego łóżeczka pokazuje, że to nieprawda. Po prostu ciemność i pustka od zarania jego życia kojarzą się dziecku z bólem, bezradnością i przerażeniem. Dzieci, które w okresie wczesnego niemowlęctwa rzadko rozstają się z matkami lub których matki przychodzą do nich, reagując na ich krzyk, nie boją się później ciemności i łatwiej przechodzą proces separacji.



## 4. Oporna i tajemnicza materia świata

### **Początek procesu separacji**

Przez cały czas pobytu w ciele matki dziecko jest, w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu, jej częścią. Po porodzie jego ciało jest oddzielone od ciała matki, ale psychicznie nadal doświadcza siebie jako jej części, tyle że nieszczęśliwej i obolałej, bo odebranej brutalnie od macierzystego organizmu. Uporanie się ze skutkami tego urazu jest koszmarem niemowlęstwa, a całkowite psychiczne oddzielenie się od matki, nieodzowne przecież do samodzielnego życia, to proces długi i powolny, kończący się dopiero pomiędzy dziewiątym a dziesiątym rokiem życia.

Wynikiem gwałtownego fizycznego oddzielenia się od matki jest bezradność i strach. Świat poza wnętrzem macicy jest przez dziecko odbierany jako pełen bólu, pustki, bezruchu, samotności i opuszczenia, z czym nie potrafi ono nic zrobić, bowiem jest fizycznie i psychicznie całkowicie bezradne. Jedynie, co potrafi, to krzyczeć, z boku na bok kręcić

głową i wykonywać beztadne, nieskoordynowane ruchy kończynami. Jego ciało jest posłuszne jego woli (zakładając, że takową, przynajmniej w chwilach, kiedy czegoś pragnie, posiada) w bardzo ograniczonym zakresie i taki stan utrzyma się przez większą część okresu niemowlęctwa. W sferze psychicznej nowo narodzone dziecko jest właściwie tylko odbiornikiem, jedną, wielką wrażliwością na bodźce (głównie dotykowe i dźwiękowe) bez specjalnego ich różnicowania, bez rozumienia ich znaczenia oraz bez możliwości ich zapamiętania i powtórnego rozpoznania.

Separacja rozpoczyna się więc rzeczywiście od znalezienia się przez dziecko w sytuacji małego, ślepego kotka wrzuconego do studni. Jak na początek długiego procesu poznawania zupełnie nowego świata i stopniowego usamodzielniania się nie jest to położenie zbyt komfortowe, ale dziecko nie ma zeń żadnego wyjścia.

### **Odkrycie własnego ciała**

Dopiero około czwartego tygodnia życia dziecka stabilizuje się rytm jego oddychania, rytm pracy jego serca, temperatura ciała oraz tonus napięcia mięśniowego. Do tego czasu może się zdarzyć, że regularność oddechu malucha ulegnie nagłemu zakłóceniu, serce może raz zwalniać, a raz przyspieszać tempo swoich uderzeń, temperatura może wykonywać spontaniczne, niczym nieuzasadnione

skoki, a poszczególne mięśnie, albo całe ich grupy, mogą bez żadnego bodźca z zewnątrz napinać się bądź rozluźniać. Wygląda to tak, jakby cieleśna aparatura dziecka po czterech tygodniach rozruchu osiągnęła pierwszy etap dotarcia. Od tej chwili będzie funkcjonować coraz bardziej gładko i rytmicznie. Ale możliwość kierowania nią jest jeszcze bardzo daleko. Szesnastotygodniowe niemowlę położone na brzuchu szamoce się niezdarnie, ale nie potrafi zmienić pozycji ani skoordynować ruchów. Nastąpi to dopiero około piątego miesiąca życia, kiedy poznanie przez niemowlę własnego ciała będzie już nieco zaawansowane, bowiem od chwili, kiedy jako tako ustabilizują się jego podstawowe funkcje życiowe, niemowlę „odkrywa” własne ciało i zapoczątkowuje mozolne jego rozpoznawanie. Całe godziny będzie teraz spędzać na pozornie chaotycznym poruszaniu kończynami, kręceniu głową, kurczeniu i rozkurczaniu palców, zaciskaniu pięści i wodzeniu oczami za wszystkim, co się przed nimi porusza. Z czasem dojdzie do tego machanie rękami, podkurczanie i rozprostowywanie nóg, przesuwanie rąk przed oczami, uderzanie rękami o podłogę, kopanie nogami w materac, aż w końcu dziecko w skupieniu zaczyna oglądać swoje ręce, jedną ręką chwyta drugą, łapie swoje stopy, obmacuje korpus, brzuch i genitalia i wreszcie potrafi na tyle skoordynować swoje ruchy, że może przekreślić się z boku na bok czy przetoczyć z pleców na brzuch i odwrotnie.

Nieświadomi tego, co się dzieje, rodzice często reagują niepokojem na tę uporczywą aktywność dziecka. Skłonni są przypuszczać, że coś mu jest, że coś je boli albo że jest głodne lub spragnione, bo przecież, zgodnie z ich wyobrażeniami, zdrowe, syte i suche niemowlę powinno leżeć jak kłoda i spać. Mniej wystraszeni ojcowie i matki sądzą, że owa pozornie bezładna szamotanina potomka to rodzaj zabawy. „Ono się bawi samo sobą, bo jeszcze nie potrafi używać zabawek” – myślą. I mają sporo racji. Brak ruchu jest przez małe dziecko doświadczany jako rzecz przykra. Bezruch, pustka i samotność są tym, co je w jego bezradności najbardziej przeraża. Toteż, jeśli tylko jego woła potrafi już wydać nieposłusznym członkom najprostsze nawet polecenia, korzysta z tej okazji, aby urozmaicić sobie trwanie w beczasowej, bezwymiarowej przestrzeni. Jednocześnie jednak owa zabawa to trudna, mozolna praca pochłaniająca prawie cały czas czuwania małego człowieka. Jej rezultatem są kształtujące się w jego mózgu skomplikowane połączenia i asocjacje, które będą stanowić neurofizjologiczną podstawę koordynacji wzrokowo-ruchowej, rozpoznawania wymiarów i kierunków oraz celowych, kontrolowanych przez świadomość i wolę dziecka ruchów.

Leżące niemowlę trwa zawieszona w całkowitej, pozbawionej wymiarów pustce. Nie ma w niej „góry” ani „dołu”, stron ani kierunków. Świat oglądany z tej perspektywy składa się z bieli sufitu, na

której tle pokazują się czasami niejasne obrazy mglistych przedmiotów będących w rzeczywistości twarzami opiekunów, ich rękami i trzymanymi przez nie rzeczami. Z boków, jeśli malec przekręca głowę, wyłaniają się równie niejasne, fragmentaryczne i rozmyte kontury będące meblami, elementami urządzenia pokoju, ciałami rodziców itd. Jest to świat upiornych cieni, niezrozumiałego ruchu i chaotycznych dźwięków. Dopiero opanowanie elementarnych ruchów ciała pozwala dziecku zdobyć podstawową orientację w przestrzeni. Dodane do tego coraz lepsze widzenie powoduje, że około piątego miesiąca życia dziecko rozpoznaje już z grubsza miejsce, w którym się znajduje, i najczęściej pochylające się nad nim twarze, a nawet potrafi wyciągnąć do nich rękę, która jednak jeszcze nie potrafi nic chwycić. Nieco wcześniej najsprawniejszy zmysł niemowlaka, słuch, pozwala mu z kakofonii wszechobecnych dźwięków wyłowić i rozpoznać ten, który jest zapowiedzią pokarmu oraz błogiej ulgi płynącej z bliskości – głos matki. Pięciomiesięczne dziecko bardzo potrzebuje tej uspokajającej bliskości, bowiem jego życie pełne jest bolesnego napięcia i frustracji. Ich źródłem jest, paradoksalnie, właśnie świeżo osiągnięty wzrost sprawności ruchowej, który powoduje, że malec silniej doświadcza wielkiej jeszcze wciąż, własnej bezradności. Co prawda potrafi już przetoczyć się z pleców na brzuch, ale w tej pozycji nie udaje mu się, mimo że usilnie próbuje, podciągnąć kolan pod siebie.

Próbuje samo usiąść – nic z tego. Wyciąga ręce w kierunku twarzy matki albo pojawiających się w polu widzenia przedmiotów i stara się je chwycić – znów niepowodzenie. Więc zniecierpliwione płacze ze złości i znów próbuje. Ale minie jeszcze ponad trzy miesiące, zanim opanuje sztukę siadania i siedzenia na tyle, że będzie mogło rozejrzeć się dookoła i zwrócić uwagę ku światu zewnętrznemu widzianemu już z innej niż „leżąca” perspektywy.

### **Odkrycie świata**

I tu czeka je przykra niespodzianka. Rzeczywistość oglądana w pełni już sprawnym wzrokiem z pozycji siedzącej jest zupełnie inna niż ta zamglona, oglądana na leżąco, do której jednak już nieco przywykło. Teraz musi od nowa uczyć się kierunków i stron, zapamiętać nowe punkty orientacyjne, przyzwyczać się do nowego wyglądu matki, przedmiotów, mebli, a nawet własnego ciała. Siedząc, może dokładnie przyjrzeć się rzadko przedtem widywanym stopom, które, nieco zdumione, chwyta, ciągnie do góry i, jak każdy nowy przedmiot, usiłuje wziać do buzi. Ale przede wszystkim fascynują je rzeczy. Bez wahania chwyta wszystko, co znajduje się w polu jego widzenia. Bada każdą rzecz, podnosi do ust, usiłuje gryźć, przekłada z ręki do ręki, obraca, wali nią z upodobaniem w ścianę albo w stolik, uderza jednym przedmiotem o drugi itd. Na tych „zabawach”, jak znów z braku lepszego określenia

nazywają je rodzice, spędza w skupieniu długie chwile, starając się rozwikłać zagadkę twardości i nieprzenikliwości rzeczy, ich koloru, smaku, zapachu i wszelkich innych właściwości. Jest to bez wątpienia zabawa, ale też wielkie poznawanie i uczenie się.

Jego rezultaty są początkowo raczej nieprzyjemne. Przedmioty stawiają opór, nie poddają się woli dziecka, są niewzruszone wobec jego manipulacji i często „odpowiadają” niespodziewanym atakiem na nie. Oto zwisający ze stołu obrus pociągnięty dziecięcą ręką „skacze” małemu ciekawskiemu na głowę i spowija go swoimi groźnymi zwojami, butelka, którą badacz wali w stolik, odbija się od niego i boleśnie uderza eksperymentatora w nos, wzięta do buzi papierowa chusteczka nasiąka śliną i przykleja się do języka itd. Co krok, to niespodzianka, zaskoczenie, problem, a nierzadko ból i przerażenie, bo przecież niektóre przedmioty parzą, przecinają skórę, kłują, drapią, szczypią. Opiekunowie, co prawda, starają się te groźne rzeczy usunąć poza zasięg wszędobylskich rąk, ale nie zawsze im się to udaje, bo dziecko zaczyna też rozwiązywać zagadki przestrzeni. Mając nieco ponad dziewięć miesięcy, wie już, że do odległych przedmiotów należy się zbliżyć, i potrafi to zrobić, pracowicie pełzając na łokciach i kolanach. Zaczyna też rozumieć następny po odległości wymiar – wysokość, i aby osiągnąć czegoś ponad swoim poziomem, umie, wykorzystując różne podpórki, podciągnąć się do pozycji stojącej.

W trzy miesiące później, po niezliczonych próbach, upadkach, wywrotkach, zderzeniach ze ścianami i meblami, dziecko pokonuje wreszcie grawitację i zaczyna chodzić, a mając mniej więcej rok i trzy miesiące potrafi już biegać, wspinać się i rzucać. Wszystko to robi jeszcze niezdarne i niepewnie, ale bardzo zdecydowanie, energicznie i z niesłychanym uporem. Bez końca może się wspinać na schody i ześlizgiwać z nich (bo trudno jeszcze mówić o schodzeniu), uwielbia włączyć na meble, parapety, szafki i wszędzie tam, gdzie może się podciągnąć, dostać, wgramolić. Jest to czas, kiedy przed jego rękami trzeba chronić co bardziej kruche przedmioty, bo zostaną chwyczone i natychmiast ciśnięte na podłogę, zwisające obrusy i serwety, bo zostaną ściągnięte (często wraz ze stojącymi na nich wazonami albo zastawą obiadową), książki i papiery, ponieważ zostaną zmięte i podarte (małe dzieci lubią dźwięk dartego papieru) itd. Najlepiej jest w tym czasie usunąć z terytorium, na którym dziecko operuje, wszystkie takie rzeczy lub przenieść je tam, gdzie jego ręce jeszcze nie sięgają.

Mimo ogromnego zaaferowania światem i niespożytej energii w jego badaniu półtoraroczny człowiek bardzo uważa, aby zbytnio nie oddalić się od matki i broń Boże nie stracić jej z oczu. Separacja jest jeszcze w bardzo wczesnym stadium i lęk przed oddzieleniem się od matki ogromny. Równie wielka jest ulga, uspokojenie i poczucie bezpieczeństwa płynące z bliskiego z nią kontaktu. Niejed-



nokrotnie będziemy w tym okresie obserwować różne manewry dziecka, które stara się pogodzić ciekawość świata z lękiem przed oddaleniem się od matki. Ciągnie np. matkę w stronę interesującej je rzeczy i trzymając się jedną ręką jej palca, drugą bada ów intrygujący przedmiot. Ręka trzymająca matczyne palec stanowi coś w rodzaju przewodu zasilającego, przez który do psychiki dziecka płynie poczucie bezpieczeństwa. Albo widząc coś nowego, fascynującego gorączkowo wdrapuje się na matczyne kolana i dopiero z ich bezpiecznej wysokości oddaje się zachłannej obserwacji. Oczywiście bardzo często takie idealne rozwiązania nie są możliwe i malec musi wybierać pomiędzy chęcią zaspokojenia ciekawości a potrzebą trzymania się matki. Wybiera, naturalnie, matkę, choć płaczem i złym humorem może wtedy wyrazić swoje niezadowolenie z tego, że ominęła je kolejna poznawcza przygoda.

Generalnie rzecz biorąc, późne niemowlęstwo, aż do trzydziestego miesiąca życia, to stosunkowo szczęśliwy okres, w którym, poza gorączkowym wysiłkiem oraz frustracjami związanymi z poznawaniem siebie samego i świata, dziecko nie doznaje specjalnych napięć. Demony i koszmary dzieciństwa na chwilę ustępują pola. Ale tylko na chwilę.

### **Pojawia się wczesne wychowanie**

Mały szkodnik niezmordowanie biegający po mieszkaniu i jak minitornado siejący bałagan i znisz-

czenie budzi zazwyczaj mieszane uczucia rodziców. Z jednej strony cieszą się oni, że dziecko jest aktywne, bo wtedy wiadomo, iż jest zdrowe i dobrze się rozwija, choć z drugiej – jego zachowanie budzi złość i protest. Owej złości jest tym więcej, im mniej matki i ojcowie rozumieją, że takie zachowanie jest prawidłowością rozwojową, przypisując je złośliwości potomka, jego „upartemu charakterowi” czy wcześniej ujawnionej skłonności do gwałtownych, destrukcyjnych działań. Skoro zaś dziecko jest złośliwe, uparte i od pieluch przejawia chuligańskie upodobania, to należy przedsięwziąć odpowiednie środki dla dostatecznie wczesnego poskromienia „charakterku” córeczki czy synka, bo „co to będzie w przyszłości”. Już więc półtoraroczniaki poddawane są zabiegom wychowawczym w postaci perswazji, słownego karcenia, a nawet klapsów i regularnego bicia. Sam niejednokrotnie widziałem w różnych miejscach matki i innych opiekunów wygłaszających do przecież jeszcze niemowlaków długie kazania na temat szkodliwości np. wchodzenia do kałuży czy chwytania w rękę psiej kupy znalezionej na trawniku, obrzucających dziecko wyzwiskami i poszturchujących je z powodu np. rzużenia na ziemię wręczonej mu właśnie kanapki czy częstujących je siarczystymi klapsami z powodu zrzucenia z półki w supermarkecie słoika z majonezem. Sytuacja staje się jeszcze bardziej dramatyczna, kiedy – około osiemnastego miesiąca życia – dziecko wchodzi w okres przekory i zaczyna zach-

wywać się tak, jakby celowo pragnęło doprowadzić rodziców do wściekłości. Przywoływane albo stoi nieruchomo, patrząc bezczelnie na wołającego rodzica, albo ucieka w przeciwnym kierunku. Poproszone, żeby podało kubek, z którego właśnie piło, rzuci go na podłogę. Zachęcane, żeby zrobiło „papa” cioci Heli, odwróci się do niej tyłem. Przynaglone, żeby szybciej przełykało kaszkę, wypluje nagromadzone w buzi „zapasy”. I tak dalej. Wrażenie, że córka czy synek robi to wszystko „na złość” i „namyślnie”, jest uderzające, toteż nic dziwnego, że w opiekunach wzbiera złość na małego buntownika i chęć oduczenia go „stawiania się” dorosłym. Tymczasem dziecko nie zachowuje się tak dlatego, że ma „podły charakter” czy „złe skłonności”. Ono tylko nie dorosło jeszcze do okresu, w którym słowa są wyznacznikami działania, ani do tego, by umieć odwlec zaspokojenie jakiejś potrzeby czy na coś poczekać. Teraz, już i natychmiast są najważniejszymi dlań wymiarami czasu, co w połączeniu z nastawieniem wyłącznie na branie w stosunkach z innymi ludźmi czyni z „osiemnastaka” egoistycznego gwałtownika traktującego ludzi, a szczególnie najbliższych, jak przedmioty. Pewien znany mi gentleman w tym wieku energicznym pchnięciem obalił na podłogę kucającą przed nim babcię i przebiegł po niej, aby chwycić leżącą nieopodal zabawkę. Inny – z zimną krwią wyrwał starszej siostrze z ręki banana i pożarł go, mimo że w drugiej ręce trzymał swój owoc. Pewna dziewczynka, z kolei, znana była

w swej rodzinie z tego, że dążąc w jakimś kierunku, odpychała jak taran każdego, kto stawał na jej drodze, częstując go przy okazji bolesnymi uderzeniami w te części ciała, które akurat były w jej zasięgu, czyli, w przypadku osób dorosłych, w genitalia. I tak dalej. Jest oczywiste, że tego rodzaju zachowania dziecka nie przysparzają mu na ogół sympatii otoczenia, a w rodzicach, oprócz doraźnej złości, wywołują zatroskanie na myśl: „co z niego wyrośnie, skoro już teraz trudno sobie z nim poradzić”. To zatroskanie, z kolei, jest źródłem wspomnianych wcześniej działań wychowawczych mających na celu utemperowanie „rozwydrzonego” potomka za pomocą kazań, awantur i klapsów, które, naturalnie, nie przynoszą spodziewanych rezultatów. Jeżeli jednak rodzice rozumieją, że motorem zachowań ich pociechy nie jest zła wola, ale ruchowa, językowa i uczuciowa jej niedojrzałość, sprawa staje się znacznie łatwiejsza. Zamiast walczyć z rozwojowymi, a więc przemijającymi skłonnościami syna czy córki, nastawiają się oni na przeczekanie trudnego okresu przy minimalnych stratach. Zamiast np. wołać dziecko do siebie, starają się je jakoś przywabić albo nawet złapać i przynieść w pożądaną miejscę, nie widząc w przekorze malca nieposłuszeństwa, tylko niedojrzałość do wykonywania poleceń. Jeśli chcą, żeby synek czy córka czegoś nie ruszali albo gdzieś nie włązili, nie będą im stawiać zakazów i tłumaczyć, że czegoś nie wolno, ale fizycznie uniemożliwią maluchom dostanie się w zakazane reje-

ny i basta. W tym wieku lepsze są starannie zamknięte drzwi albo barierka przy schodach niż słowne nakazy i zakazy. Wiedząc, że „osiemnastak” może efektywnie skupić uwagę jedynie przez kilka sekund, będą unikać długich, skierowanych do potomka wypowiedzi, ograniczając się do krótkich komunikatów typu: „to – nie”, „stój”, „siedź” itp. Będą się też starali umożliwić dziecku znalezienie ujścia dla rozsadzającej je energii, nie wymagając, aby było grzeczne, ciche i spokojne, ale organizując mu bezpieczne warunki do biegania, włożenia, rzucania i innych, ukochanych w tym wieku aktywności. Myśląc i postępując w ten sposób, oszczędzimy małemu człowiekowi najwcześniejszych urazów emocjonalnych, jakie powstają, kiedy go karzemy lub obrażamy się na niego za rzeczy, na które nie ma on wpływu. Nie zrozumie naszych wychowawczych usiłowań, a jedynie odczuje je jako bolesne odrzucenie oraz cofnięcie mu naszej akceptacji i miłości, bez których nie może się normalnie rozwijać.

## 5. Udręki cywilizacji

### **Czas wychowania**

Wraz z osiągnięciem przez dziecko pełnej sprawności ruchowej i opanowaniem przynajmniej początków mowy kończy się okres, w którym było ono jedynie przedmiotem opieki. Nadchodzi czas wychowania. Mały człowiek będzie teraz przez wiele lat obiektem skomplikowanych oddziaływań ze strony rodziców, a z czasem i innych ludzi, mających na celu przekształcenie go w cywilizowaną, świadomą siebie i swoich ról społecznych istotę, która będzie się zachowywać zgodnie z kulturą i obyczajami swojej macierzystej społeczności. Ta przemiana jest głównym celem procesu wychowania, w trakcie którego dziecku zostaną przekazane obowiązujące w jego rodzinie, a potem w jego subkulturze i kulturze wzorce zachowania, wartości, niezbędne umiejętności oraz wiedza umożliwiające mu stanie się w przyszłości pełnoprawnym członkiem społeczeństwa, w którym przyszło na świat. Wychowanie jest więc niezbędne i absolut-

nie konieczne, ale – jak większość koniecznych i niezbędnych zabiegów – niezbyt przyjemne. Jest ono bowiem w istocie, przynajmniej w swoich początkach, próbą przekształcenia naturalnych i spontanicznych zachowań dziecka w zachowania cywilizowane. Dwulatek, z punktu widzenia obowiązującego *savoir vivre'u*, to mały barbarzyńca, troglodyta bez skrępowania załatwiający swoje potrzeby fizjologiczne w tej samej chwili, w której je odczuwa, pozbawiony odrazy do własnych i cudzych wydalin, uwielbiający biegać nago, nie lubiący mydła i mycia oraz wszelkiego skrępowania i przymusu. Ów, jak go ktoś nazwał, „hałas otoczony brudem” sam z siebie nie zacznie sikać do nocnika albo do muszli klozetowej, nie zapragnie spontanicznie myć zębów i rąk przed jedzeniem, nie dojdzie do samodzielnego wniosku, że ukazywanie świata gołej pupy jest rzeczą wstydliwą, nie wpadnie na pomysł, że należy się uklonić cioci Heli itd. Wszystkie te i wiele innych rzeczy trzeba na nim tak czy inaczej wymusić. Co prawda, jest on już nieco bardziej podatny na perswazje i polecenia oraz, w pewnym stopniu, ulega modelującemu wpływowi rodziców i innych znaczących osób (czyli w jakimś zakresie bierze z nich przykład), ale i tak początki wychowania są w przeważającej części użyciem różnych form przymusu. Na ogół jest to jedynie przymus niezbędny, łagodny i ucywilizowany, chociaż nie rzadko i w niejednej rodzinie przybiera on formy brutalnej przemocy.

Mówiąc w największym skrócie, wychowanie polega na tym, iż wychowawca stawia wychowan- kowi pewne, zgodne z przyjętym programem, cele i za pomocą tzw. wzmocnień, czyli kar i nagród, motywuje go do ich osiągnięcia. Program wczesnego wychowania i jego cele zmierzające do poddania dziecka kontroli i eliminacji naturalnych impulsów kierujących dotąd jego zachowaniem są całkowicie sprzeczne z doraźnymi interesami małego człowie- ka, który kierował się w dotychczasowym życiu pro- stą zasadą: dążeniem do rzeczy przyjemnych i uni- kaniem przykrych. Cywilizacja wymaga natomiast, aby dążył on do rzeczy (ogólnie rzecz biorąc) słusz- nych, czyli akceptowanych przez przeważającą część danej społeczności, i unikał nagannych, czyli przez tę część społeczności odrzucanych. W zwią- zku z tym różne cywilizacyjne konieczności są dla dziecka ewidentnie przykre, toteż z reguły stawia on wychowawcy opór i stara się uchylić od spełnie- nia stawianych przez niego wymogów. Dla malut- kiego dziecka konieczność kontrolowania czynno- ści fizjologicznych, wymóg umiejętności poczeka- nia i odwlekania zaspokojenia odczuwanych po- trzeb czy narzucenie sobie reżimu stałego wykony- wania tak czasochłonnych, nudnych i, w gruncie rzeczy, nieprzyjemnych czynności, jak mycie zę- bów czy zakładanie majtek, jest trudne i przykre. Poddaje się ono tym wszystkim koniecznościom, wymogom, poleceniom i zarządzeniom wycho- wawców (najczęściej są nimi rodzice) wyłącznie z



obawy przed karą i aby zyskać ich aprobatę, będącą gwarancją zaspokojenia potrzeby bezpieczeństwa. Sam z siebie dwulatek chętnie pozostałby szczęśliwym, choć nagim i umorusanym dzikusem.

Z racji owej sprzeczności pomiędzy intencjami i planami wychowawców a interesami emocjonalnymi i naturalnymi chęciami dziecka wychowanie będzie dla niego przez długie lata źródłem napięcia, cierpienia i strachu, czyli kolejnym, po bezradności i lęku przed opuszczeniem, koszmarem dzieciństwa.

### **Trening czystości**

Jednym z pierwszych celów, jakie – często jeszcze przed niespełną dwuletnim dzieckiem – stawiają rodzice, jest uzyskanie przezeń kontroli nad wypróżnianiem się i wydalaniem moczu. Ambicją większości matek jest jak najwcześniejsze skłonienie potomka do tego, aby nauczył się:

- powstrzymać się od natychmiastowego zrobienia kupy lub oddania moczu w momencie, kiedy organizm zasygnalizuje mu taką potrzebę,
- poinformować o jej wystąpieniu rodzica lub innego opiekuna,
- „załatwić się” do nocnika lub klozetu, po uprzednim zdjęciu (z ewentualną pomocą dorosłego) stojących temu na przeszkodzie części ubrania.

Jest to, jak widać, złożone i trudne zadanie, które niecierpliwie mamusie stawiają czasami już rocz-

nemu dziecku, usilnie namawiając je i przymuszając do siadania co jakiś czas na nocniku oraz karząc je wyrazami niezadowolenia, a nawet klapsami, za zabrudzenie lub zmoczenie pieluchy. Czasami odnoszę wrażenie, że matki w pewien sposób rywalizują między sobą o to, której pociecha wcześniej nauczy się „wołać” i „wyjdzie z pieluch”. Tymczasem dziecko nie może początkowo zrozumieć, czego się od niego oczekuje, bowiem dotąd za regularne wydalanie, traktowane jako oznaka zdrowia i prawidłowej pracy organizmu, było raczej chwalebne i nagradzane, a pielucha jest dla niego może niezbyt wygodną, ale jak najbardziej normalną częścią ubrania. I nagle wszystko się zmienia. Za to samo, co kiedyś wywoływało zadowolenie rodziców, teraz jest karcone, a nawet poszturchiwane lub wręcz bite. Mama coraz częściej nie zakłada mu pieluchy, wymaga, aby nudząc się, długo siedziało na nocniku, i okazuje radość, kiedy potomkowi uda się go czymś napełnić. W dodatku natychmiastowa defekacja lub opróżnienie pęcherza jest dla malucha jedną z niewielu dostępnych mu cielesnych przyjemności przynoszących rozkoszne uczucie ulgi i odprężenia (mniemam, że znane również rodzicom). Dlatego wiele dzieci w początkach treningu czystości, czując, że coś się w sprawach wydalania zmieniło, wręcz szuka odosobnienia, chroniąc się w jakimś zacisznym kątku, aby tam w spokoju ulżyć sobie, jak dotąd, w pieluchę. Matki doprowadza to do szału, gdyż skłonne są przypuszczać, że pocie-

cha robi tak „specjalnie” i złośliwie, gdyż jest złym, niechlujnym dzieckiem, które lubi chodzić usmarowane własnymi odchodami. Nie potrafią one, a może i nie chcą pamiętać, że roczne czy nawet starsze dziecko nie przejawia wstrętu w stosunku do produktów wydalania, traktując je jak np. ślinę, błoto i inne temu podobne rodzaje materii. Odraza do odchodów, podobnie jak do brudu i smrodu, jest wyuczona.

Zanim dziecko pojmie, że matka oczekuje od niego wyrzeczenia się przyjemności płynącej z natychmiastowej defekacji czy wysikania się, upłynie dużo czasu, w którym będzie ono znosić niezrozumiałe dla siebie szykany oraz towarzyszące im napięcie i lęk.

Najsrozszą karą dla małego dziecka (od 0 do 10 roku życia) jest emocjonalne odrzucenie go przez matkę (lub opiekuna) polegające na obrażeniu się na nie, odsunięciu go od siebie i okazaniu mu dezaprobaty. Starsze dzieci wolą nawet dostać lanie niż znosić to, że urażona mama traktuje je jak powietrze. A tak najczęściej reagują rodzice i opiekunowie na fakt zanieczyszczenia albo zmoczenia majtek przez pociechę. „Fe – mówi matka, widząc «majątkową katastrofę» córki czy syna – idź sobie ode mnie. Mama nie chce takiej niegrzecznej, nieposłusznej dziewczynki”. I odpycha od siebie dziecko, które przerażone już teraz tym, co się stało, stara się do niej przytulić, aby w niezawodnej bliskości poszukać ulgi w nieznośnym napięciu i lęku. Matka

jednak jest nieugięta i choć czasami serce jej się kraje, odwraca się do dziecka plecami i odchodzi, bo słyszała gdzieś, że tak trzeba, że należy być twar-  
dym i konsekwentnym i że tylko wtedy można li-  
czyć na wychowawczy sukces. Najgorsze, że w  
pewnym sensie jest to prawda, bowiem takiemu  
naciskowi emocjonalnemu nie oprze się żaden  
dwo-, trzy-, a nawet pięcioletek i niezwłocznie, na  
ile tylko będzie mógł, postara się zadowolić zagnie-  
waną mamę, która tym samym utwierdza się w  
przekonaniu, że w wychowywaniu swego dziecka  
obrała słuszną drogę. Tymczasem prawda jest też  
taka, że wczesne wychowanie, a szczególnie tren-  
ning czystości, jest źródłem złożonego, bardzo nie-  
przyjemnego stanu emocjonalnego, który będzie  
trafił dziecko przez długie lata, stając się kolejnym  
koszmarem dzieciństwa. Jest to zabójcza mieszani-  
na poczucia winy, lęku, wstydu, złości i żalu, zwana  
„poczuciem, że jest się nie w porządku”, która to  
nazwa znacznie zgrabniej brzmi po angielsku, czyli  
w języku, w którym ją wymyślono – *not OK feeling*.  
Jak „smakuje” owo „nie OK uczucie”, możemy się  
łatwo przekonać sami, przypominając sobie oko-  
liczności, w których czuliśmy się winni jakiejś sytu-  
acji, będąc jednocześnie wobec niej całkowicie  
bezradni i pozbawieni jakiegokolwiek na nią wpły-  
wu. Jest to np. sytuacja człowieka, który w dobrej  
wierze pomógł komuś załadować do samochodu  
ciężki przedmiot, po czym okazało się, że wspo-  
mógł groźnego bandytę uciekającego z łupem.

Prawda, że to gorzki i obrzydliwy smak? Całe szczęście, że musimy go odczuwać tylko czasami. Dziecko zaś jest nań prawie ustawicznie skazane przez całe dzieciństwo, bowiem podczas jego trwania bez przerwy słyszy ze wszystkich stron:

### **Nie jesteś w porządku**

Prawie nic lub zgoła nic z tego, co robi małe dziecko, nie budzi zadowolenia jego rodziców. Kiedy – jako dwuipółlatek – upiera się, że samo będzie jadło, ubierało się, myło itd., rodzice nie wyrażają na to zgody, ponieważ pragnienia potomka wyprzedzają umiejętności, więc skutki jego samodzielnych poczynań bywają żałosne. A nawet jeśli zgadzają się na jakieś dziecięce eksperymenty w tym zakresie, to najczęściej ustawicznie poprawiają, napominają i korygują córeczkę czy syna. Nie tak trzymasz łyżkę, nie tą ręką, za dużo nabierasz do buzi, ten bucik nie na tę nogę, spodenki trzymasz tyłem do przodu, nie wyciskaj tyle pasty, nie połykaj pasty, myj tą stroną szczoteczki, namydl jeszcze raz ręce itd., itp. Uwagom i poprawkom nie ma końca, a każda z nich wbija do głowy dziecka: nie jesteś OK, nie umiesz, nie potrafisz, nie wrywaj się do samodzielności, słuchaj mamy, jesteś nie OK. I tak w koło. Począwszy od mniej więcej drugiego roku życia przez następne kilkanaście lat dziecko będzie przedmiotem nieustannej krytyki ze strony rodziców i innych dorosłych, ponieważ opanowanie cy-

wilizowanych zachowań jest niełatwe i w dodatku dziecko często nie czuje i nie rozumie ich sensu. Klasycznym przykładem takiej sytuacji jest będąca zmurą każdego dzieciństwa sprawa utrzymania czystości i porządku.

Na ogół, odkąd tylko dziecko wychodzi ze śpioszków i innych niemowlęcych ciuszków, rodzice zaczynają zwracać jego uwagę na to, żeby dbało o zachowanie w czystości swojego ubranka. Szczególnie, jeżeli jest to „święteczny”, elegancki strój przeznaczony na specjalnie uroczyste okazje, na wizyty, odwiedziny gości, niedzielne spacerunki itd. Mamy, rzadziej tatusiowie, upominają więc swoje dwu-, trzy-, cztero- i pięcioletki, aby uważały, nie pobrudziły się i nie wymięły, bowiem ich ambicją jest, żeby nikt nie wątpił, że dziecko jest czyste i zadbane. W naturalny sposób pragną, aby ich córki i synowie ładnie wyglądali, żeby podobali się innym ludziom, którzy z uznaniem będą patrzeć na nich i, oczywiście, na ich troskliwych, dbających rodziców. Tymczasem noszenie eleganckich sukienek, białych rajstopek, zaprasowanych w kancik spodek, słodkich, pastelowych sweterków, lśniących bucików i wszystkich innych atrybutów dziecięcej elegancji jest zazwyczaj głęboko sprzeczne z interesami i pragnieniami ubieranych w nie pociech. Dzieci cenią sobie swobodę i wygodę do tego stopnia, że gdzieś do czwartego, piątego roku życia najlepiej czują się w ogóle bez ubrania i wykorzystują każdą okazję, żeby pobiegać na golasa, dopóki,

pod koniec piątego roku życia, pod wpływem ustawicznych napomnień dorosłego otoczenia nie nauczą się wstydzić swojego ciała. Natomiast niemal aż do początków dorastania pozostaje im daleko posunięta obojętność wobec tego, czym przystonia swoją goliznę, byle nie krępowało to ruchów, nigdzie nie „piło”, nie drapało i nie ocierało. Maluchy, te do piątego roku życia włącznie, zaprzątnięte zachłannym poznawaniem świata nie mają czasu ani ochoty uważać, aby ich zazwyczaj bardzo zajęte ręce nie były wycierane w ubranie, nie chcą pamiętać, aby w czystych rajstopach nie klękać na ziemi, a w założonym „od święta” eleganckim garniturku nie wczółgiwać się pod meble. Poszanowanie ubrania bywa więc przedmiotem ostrych akcji wychowawczych ze strony rodziców, którzy uważają, że powinni jak najwcześniej wdrożyć swoje pociechy do schludności. Ich rezultatem są wystrojone i wytresowane dzieci, które z wyrazem udreki na twarzach tkwią nieruchomo (nieruchomość jest czymś w najwyższym stopniu sprzecznym z dziecięcą naturą) przy swoich rodzicielach, dając świadectwo ich troskliwej dbałości, albo poruszają się sztywno, jak kukielki, spięte strachem przed zabrudzeniem lub wprowadzeniem nieładu w starannie przez mamę zaaranżowanej kreacji. Nie rozumieją one do końca, dlaczego niby mają się wyrzec ulubionych zabaw w imię tego, żeby rajstopki pozostały białe, a bluzka się nie wymięła, ale cóż mają robić? Muszą się pogodzić z tą dziwaczną fanaberią do-

rosłych z lęku przed ich niezadowoleniem i dezaprobatą.

Za fanaberie dorosłych uważają też dzieci konieczność zachowania „dorosłego” porządku w swoim pokoju czy kąciku, w swoich zabawkach i na swoim biurku. Najbliższe otoczenie, w którym żyje każdy z nas, jak wszystko na świecie zmierza do entropii, czyli od porządku do chaosu. Dlatego natura wyposażyła nas w „próg dopuszczalnego bałaganu”, czyli wewnętrznie odczuwaną granicę, od której zaczynamy uważać, że nasze otoczenie wymaga uporządkowania. W zależności od wychowania, jakie odebraliśmy, ów próg bywa różny u różnych ludzi. Dla jednego granicą dopuszczalnego bałaganu będą dwa brudne talerze odłożone do zlewozmywaka, a dla drugiego niemożność znalezienia ulubionych kapci wśród innych porzrzuconych wszędzie przedmiotów. Dla dzieci „próg dopuszczalnego bałaganu” prawie zawsze lokuje się wyżej niż dla dorosłych, co oznacza, że na ogół uważają one za porządek to, co dorośli już dawno uznali za niedopuszczalny bałagan. W związku z tym wymagania rodziców odnośnie stanu uporządkowania dziecięcego pokoju, kącika, biurka czy szafki wydają się potomstwu niczym nieuzasadnionym, uciążliwym dziwactwem, które zagnieździło się w umysłach rodzicieli na jego udrekę i zgubę.

„Posprzątaj swój pokój” – mówi mama, a dziecko posłusznie biegnie wypełnić owo polecenie i w progu staje bezradne, ponieważ pokój jest posprzą-



tany. Malec wyteżza wzrok i uwagę, aby dostrzec bałagan, który rodzicielka poleciła usunąć, ale im uważniej patrzy, tym bardziej niczego szczególniego nie widzi. Wszędzie jest ład i porządek. Dla świętego spokoju przestawia więc kuchenkę z podłogi na półkę, a lalkę Balbinę z półki na podłogę i pędzi oznajmić mamie radośnie, że porządki już zakończone. Mama idzie sprawdzić i zaczynają się gorzkie wyrzuty:

„Czy ty naprawdę nie możesz raz normalnie posprzątać, a nie oszukiwać? Jak możesz bawić się w takim nieporządku. Bierz się zaraz do pracy i nie oszukuj”. A dziecko, czując się bałaganiarzem i oszustem, patrzy bezradnie na uporządkowany pokój, w którym naprawdę nie ma już nic do zrobienia, i nie wie, co uczynić, żeby mama się już nie gniewała. Nie jest wykluczone, że ta sytuacja przyśni mu się w nocy i wtedy obudzi się z płaczem, przytuli drżące ciało do mamy, która powie: „Nie bój się, to tylko senny koszmar” – myśląc, że synowi czy córce musiało się przyśnić coś naprawdę strasznego.

Pisząc to wszystko, nie chcę, oczywiście, powiedzieć, że rodzice źle postępują, starając się wpoić swoim dzieciom umiłowanie czystości i porządku. Jak najbardziej powinni oni to robić i mają całkowitą rację, że to robią. Tyle że dzieci, szczególnie te młodsze, też mają swoje racje. Ze zderzenia zaś tych dwu racji powstaje w dziecięcej psychice napięcie, żal, lęk i złość, co daje w rezultacie, jak wiemy, poczucie niebycia w porządku. Ani dzieci, ani

rodzice nie mają wyjścia z tej sytuacji. Dzieci nie mogą nie być wychowywane (czyli przygotowywane do samodzielnego życia w danej społeczności), a wczesne wychowanie nie może nie być choćby nie wiem jak cywilizowanym i łagodnym, ale jednak użyciem przymusu. Dziecko więc niejako strukturalnie, z racji bycia dzieckiem, skazane jest na znoszenie koszmarnego uczucia bycia nie w porządku niemal w każdej godzinie swojego życia, bo przecież utrzymywanie czystości i sprzątanie to tylko pierwsze z brzegu przykłady. A jest jeszcze jedzenie, zachowanie się przy stole, ogólny *savoir vivre*, czyli kindersztuba, zakazane słowa (ledwo dziecko opanuje mowę), umiejętność bycia grzecznym i wiele innych obszarów codzienności, na których dziecko będzie ustawicznie poprawiane i krytykowane. Potem przyjdzie czas szkoły wraz z niemożnością sprostania jej wymaganiom, a jeszcze potem dorastanie z jego rozczarowaniami i coraz jaśniejszą świadomością własnej niedoskonałości. Dziecięcemu, a potem młodzieńczemu *not OK feeling* kładzie kres dopiero dorosłość. A i to nie zawsze i nie do końca.

## 6. Piekło – to inni

### **Rodzice**

Rodzice są dla dziecka najważniejszymi osobami na świecie, ponieważ stanowią dla niego źródło miłości, poczucia bezpieczeństwa, akceptacji i afiliacji, czyli tych uczuć, bez których emocjonalny rozwój małego człowieka nie może przebiegać normalnie. Jednocześnie ci sami rodzice są sprawcami niemal całego bólu, cierpienia, rozpacz, przeżycia, lęku, złości i innych negatywnych emocji, których doświadcza ono od swojego pierwszego samodzielnego oddechu. Matka, ojciec oraz to, co tych dwoje czyni z dzieckiem i wokół dziecka, jest dla tego ostatniego całym światem, w którym przychodzi mu żyć przez pierwszych kilkadziesiąt miesięcy. Nikt już i nigdy nie będzie odgrywał w jego życiu takiej ani nawet podobnej roli i w takim stopniu nie wpłynie na jego psychikę, zachowanie i samopoczucie.

Dziecko pojawia się na świecie, będąc jak najdosłowniej częścią ciała matki, a narodzin doświad-

cza jako brutalnego i bolesnego rozerwania tej jedynnej w swoim rodzaju symbiozy. Od tej chwili przez cały pierwszy okres życia będzie bezskutecznie dążyło do przywrócenia tej jedni, będącej jego rajem utraconym, a nie mogąc tego osiągnąć, będzie usilnie pragnęło przynajmniej maksymalnej bliskości z matką, jako namiastki tamtego związku będącego źródłem błogości i wszechogarniającego odprężenia.

Znaczenia bliskiego kontaktu małego dziecka z matką w żaden sposób nie da się przecenić. Okazało się bowiem, że tylko jego brak, przy dostatecznym zaspokojeniu wszystkich innych potrzeb malca, powoduje zahamowanie jego psychicznego i fizycznego rozwoju. Zaobserwował ten fakt wspomniany już amerykański psychiatra René Spitz u dzieci, które wcześniej (pomiędzy piątym a dwunastym miesiącem życia) utraciły rodziców i zostały umieszczone w różnych instytucjach opiekuńczych (domach dziecka, sierocińcach). Mimo starannej opieki rozwój tych małych sierot okazał się znacznie spowolniony. Nie mogły się one nauczyć chodzić, miały opóźnione reakcje na bodźce zewnętrzne i zdradzały silną tendencję do rozmaitych stereotypii ruchowych (bezmyślnego „kiwania się”, „toczenia głowy”, wielokrotnego, bezsensownego powtarzania tych samych ruchów itp.). Gorzej też rosły i przybierały na wadze. Widząc takie dzieci, odnosi się nieodparto wrażenie, że są one poważnie chore somatycznie bądź upośledzone umyślo-

wo. Tym bardziej zdumiewające jest, że zapewnienie im bliskiego kontaktu z matką zastępczą albo adopcyjną powoduje bardzo szybkie cofanie się wszystkich tych zaburzeń rozwoju (nazwanych przez Spitz'a „chorobą sierocą”) bez najmniejszego śladu. Dalsze obserwacje pozwoliły stwierdzić, że zaburzeń tych nie da się w ten sposób zniwelować, jeśli izolacja od matki jest długotrwała (przekracza dwanaście miesięcy). Wtedy występują u sierot trwałe zakłócenia tempa rozwoju oraz zaburzenia osobowości. Rozwijają się one psychicznie i fizycznie dużo wolniej niż ich nieosieroceni rówieśnicy oraz wykazują (głównie w późniejszym, dorosłym życiu) liczne psychopatyczne cechy, takie jak skrajny egocentryzm, niezdolność do nawiązania głębszych więzi uczuciowych z innymi ludźmi („zimne dranie”), skłonność do zachowań aspołecznych i antyspołecznych, nadmierną agresywność itp.

Obserwacje Spitz'a sprawdził eksperymentalnie inny Amerykanin, psycholog Harry F. Harlow. Używał on do swoich eksperymentów małych małpek, reżusów, które w różnych okresach rozwoju oddzielał od matek. Okazało się, że małpie dzieci zachowują się w takich sytuacjach zupełnie tak samo jak ludzkie. Pozbawione kontaktu z matką i jej bliskości małe reżusy stawały się lękliwe i apatyczne, traciły apetyt i wagę. Pojawiła się też u nich tendencja do zachowań stereotypowych i trudności z uczeniem się nowych sposobów zachowania. Przywrócenie kontaktu z matką nawet po dwu, trzech

miesiącach separacji powodowało, że wszystkie te zaburzenia zniknęły „jak ręką odjął”. Rezusy zaś na długo lub na stałe oddzielone od matek stały się, jako dorosłe małpy, o wiele bardziej agresywne niż te, które takiego doświadczenia nie miały, nie były zdolne do podejmowania normalnych dla swojego gatunku zachowań seksualnych, a samice utraciły zdolność opiekowania się swoim potomstwem. Odnosiło się wrażenie, jakby wczesne i długotrwałe oddzielenie od matki, zarówno w przypadku ludzkich, jak i małpich dzieci, w jakiś sposób „zwichnęło” ich normalny rozwój i trwale spaczyło ich osobowość, podobnie jak np. chroniczny niedobór witaminy D powoduje nieodwracalne zmiany krzywicze w rozwoju kośćca.

Badania Spitz'a i Harlowa oraz ich licznych następców (Spitz opublikował rezultaty swoich obserwacji w 1945 roku) pozwoliły stwierdzić bez wątplenia, że potrzeba bliskiego kontaktu z matką ma u dziecka charakter potrzeby pierwotnej, czyli niewyuczonej i wynikającej z samej biologicznej istoty organizmu, tak jak potrzeby jedzenia, picia i oddychania. Bez jej przynajmniej częściowego zaspokojenia mały człowiek nie może się normalnie rozwijać ani fizycznie, ani psychicznie.

W chwili porodu największa możliwa bliskość pomiędzy matką a dzieckiem w postaci pierwotnej jedności zostaje gwałtownie rozerwana i właściwie już wtedy rozpoczyna się długotrwały proces separacji dziecka, czyli stopniowego psychicznego od-

dzielania go od matki i przygotowywania do samodzielnego życia. Z tego punktu widzenia wychowanie jest zorganizowanym i celowym działaniem rodziców na rzecz coraz większego uniezależnienia potomka od nich. Musi się on nauczyć normalnie funkcjonować, początkowo bez fizycznego kontaktu z matką, a potem bez jej obecności. Musi opanować sztukę nawiązywania kontaktu z innymi niż rodzice ludźmi, osiąść umiejętność współdziałania i współpracy z nimi, ale też nauczyć się rywalizować i walczyć o swoje. Krótko mówiąc, w ramach wychowania dziecko musi zostać poddane procesowi socjalizacji, w trakcie którego stanie się ono istotą społeczną, zdolną do życia w kolektywie i grupie. Aby zaś dokonana się socjalizacja, dziecko musi coraz bardziej oddalać się od rodziców i coraz mocniej związywać się z innymi ludźmi. Oddalenie od rodziców budzi jednak w małym człowieku przerażenie. Separacja, chociaż generalnie konieczna i słuszna, jest sprzeczna z doraźnymi interesami dziecka, dla którego bliskość matki (a nieco później i ojca) jest gwarancją poczucia bezpieczeństwa i, co za tym idzie, dobrego samopoczucia. Niezrozumiałym koszmarem i bolesną zdradą są więc dla niego wychowawcze działania matki polegające na odsuwaniu go od siebie, wydawaniu go w ręce obcych ludzi i znikaniu na długie godziny z jego oczu. Tak przeżywa dwulatek konieczność pozostania w żłobku, a trzylatek oddanie go do przedszkola. Bolesnym dramatem jest dla małego dziecka każde

odtrącenie go przez matkę, każde jej obrażenie się na nie czy „wycofanie” przez nią miłości za pomocą słów potępienia i dezaprobaty. Wiele matek bez zastanowienia mówi swoim pociechom: „Mama cię już nie kocha, bo jesteś niegrzeczny”, i potem z zadowoleniem obserwuje piorunujące skutki takiego oświadczenia w postaci silnego niepokoju dziecka i jego gorączkowych zabiegów zmierzających do przekonania matki, że jednak nadal zasługuje ono na jej akceptację i miłość. Te matki nie zdają sobie sprawy z tego, jaki lęk, rozpacz i cierpienie wywołują w psychice swojego potomstwa i jak tym samym „wzbogacają” i rozbudowują koszmar jego dzieciństwa. A przecież używają tylko pozornie niewinnych i najczęściej nieprawdziwych słów. Jeżeli zamiast słów pojawiają się czyny świadczące o braku miłości – koszmar osiąga trudne do zniesienia natężenia i musi w końcu zostać w jakiś sposób zneutralizowany, aby dziecko mogło dalej żyć. Te czyny to, mówiąc ogólnie, złe traktowanie dziecka, bardziej szczegółowo zaś – jego bicie, maltretowanie, molestowanie i wszelkiego rodzaju wykorzystywanie. Wśród dorosłych dopuszczających się wobec dzieci aktów przemocy fizycznej, molestowania seksualnego i psychicznego terroru największą grupę stanowią rodzice ofiar. Wbrew pozorom, to nie obcy, źli ludzie najczęściej napastują dzieci, ale ich najbliżsi, najważniejsi i najbardziej kochani.

Brutalne bicie oraz psychiczne i fizyczne znęcanie się nad dziećmi jest w Polsce zjawiskiem po-



wszechnym, chociaż oficjalne statystyki policyjne i sądowe tego nie potwierdzają. Dzieje się tak, ponieważ przemoc wobec dzieci ma miejsce najczęściej w czterech ścianach domu, gdzie nikt nic nie widzi, a bezradne ofiary z różnych powodów nie składają skarg na swoich dręczycieli. O rzeczywistych rozmiarach tego zjawiska mogliby coś powiedzieć lekarze oraz nauczyciele przedszkoli i szkół oglądający przy różnych okazjach ślady pobicia, a nawet wymyślnych tortur na ciałach swych dziecięcych pacjentów i podopiecznych, ale oni też rzadko usiłują nadać jakiś bieg takim sprawom, wiedząc, jakie to niewdzięczne i trudne. Aby pociągnąć do odpowiedzialności nadużywających przemocy rodziców, potrzebne są dowody, a te są najczęściej nie do zdobycia. Przy biciu i innych występnych czynach wobec dzieci najczęściej nie ma wiarygodnych świadków. Sprawcy twierdzą zaś, że dziecko spadło ze schodów albo z roweru, że potłukło się podczas jazdy na wrotkach albo że zostało pobite przez rówieśników itp. Ofiary wreszcie, czyli zmaltretowane dzieci, najczęściej potwierdzają te zeznania, chroniąc krzywdzących je rodziców. Dzieje się tak, ponieważ żadne, nawet najinteligentniejsze dziecko nie może pojąć, dlaczego jest odrzucane, poniżane, traktowane jak nieczuła lalka służąca do rozmaitych zabaw albo bezlitośnie bite, czasami aż do krwi i powstania poważnych obrażeń, przez tych, których najbardziej kocha i u których wcześniej nauczyło się szukać bezpieczeństwa i ukoje-

nia. Może ono tylko zaakceptować w końcu to, w co rodzice każą mu wierzyć, że mianowicie ich postępowanie jest dobre, słuszne i korzystne dla niego, bowiem rodzice czynią to, co czynią, dla jego dobra. Aby móc dalej żyć i nie oszaleć, dziecko musi uwierzyć w to rodzicielskie kłamstwo, a tym samym uznać siebie za złe i zasługujące na takie traktowanie. Musi wewnętrznie zakazać sobie buntu i obwiniania rodziców za znoszony ból i przerażenie i, mimo niejednokrotnie ich bestialstwa, dalej ich kochać, podziwiać i być wobec nich całkowicie lojalnym. Naturalny gniew i nienawiść dziecka do swoich dręczycieli ulega całkowitemu stłumieniu i wyparciu ze świadomości do tego stopnia, że maltretowane dzieci z pełnym przekonaniem potwierdzają, że to nie rodzice byli sprawcami ich gehenny.

W trakcie pisania tych słów miałem okazję oglądać w telewizji trzyletniego chłopca, którego matka porzuciła w pociągu, wysiadając z niego, kiedy dziecko spało. Już w domu dziecka, gdzie trafił w końcu po licznych perypetiach, indagowany przez dziennikarkę, na jej pytanie – gdzie jest teraz mama? – odpowiadał gniewnie: „Mówiłem ci już, że w pracy”. To dziecko gotowe było zapomnieć, a może nawet zapomniało o całej swojej przerażającej odysei i ani mu było w głowie o coś matkę obwiniać. Mama najwyczejniej w świecie musiała pójść do pracy, z której prędzej czy później wróci i wszystko będzie w porządku.

Mały człowiek to istota niebywale podatna na kształtowanie. Jest w stanie przyswoić sobie wszystkie rodzicielskie nakazy i zakazy, w tym również i ten, który zakazuje mu obwiniać o cokolwiek rodziców i w ogóle pamiętać, że być może coś złego mu uczynili. Ale choćby najlepiej się do nich dostosowało, zawsze pozostaje w nim pozaświadoma pamięć, w której utrwaliły się wszystkie zdarzenia i cała prawda. Owa pamięć daje o sobie znać poprzez fizyczne schorzenia, koszmarnie sny, zaburzenia zachowania i zaburzenia psychiczne. Ich przyczyną jest nawet nie samo doznane cierpienie, ale stłumiona, beznadziejna rozpacz, że nie wolno ujawnić tego, co się przeżyło, ani nawet doświadczyć związanej z tymi przeżyciami złości, rozgoryczenia, beznadziei i smutku, bowiem rodzice zabraniają doznawania tych uczuć. Jeżeli dziecko nie znajdzie możliwości skonfrontowania się z prawdą o swoim bólu i poniżeniu oraz przeżycia związanych z tym emocji, najprawdopodobniej ujawnią się one w późniejszym stosunku dorosłego już dziecka do innych ludzi i przede wszystkim do własnych dzieci, które również będą maltretowane.

Tak twierdzi wybitna badaczka skutków przemocy stosowanej wobec dzieci, Alice Miller. Ona też dowodzi, że najczęściej biją swoje dzieci ci rodzice, którzy sami doznali złego traktowania od swoich rodziców. Jeżeli tego zakłętego koła nie powstrzyma refleksja nad swoim zachowaniem albo

terapeutyczne oddziaływanie, międzypokoleniowa spirala przemocy będzie się rozkręcać coraz szybciej.

## **Rodzina**

Oprócz rodziców dziecko najwcześniej spotyka się z rodzeństwem, jeśli je ma, i z członkami dalszej rodziny – babciami, dziadkami, ciotkami, wujkami itp. Wszystkie te osoby na swój sposób przyczyniają się do uczynienia koszmaru dzieciństwa jeszcze bardziej koszmarnym, chociaż, tak jak rodzice, bywają chwilami ważnym źródłem poczucia bezpieczeństwa i akceptacji. Ale to chwilami. Na ogół są oni tymi osobami, które wzmacniają w dziecku uczucie „bycia nie w porządku” poprzez stałe jego krytykowanie i poprawianie oraz ustawiczne wykazywanie mu na każdym kroku jego niekompetencji, beśsiły i bezradności.

Starsze rodzeństwo, z jednej strony powodowane zazdrością, a z drugiej zmuszane przez rodziców do ustępowania najmłodszemu i opiekowania się nim, najczęściej odreagowuje złość cichcem, okładając „małego” pięściami, podszczypując go i podpuszczając do robienia rzeczy, z których matki i ojcowie nie mogą być zadowoleni. I choć manipulacje starszych najczęściej wychodzą na jaw, to i tak, zanim wszystko się wyda, „małemu” dostaje się i od rodziców. Tak było kilka dni temu w pewnej znanej mi rodzinie, gdzie siedmioletni brat podpuścił

czteroletnią siostrę, aby ta zjadła kilka listków z ulubionego kwiatka mamy. Dziewczynka, wprawdzie krzywiąc się niemiłosiernie, ale gorliwie jak koza obgryzała mamusią roślinkę, napawając się entuzjazmem ukochanego brata, który zresztą nie omieszkał natychmiast poinformować rodziców, że Kasia „zjadła fikusa”, a potem z ukontentowaniem obserwował, jak mała dostaje w tyłek i jedzie do szpitala na płukanie żołądka.

Dla każdego dziecka, co pewnie mogą potwierdzić wszyscy rodzice, starszy brat lub siostra prędzej czy później stają się obiektem gorącej miłości i podziwu. Młodsze patrzy w starszego jak w obraz, chodzi za nim krok w krok i usilnie stara się go naśladować. A starsze wykorzystuje to bezlitośnie, oszukuje „małe”, podpuszcza je, ograbia, wyręcza się nim, ośmiesza je, upokarza, bije, a niekiedy robi jeszcze gorsze rzeczy. Przez całe lata, w ciągu których zajmuję się dziećmi, przychodzą do mnie matki, aby zapytać, co mają robić, bo nie mogą patrzeć, jak np. ich starszy syn źle traktuje młodszego, który „świata za starszym nie widzi”, a ten każe mu sprzątać swój pokój, czyścić buty, oddawać sobie łakocie, zabawki i pieniądze, i jeszcze potrafi brutalnie go uderzyć albo kopnąć. Zazwyczaj odpowiadam, że nic tu specjalnie nie da się zrobić, bo każda rodzicielska interwencja na korzyść młodszego spotka się w końcu z jego sprzeciwem (nawet jeśli sam się jej domagał), bo będzie się bał, że starszy się obrazi, odepchnie go od siebie, nazywając „kab-

lem” i maminsynkiem, albo gdzieś w kącie poczętuje go niepostrzeżenie celnym kopem i młodszy znów będzie cierpiał. Wygląda na to, że świat jest już tak urządzony, iż młodsze rodzeństwo, do pewnego czasu, znosi ze strony starszego fizyczne i psychiczne udręki, spośród których znów najgorsze jest emocjonalne odrzucenie i poczucie bycia nie w porządku. W pewnym momencie, najczęściej w obliczu zbliżającej się dorosłości, ta relacja między starszymi a młodszymi zmienia się i wyrównuje, a otoczenie konstatuje ze zdumieniem, że im mocniej się rodzeństwo we wcześniejszym okresie czubiło, tym bardziej się później lubi, rozumie i akceptuje.

Babcie (znacznie rzadziej dziadkowie) są z kolei źródłem udręk innego rodzaju. Na ogół, jeśli zajmują się one wnukami przez dłuższy czas, jako osoby faktycznie je wychowujące, są dla dzieci osobami uciążliwymi i nieznośnie nadopiekuńczymi. Lęk o powierzonego im wnuka i chęć ustrzeżenia go przed każdym niebezpieczeństwem powodują, że babcie ustawicznie straszą swoich małych podopiecznych, przedstawiając im świat jako miejsce pełne przerażających, zdradliwych pułapek czyhających na dziecko, nawet w pozornie niewinnych okolicznościach i przedmiotach. Nie idź, nie biegaj, zostaw, połóż, nie ruszaj, nie dotykaj, nie włącz, zejdź, nie podchodź, nie skacz, nie siadaj, nie stój, nie bierz do buzi, nie rzucaj, nie podnoś, nie patrz, nie liź, nie brudź się, nie krzycz, nie mów itd., to niekończący się ciąg zakazów, którymi owładnięta

strachem babcia zasypuje wnuka. W jej wyobraźni nóż służy wyłącznie do tego, aby urznąć sobie nim palec, nożyczki – do wydtubania sobie oczka, krzesło do tego, żeby zeń spaść na główkę i jąkać się do końca życia oraz nabawić się zeza, schody są po to, żeby z nich spaść i coś złamać. Kolega przychodzi tylko po to, żeby dać wnusiowi kopa, pobić go, zarazić jakąś chorobą albo nauczyć brzydkich wyrazów. I tak dalej. Poddany takiej edukacji malec szybko uczy się lękowego stosunku do świata i zamiast cieszyć się jego różnorodnością i sycić ciekawość – głównie się boi. Koszmar jego dzieciństwa zostaje „wzbogacony” o całą gamę lęków, strachów i obaw, które będą go dręczyć na jawie i we śnie. Znow, tak jak w niemowlęctwie, zacznie bać się ciemności i samotności. Zacznie domagać się spania z rodzicami albo z babcią i przerażony będzie wędrował w nocy do ich łóżka. A w przyszłości, w przedszkolu czy w szkole, będzie należał do tych „dupków”, „pierdoł” i „ciamajd”, które się wszystkim boją i z którymi się nie warto bawić, bo prędzej czy później popsują każdą zabawę.

Ponadto, namolna nadopiekuńczość babć wyzwała w dzieciach odruchy buntu i zniecierpliwienia, w wyniku których stają się one (babcie oczywiście) obiektami ich agresywnych zachowań. Wyprowadzone z równowagi stałym napominaniem ich, powstrzymywaniem, dokarmianiem i „doubieraniem” (dla babci, jak wiadomo, wnuczek nigdy nie jest dostatecznie ciepło ubrany) urządzają bab-

ciom awantury, krzyczą na nie, znieważają je, a nawet biją. Takie zachowanie najczęściej jest potępiane przez całe otoczenie i krewki wnuczek, kiedy już złość mu minie, przeżywa silniejsze poczucie winy i wyrzuty sumienia, bo przecież jest do swojej babci, mimo wszystko, bardzo przywiązany, kocha ją i chciałby wszystkich zadowolić, będąc zawsze dla niej dobrym i miłym, ale to się nie da, bo babcia go znów zdenerwuje, czego nikt nie będzie widział, ponieważ rodzice i inni dorośli widzą tylko troskliwość i zapobiegliwość babci, a nie to, że przy każdej okazji wpycha mu ona do buzi kawałki jabłka albo każe mu założyć rajstopy, nie rozumiejąc, że on ma już siedem lat, a w tym wieku chłopcy w rajstopach nie chodzą. Więc znów zrobi babci awanturę i znów wszyscy będą się na niego gniewać, a on będzie się czuł zły, niegrzeczny, bezradny i przerażony, że nikt go przez to nie będzie kochał, bo nigdy nie zdoła być wobec babci „w porządku”. Jedynym rozsądnym wyjściem z tej sytuacji jest niedopuszczenie do tego, żeby babcie, które z racji wieku i psychologicznych uwarunkowań już się do tego nie nadają, wychowywały swoje wnuki. Choć i to czasami nie jest rozwiązaniem, bo są też bardzo niepewne siebie i wystraszone matki, które zachowują się tak jak babcie.

### **Rówieśnicy**

Do grona tych, którzy czynią koszmar dzieciństwa trudniejszym do wytrzymania, rówieśnicy do-



łączają stosunkowo późno. Przez pierwsze cztery lata życia dziecko prawie nie zauważa innych dzieci, jeśli nie są jego siostrami lub braćmi. Dwu-, trzy- i czterolatki bawią się nie z sobą, ale obok siebie. Pięciolatki już z większym zainteresowaniem uczestniczą w różnych aktywnościach grupowych i potrafią zgodnie bawić się z innym dzieckiem, chociaż nie muszą i doskonale jeszcze obywają się bez rówieśniczego towarzystwa. Dopiero sześci- i siedmiolatki zaczynają aktywnie poszukiwać przyjaciela lub przyjaciółki (musi być tej samej płci, bo pomiędzy szóstym a siódmym rokiem życia właśnie rozpoczyna się konflikt płci, czyli niechęć do obcowania ze sobą pomiędzy dziewczynkami i chłopcami trwający aż do około czternastego roku życia) i potrafią z innym dzieckiem nawiązać trwałe, pozytywne relacje. Jednakże nawet w tych pierwszych latach życia rówieśnicy są dla dziecka pewnym źródłem zagrożenia i napięcia, głównie przez to, że stanowią konkurencję. Do końca szóstego roku życia dziecko jest prawie całkowicie skupione na sobie i poza krótkimi, rzadko się zdarzającymi „porywami serca” lub „odruchami dobroci” nie ma na ogół ochoty na dzielenie się czymkolwiek z innymi dziećmi czy na jakiegokolwiek altruistyczne wobec nich zachowania. Dobrym przykładem jest tu właśnie sześciolatek, zatwardziały egoista zgarniający wszystko „pod siebie” i skrupulatnie pilnujący swego stanu posiadania, uważający się za najlepszego, i najładniejszego, któremu należy się wszystko w

pierwszej kolejności i który nie potrafi pogodzić się z tym, że jakieś inne dziecko może wzbudzić zainteresowanie lub sympatię otoczenia. Pragnie on być z innymi dziećmi, bo wtedy mocniej czuje ewentualną swoją nad nimi przewagę i jednocześnie traktuje rówieśników jak przeciwników w walce o przedmioty, uwagę dorosłych i dominację. Są oni dla małego dziecka źródłem permanentnego wewnętrznego rozdarcia pomiędzy pewną jednak ciekawością innych dzieci a lękiem przed przegraną z nimi na jakimś polu w odbywającej się w wyobraźni rywalizacji, gdzie wszyscy grają ze wszystkimi o wszystko. Szczególną czujność i niepokój budzi zainteresowanie innym dzieckiem albo obdarzenie go uznaniem przez jego własnych rodziców. Czysta, nieukrywana zazdrość każe mu przeciwko takim zachowaniom usilnie, aż do płaczu i krzyku, protestować i przedsięwziąć rozmaite działania mające na celu zwrócenie uwagi matki czy ojca znów na siebie. Sam widziałem kiedyś, jak taki sześciolatek siłą usiłował odwrócić głowę obserwującej innego chłopca mamy w swoim kierunku, krzycząc ze łzami w oczach: „Nie patrz na niego, patrz na mnie, na mnie”.

Dopiero pomiędzy dziesiątym a jedenastym rokiem życia dziecko po raz pierwszy zdecydowanie zwraca się ku rówieśnikom. Jest to czas, kiedy grupa rówieśnicza nabiera atrakcyjności i znaczenia, powoli stając się konkurencją dla domu rodzinnego i rodziny. Życie społeczne i towarzyskie czwarto-

czy piątoklasisty jest w porównaniu z wcześniejszym okresem bujne i skomplikowane. Klasa szkolna staje się terenem, na którym konkurują różne podgrupy, „bandy” i „paczki”, a przynależność do nich jest ambicją każdego ucznia. Atrakcyjność grupy społecznej i rówieśników rośnie do tego stopnia, że lojalność wobec „bandy” czy „paczki”, po raz pierwszy w życiu dziecka, bierze górę nad lojalnością wobec rodziców, nauczycieli i w ogóle dorosłych. W imię bycia „w porządku” wobec kolegów nawet uprzednio grzeczne dzieci gotowe są kłamać, kraść i robić jeszcze inne, bardziej naganne rzeczy. Pamiętam np. sprawę, w której brałem udział: trzy uczennice czwartej klasy, bardzo atrakcyjne dla innych dziewczynek, ustanowiły swoisty rytuał, po odprawieniu którego nowa koleżanka była dopuszczana do członkostwa w ich „paczce”. Adeptki otrzymywały mianowicie różne zadania, po wykonaniu których stawały się wybrankami należącymi do wymarzonej grupki. Zadania były różne – od prostych, np. przynieść do szkoły pięćdziesiąt złotych i oddać je do dyspozycji liderki (kilka dziewczynek ukradło te pieniądze rodzicom), do bardziej skomplikowanych, np. zachować przez dwa dni absolutne milczenie. Cała sprawa trafiła do mnie właśnie z powodu takiej milczącej adepty, która przestała nagle odpowiadać na pytania nauczycieli i w domu też milczała jak rybka. Przerażeni rodzice przyprowadzili ją do mnie, sądząc, że córka uległa jakiemuś wstrząsowi, jest

w szoku, albo, nie daj Boże, zachorowała psychicznie.

Każda czwarta i piąta klasa przypomina renesansowy dwór, tyle tam intryg, zdrad, plotek, pomówień, oskarżeń, spisków, wyzwania i pojedynków. Dorośli zazwyczaj patrzą na te dziecięce afery z pobłażaniem, ale dla dzieci są to bardzo poważne sprawy, z powodu których leją się łzy, pękają z bólu głowy, skręcają się kiszki i w ogóle życie, a przynajmniej pobyt w szkole, staje się nie do wytrzymania. Pewien dziesięcioletek np. przed wyjściem do szkoły niespodziewanie dostał wysokiej gorączki. Przestraszona matka zapakowała go do łóżka i wezwała lekarza, ale zanim doktor dotarł na miejsce, temperatura spadła do normalnego poziomu. Okazało się, że chłopiec bardzo nie chciał iść do szkoły, ponieważ naraził się członkom silnej klasowej „bandy”, którzy obiecali mu solidny „łomot”. Inna czwartoklasistka z kolei zareagowała silnymi bólami brzucha i wymiotami na to, że jej najbliższa przyjaciółka „zdradziła” ją, przerzucając swoje zainteresowanie na inną dziewczynkę. I tak dalej. U małych dzieci następuje tzw. somatyzacja napięcia psychicznego, co oznacza, że ich mniej lub bardziej jawne obawy, lęki, niepewność czy bezsilna złość manifestują się jako rozmaite dolegliwości cielesne – bóle brzucha, głowy, biegunka, wymioty, wysypki, świądy itp., z czego z kolei wynika wniosek, że z napięcia psychicznego dziecko może być literalnie chore fizycznie.

Cały okres pierwszych prób znalezienia sobie miejsca i pozycji w grupie rówieśniczej jest dla dziecka pełnym napięciem, lękiem i złością koszmarem, z którego przechodzi ono w jeszcze gorszy koszmar poszukiwania swojego miejsca wśród rówieśników w okresie dorastania.

## 7. Erotyzm i seks

### **Czy istnieje dziecięcy seksualizm?**

Na to pytanie odpowiadam – nie. Nie istnieje nic takiego jak dziecięcy seksualizm, jeśli nie wrzucać do jednego worka erotyki i seksu. Dziecko bowiem z całą pewnością jest istotą erotyczną, czyli bytem od początku samodzielnego życia obdarzonym specyficzną wrażliwością pewnych obszarów ciała zdolnych do erotycznych reakcji i do odczuwania erotycznej przyjemności w ich obrębie. Erotyzm tym się różni od seksualizmu, że jest zespołem wrodzonych, naturalnych reakcji organizmu na pobudzenie pewnych jego części, seksualizm zaś to wyuczona reakcja erotyczna na inną osobę lub inny, zewnętrzny obiekt. Istotą seksualną dziecko staje się zazwyczaj w okresie dorastania, kiedy reakcje erotyczne zostaną skojarzone i powiązane z określonymi bodźcami zewnętrznymi. Może to też nastąpić wcześniej, jeśli dziecko zostanie seksualnie rozbudzone, np. przez podjęte wobec niego seksualne zachowania innej, na ogół starszej osoby.

Niemal od momentu przyjścia na świat, o czym dość szybko przekonują się rodzice, dziecko wykazuje erotyczną wrażliwość i jest zdolne do erotycznych reakcji, które rozwijają się i wzbogacają wraz z jego rozwojem. Już u kilkutygodniowych niemowląt można obserwować spontaniczne erekcje członka u chłopców czy przekrwienie i powiększenie się łechtaczki u dziewczynek. Znanie jest też zjawisko niemowlęcej masturbacji, kiedy dziecko wcześniej niż zwykle odkrywa specyficzną wrażliwość genitaliów i stymuluje je różnymi sposobami dla osiągnięcia związanej z tym przyjemności. Zazwyczaj odkrycie możliwości tzw. sfer erogennych następuje pomiędzy pierwszym a drugim rokiem życia, kiedy dziecko wyjątkowo intensywnie bada i poznaje swoje ciało. Prędzej czy później konstatuje ono, że dotykanie genitaliów powoduje specyficznym przyjemne doznania, których nie dostarcza dotykanie nosa, ręki, stopy czy innych okolic. Jest to sytuacja ze wszech miar normalna i nawet dziwne byłoby, gdyby normalne, zdrowe dziecko takiego „odkrycia” nie dokonało. Erotyczną satysfakcję płynącą ze stymulowania genitaliów małe dziecko przyjmuje całkowicie naturalnie, bez żadnego wstydu czy skrępowania, jest to bowiem dla niego przyjemność porównywalna do tej, jaką wywołuje np. ulga związana z defekacją lub błogość płynąca ze zjedzenia ulubionego smakołyku. Toteż mały człowiek, jeśli ma do wyboru dostateczną liczbę i różnorodność pozytywnych bodźców, na ogół nie przy-

wiązuje do erotycznych pobudzeń specjalnej wagi. Jeżeli natomiast jego środowisko jest pod tym względem ubogie i monotonne (np. jeśli jest na długie okresy czasu zostawiany sam sobie w kojcu czy łóżeczku, gdzie wrzuca się kilka zabawek), prawdopodobieństwo skupienia się przezeń na erotycznej autostymulacji rośnie. Widok córki czy syna bawiącego się własnymi genitaliami najczęściej wywołuje u rodziców niepokój, zażenowanie i wstyd, czyli te uczucia, które niebawem zaczną przeżywać ich dziecko, ponieważ zaczną oni tępić jego upodobanie do nagości oraz brak skrępowania w ekspozycji i badaniu narządów płciowych. Ich potomek dowiaduje się od dwu najważniejszych dlań osób, że bez przeszkód i dowolnie długo może dotykać swojego nosa, brody, stopy czy kolana, ale dotykanie penisa czy waginy jest surowo zabronione i powoduje, że owe najważniejsze na świecie osoby okazują mu coś, czego najbardziej nie lubi, czyli swoje niezadowolenie i dezaprobatę, a nawet, co wcale nie jest takie rzadkie, biją go za to po „bezwstydnym łapach”. Małe dziecko nijak nie może pojąć, dlaczego niektóre części ciała są „w porządku”, a inne „be”, i dlaczego akurat nos jest „w porządku”, chociaż jego tarboszenie nic fajnego nie daje, a to, co mieści się pomiędzy nogami, jest „be”, mimo że dotykanie się tam jest prawie tak przyjemne, jak jedzenie lodów albo żucie gumy. Nic jednak nie może z tym zrobić, bo nikt mu niczego nie wyjaśnia, tylko zakazuje i kwita. Więc nie pozostaje



mu nic innego, jak uwierzyć, że jest niegrzecznym chłopcem lub dziewczynką, ponieważ czasami ulega pokusie i choćby przy okazji oddawania moczu dotyka swoich narządów płciowych, bynajmniej nie odczuwając z tego powodu przykrości. W ten sposób naturalne i całkowicie niewinne zachowania dziecka zostają powiązane z mroczną tajemnicą płci, ze wstydem, grzechem i poczuciem winy, stając się elementem koszmaru dzieciństwa.

Sprawy, które dzieją się w związku z wczesnodziecięcym onanizmem w przedszkolach i szkołach, mogą raz na zawsze podważyć zaufanie – nie tylko dziecka – do zdrowego rozsądku i rozumu niektórych dorosłych, z racji wykonywanego zawodu powołanych właśnie do rozumienia dzieci i sensownego kształtowania ich osobowości. Oto całkiem niedawno w pewnym przedszkolu dwaj pięcioletni chłopcy zostali przyłapani przez nauczycielkę na zabawianiu się podczas leżakowania penisami (każdy swoim). Pani brutalnie wyciągnęła ich na środek sali, aby wszystkie dzieci mogły zobaczyć „zbożników”, jak ich nazwała, a następnie już do końca dnia kazała im trzymać się z daleka od innych dzieci. Rodzice obu przerażonych i zmaltretowanych dzieciaków zostali przy ich odbiorze poinformowani, że mają ich na stałe zabrać z przedszkola, które nie życzy sobie posiadania wśród podopiecznych takich „rozsadników zła”.

W drugiej klasie pewnej szkoły podstawowej

pani katechетка zauważyła, że na jej lekcji jedna z dziewczynek podejrzenie zaciska nogi i rumieni się na buzi. Uczennica została publicznie napiętnowana za grzech nieczystości, a jej rodzice zostali poinformowani o moralnym zepsuciu córki i zobligowani do tego, aby pójść z nią do psychiatry, ponieważ jest „nienormalnie rozwinięta seksualnie”. Nawiasem mówiąc, na innych lekcjach wychowawczynie nie zaobserwowała u dziewczynki niczego niepokojącego, ale były to lekcje ciekawe, w trakcie których dzieci miały dużo do zrobienia i nikt nie musiał się nudzić, siedząc nieruchomo i słuchając wywodów pani. Tego rodzaju przykładów mógłbym przytoczyć bardzo wiele, ponieważ wciąż przychodzą do mnie po pomoc przestraszeni rodzice przyłapanych na gorącym uczynku „zbożeńców”, którzy w przedszkolu czy w szkole ulegli pokusie, aby odrobinę uprzyjemnić sobie trudną do wytrzymania konieczność nieruchomego leżenia podczas leżakowania czy ciągnące się w nieskończoność, nudne lekcje. Chciałbym więc w tym miejscu wyraźnie powiedzieć, że wczesnodziecięcy onanizm (u dzieci od 0 do 10-11 roku życia) nie jest „zbożeniem”, nie dowodzi przedwczesnego rozbudzenia seksualnego, nie stanowi wyniku zaburzeń psychicznych i nie jest szkodliwy dla zdrowia. Występujące zazwyczaj sporadycznie „zabawianie się” narządami płciowymi jest normalnym, rozwojowo zrozumiałym zachowaniem, które występuje u 99 albo i u 100% dzieci. Jeżeli występuje ono częściej niż spo-

radycznie, albo nawet (bo i tak się zdarza) bardzo często, to należy podejrzewać, że uprawiające go dziecko wychowuje się w ubogim w bodźce, monotonnym środowisku albo że przeżywa przewlekłe stany silnej frustracji i napięcia psychicznego (najczęściej o charakterze lękowym), bowiem bywa on (onanizm oczywiście) jedną z nawykowych reakcji mających na celu „dostymulowanie” organizmu (inne tego rodzaju reakcje to np. obgryzanie paznokci, „kręcenie włosów”, rozdrapywanie krostek i strupków itp.) lub redukcję lękowego napięcia. Czasami do powstania nawykowego onanizmu przyczyniają się choroby skórne (lub po prostu niedostateczna higiena) powodujące świąd genitaliów oraz owsiki albo inne pasożyty przewodu pokarmowego wywołujące podrażnienie okolic odbytu i genitaliów. W „normalnych” warunkach zdrowe i bezpiecznie czujące się dziecko poświęca autoerotycznej stymulacji bardzo niewielki ułamek swojej uwagi. Zajmujące się czasami swoim „ptaszkiem” czy „pupcią” dzieci nie wymagają więc leczenia ani wizyt u psychologa, a jedynie spokoju i wyrozumiałości dorosłych, aby bez szczególnych problemów zaprzestać takich zabaw około dziesiątego roku życia, kiedy w rozwoju wrażliwości erotycznej następuje okres utajenia (latencji). Źródłem cierpienia i urazów psychicznych u dziecka jest wyłącznie reakcja dorosłych, w tym oczywiście przede wszystkim rodziców, na jego autoerotyczne zachowania.

„Nie strugaj mikołajka – ostrzegął np. ojciec pię-

cioletniego chłopca – bo w buzi wyrosną ci takie włosy jak na głowie i udusisz się”. Po kilku takich uwagach malec zrywał się w nocy z krzykiem, twierdząc, że dusiły go włosy, a matka zauważyła, że zakłada do spania dwie, a nawet trzy pary majtek, żeby, jak wyjaśnił, „trudniej było dotykać siusiaka”.

„Nie męcz pupy, bo zachorujesz na krzywicę i nie będziesz mogła chodzić” – mawiała z kolei pewna mama do swojej sześciolatki, w wyniku czego dziewczynka stała się lękliwa, często płakała i prosiła mamę, żeby jej obejrzała nogi, „czy tam nie ma już krzywicy”, bała się biegać i skakać. I tak dalej. Mógłbym znowu długo przytaczać takie przykłady, bowiem rodzicielska pomysłowość w straszaniu swoich pociech nie ma granic. Ale straszenie to jeszcze, jak mawiają warszawskie dzieci, „małe miki”. Najgorsze jest odrzucenie i potępienie oraz wynikające z nich straszliwe poczucie bycia „nie w porządku”, kiedy mama albo tata mówią: „Idź ode mnie, brzydaku. Nie lubię takiego niegrzecznego chłopca. Kiedy się tak brzydko bawisz, mamusia jest smutna i boli ją serce”. W takich sytuacjach nawet bardzo małe dzieci potrafią pomyśleć: „Nie chcę już dłużej żyć”.

## **Seksualne zabawy**

Około szóstego roku życia pojawia się u dzieci duże zainteresowanie różnicami w budowie ciała pomiędzy płciami. Mimo zarysowującego się już

konfliktu płci, który mniej więcej na osiem lat praktycznie odseparuje chłopców od dziewczynek, jest to czas ciekawości, co też przykrywają ubrania u jednej i drugiej strony. W pewnym stopniu świadome już tajemnic płci i istnienia życia seksualnego, ale nieobciążone jeszcze pruderią i wstydem dzieci na ogół bez ogródek zmierzają do zaspokojenia tej ciekawości, przy czym należy zaznaczyć, że jest ona równie intensywna u obu płci i przypisywanie chłopcom szczególnej w tej dziedzinie aktywności jest przesadą. Młode damy równie często inicjują pokazywanie się sobie nago czy inne tzw. seksualne zabawy, jak ich rówieśni gentlemani. Bardzo popularne są więc w tym wieku rozbieranki i zabawy „w lekarza” będące okazją do oglądania sobie i „badania” narządów płciowych, odbytu i wszystkiego tego, co zazwyczaj przykrywają koszulki i majtki.

Niektórzy chłopcy (szczególnie jedynacy wychowywani w otoczeniu kobiet) mogą w tym okresie próbować przebierać się za dziewczynki, a nawet twierdzić, że chcą być dziewczynkami, bo jak tłumaczył mi pewien sześciolatek – „dziewczynki są grzeczniejsze i mają ładniejsze ubranie”. Dziewczynki dla odmiany mogą próbować siusiać na stojąco i odmawiać noszenia sukienek, twierdząc, że chłopcy „mają lepiej i więcej im wolno”. Próby takie wywołują pewien lęk rodziców, kojarząc im się z innymi niż heteroseksualna orientacjami płciowymi. Tymczasem powtórzę: „tak zwane zabawy seksual-

ne" nie mają nic wspólnego z seksem. W ich trakcie dzieci nie doznają erotycznego pobudzenia i nie erotyczna przyjemność jest ich celem. Jedynym motywem bawienia się „w doktora” jest normalna w tym wieku ciekawość i chęć bliższego poznania odmiennej płci. Niemniej „seksualne zabawy”, tak jak onanizm, budzą zażenowanie rodziców oraz ich zaniepokojenie, ponieważ zakładają oni, że bawiące się w ten sposób dzieci są przedwcześnie rozbudzone seksualnie i dążą do rozładowania seksualnego napięcia. Takie podejrzania tym łatwiej przychodzą im do głowy, bo nieco zorientowane już w sprawach płci sześć- czy siedmiolatki np. chichoczą dwuznacznie i wygłaszają, najczęściej zasłyszane gdzieś, komentarze na widok nagości dorosłych czy aktywności seksualnej zwierząt, których kopulację (szczególnie na wsi) zdarza im się oglądać. Niektóre, bardziej doświadczone dzieci (mające np. mało krępujących się obecnością latorośli rodziców lub możliwość podglądania rodzicielskich filmów i wydawnictw pornograficznych) mogą opowiadać innym dzieciom o widzianych zdarzeniach, a nawet nakłaniać kolegów do prób ich odtworzenia. Tak było w przypadku pewnego znanego mi pierwszoklasisty, który po obejrzeniu w samotności „podprowadzonych” ojcu homoseksualnych „świerszczyków” namówił najpierw nieco młodszego brata, a potem kolegę z klasy do spróbowania widzianej na zdjęciach wzajemnej masturbacji. Za sprawą młodszego brata cała sprawa się wydała, wywołując wiel-

kie poruszenie i niepokój w rodzicach chłopców, przekonanych, że u ich pociech ujawnił się „wrodzony homoseksualizm”. Ale, w gruncie rzeczy, był to niepokój nieuzasadniony, bo i w tym przypadku głównym motywem aktywności dzieci była ciekawość i chęć naśladowania dorosłych, a nie rozbudzone potrzeby seksualne. Zamiast zamartwiać się „wrodzonym homoseksualizmem” syna, rodzice ci powinni się raczej zatroszczyć o to, by pornograficzne pisma tak łatwo nie dostawały się w dziecięce ręce.

Mimo swojej, poza rzadkimi przypadkami, zupełnej niewinności „seksualne zabawy” są wyjątkowo zgodnie tępięne przez rodziców, przedszkole, szkołę i w ogóle świat dorosłych. Dzieci przyłapywane na czynnościach kojarzących się dorosłym z aktywnością seksualną są za swoją, w gruncie rzeczy, ciekawość odrzucane, potępiane i bite. Kilka tygodni temu zajmowałem się siedmiolatkiem, który gdzieś w zakamarkach szkolnej szatni został przyłapany przez woźną, kiedy z obnażonym członkiem usiłował koleżance ściągnąć dolne partie ubrania. Dziewczynka – większa i silniejsza od napastnika – niby to się opierała, ale w istocie była całą akcją bardzo zainteresowana i, jak później zeznał chłopiec, sama zaproponowała mu taką zabawę, ale nie wywiązała się ze swojej części umowy, to znaczy on pokazał jej, co chciała zobaczyć, lecz ona nie kwapiła się z rewanżem. Kiedy pani woźna narobiła krzyku, właśnie próbował siłą dochodzić

sprawiedliwości. Wyjaśnień malca nie chciała słuchać. Został oskarżony o próbę gwałtu (sic!), a wezwani telefonicznie rodzice musieli go natychmiast zabrać ze szkoły, czego domagali się nauczyciele i rodzice „poszkodowanej” dziewczynki. Przerażeni i zawstydzeni rodzice złączyli go sumiennie i obiecali zaprowadzić do psychiatry. W całym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na to, że dzieciak nie tylko nie wiedział, co to jest gwałt, nie miał też pojęcia, na czym polega stosunek płciowy i w ogóle zachowania seksualne u ludzi, a w „ogłądanie” bawił się kilka razy z różnymi dziewczynkami i z udziałem innych chłopców. Do mnie trafił w tydzień po opisanych zdarzeniach z powodu wtórnego moczenia nocnego, które wystąpiło zaraz po całej aferze, i natręctw w postaci przymusu wielokrotnego powtarzania niektórych czynności (np. sprawdzania kilkadziesiąt razy, czy koszulkę ma dokładnie wetkniętą w spodnie).

To tylko jeden z licznych przykładów afer rozpętywanych przez dorosłych w związku z „seksualnymi zabawami” dzieci. Widząc i odczuwając na sobie burzliwe reakcje rodziców i nauczycieli związane z takimi zachowaniami, malcy paradoksalnie koncentrują na nich swoją uwagę i zaczynają myśleć, że banalne dotąd i zwyczajne oglądanie nawzajem swoich ciał jest w istocie czymś bardzo ważnym, skoro wywołuje u dorosłych aż takie zainteresowanie i aż takie poruszenie. Wkrótce też takimi czy innymi drogami dowiadują się, że ta zabawa, nie tak znów interesująca (mając do wyboru np.



zabawę „w policjantów i złodziei” i „w doktora” dzieci zawsze wybierają tę pierwszą), jest straszliwym złem, wykroczeniem i grzechem, co dokłada się ponurym ciężarem do ich poczucia winy i poczucia „bycia nie w porządku”, czyniąc koszmar dzieciństwa jeszcze trudniejszym do zniesienia.

### **Seksualne piekło**

Jeśli wszystko w rozwoju dziecka przebiega normalnie, pierwsze seksualne zainteresowania, potrzeby i reakcje pojawiają się u niego gdzieś pomiędzy trzynastym a piętnastym rokiem życia, przy czym u dziewcząt, rozwijających się w tym okresie szybciej i dynamiczniej niż chłopcy, zarysowują się one wcześniej.

Niestety, aż nazbyt często nie wszystko przebiega normalnie, bowiem dziecko samo będące istotą erotyczną, ale nie seksualną, bywa przedmiotem jak najbardziej seksualnych pragnień i działań dorosłych. Najczęściej należą do nich rodzice, dziadkowie, wujkowie i inni krewni, rzadziej nauczyciele, wychowawcy, opiekunowie, najrzadziej – zupełnie obcy, przypadkowi ludzie. Są wśród nich tacy, dla których dziecko stanowi główny przedmiot perwersyjnego pożądania, i tacy, którzy z różnych powodów zadowolają się dziećmi jako zastępczymi obiektami seksualnymi wobec niedostępności tych właściwych. Zastępczym przedmiotem zainteresowania seksualnego bywają też przejściowo młod-

sze dzieci dla starszego, choć niekoniecznie już dorosłego rodzeństwa, szczególnie w wielodzietnych, zdeintegrowanych i dysfunkcyjnych rodzinach, chociaż zdarza się to też pomiędzy rodzeństwem z tzw. dobrych domów.

Liczba dzieci doznających aktywnego zainteresowania seksualnego ze strony dorosłych jest trudna do oszacowania, choć podobnie jak w wypadku maltretowania, wielokrotnie wyższa od oficjalnych policyjnych i sądowych statystyk.

Utrzymywanie jakichkolwiek kontaktów o charakterze seksualnym z małoletnimi do lat piętnastu jest w Polsce poważnym, ściganym z urzędu przestępstwem, zagrożonym wieloletnim więzieniem. Toteż seksualne działania dorosłych wobec dzieci podejmowane są z dużą, na ogół, ostrożnością, w „cztery oczy”, najczęściej w mieszkaniu albo jakimś innym ustronnym miejscu. Nie ma tu więc najczęściej obiektywnych świadków, a jeśli rzecz rozgrywa się w rodzinie, pomiędzy dzieckiem a rodzicem, dziadkiem, wujkiem lub innym krewnym, same dzieci nie są skłonne ujawniać tego rodzaju faktów. Z tego powodu do policji i sądu trafiają najczęściej stosunkowo nieliczne, skrajne przypadki, kiedy wobec dziecka używa się wyjątkowo brutalnej przemocy, powodując obrażenia ciała, a nawet śmierć poszkodowanych, oraz te, w których sprawcami były tzw. osoby publicznego zaufania – nauczyciele, wychowawcy, lekarze, kapłani itp. W przypadkach natomiast, kiedy fizyczny przymus i wyjątkowe

okrucieństwo nie wchodzi w grę, z reguły w ogóle nie dochodzi do ujawnienia sprawy, a tym samym sprawca nigdy nie zostaje „sprawcą” w sensie prawnym. Najczęściej zdarza się tak, że cierpliwie i łagodnie uwodzone dziecko stopniowo rozbudza się. Pod wpływem seksualnych podnieć i pieszczot naturalny dziecięcy erotyzm zostaje skojarzony z działaniami dorosłego i przekształca się w przedwczesny seksualizm. Powstaje sytuacja, w której dziecko zaczyna odczuwać seksualne potrzeby i pod ich wpływem współdziała z dorosłym partnerem, a nawet poszukuje jego towarzystwa i okazji do zbliżeń.

Sam kiedyś, będąc biegłym sądowym, zetknąłem się z pięcioletnią dziewczynką będącą od trzeciego roku życia obiektem seksualnych pieszczot ze strony ojczyń, który całował ją w przyrodzenie i pobudzał tam językiem. Po pewnym oswojeniu się ze mną mała powiedziała mi, że mnie lubi i że może się ze mną całować tak jak ze Zbyszkiem (tak miał na imię sprawca). Pytała mnie też, czy będę ją pieścił tak jak Zbyszek i dawała do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko temu. To dziecko nie zdążyło nawet przyswoić sobie wstydu i skrępowania związanego z własnym erotyzmem, kiedy został on przez perwersyjnego dorosłego przekształcony w seksualizm. Nie miało też świadomości, że wydarzyło się coś złego, bowiem Zbyszek był „od zawsze” (ożenił się z matką dziewczynki, kiedy miała ona niespełna rok) i pieszczoty były „od zawsze”. Jest to jednak szczególny i rzadki przypadek, kiedy przedmiotem

seksualnych zabiegów dorosłego staje się tak małe dziecko i kiedy sprawca poprzestaje na zaawansowanych pieścotach, nie próbując, jak to się zwykle dzieje, np. seksu oralnego lub innych nieprzyjemnych dla dziecka lub bolesnych form kontaktu. Kiedy indziej zetknąłem się ze sprawcą, który zapraszał do siebie całe grupki dzieci z okolicznych podwórek, rozbierał je, pieścił i filmował kamerą wideo (policja znalazła u niego prawie 200 kaset, na których w sumie utrwalono około 30 obnażonych dzieci obojga płci, w wieku od 7 do 10 lat). Wszystkie, co same potwierdziły, przychodziły do jego mieszkania dobrowolnie i chętnie. Żadne z nich nie poskarżyło się w domu i żadne też nie powiedziało na sprawcę „złego słowa” przestuchującym je sądowym psychologom. Wręcz przeciwnie. Twierdziły, że „wujek” był fajny i nic złego im nie robił, a kilkoro starszych napisało nawet do niego do więzienia pocieszające listy. Sprawa ta była tematem popularnego telewizyjnego talk-show, który wywołał w mediach pewną dyskusję wokół problemu, czy pedofil to człowiek chory, wymagający pomocy, czy zboczony psychopata, którego należy ścigać i karać. Nic specjalnego z niej jednak nie wyniknęło.

Tak zwani prawdziwi pedofile, czerpiący satysfakcję z erotycznego podniecenia uwodzonego dziecka oraz z faktu jego dobrowolnego współdziałania z uwodzicielem, są jednak w mniejszości. Z reguły dzieci są napastowane wbrew swojej woli,

jako obiekty zastępcze przez sprawców, którzy „używają ich” w sposób brutalny i bezwzględny do zaspokojenia wyłącznie własnych potrzeb. Na to, że dzieci przy okazji odczuwają ból i doznają obrażeń, nie zwracają większej uwagi.

Zdecydowana większość wykorzystywanych seksualnie dzieci ma świadomość, że pomiędzy nimi a dorosłymi dzieje się coś zakazanego i złego, tym bardziej że sprawca najczęściej mówi dziecku, iż to, co się wydarzyło, jest tajemnicą, o której nie wolno mu nikomu mówić, a także buduje fałszywe współczucie dziecka, wmawiając mu, że to ono przez swoje zachowanie zachęciło go do działania. „Jeśli piśniesz komuś słówko – mówią – to wszyscy dowiedzą się, jaka byłaś niegrzeczna i co tu ze mną robiłaś. Mamie będzie z tego powodu bardzo przykro i nigdy ci tego nie wybaczy”. Takie „odwrócenie kota ogonem” jest możliwe dzięki poczuciu, że w jakiś niejasny sposób swoim zachowaniem sprowokowało dorosłego do zainteresowania się jego ciałem, tym bardziej że chwilami odczuwało przyjemność i było zainteresowane tym, co się dzieje. Kazirodzczy ojcowie bardzo często wprost straszą swoje ofiary, mówiąc im, że jeśli nie zachowają milczenia, matka się o wszystkim dowie i ze zmartwienia zachoruje, umrze albo odejdzie z domu, a tatusia źli ludzie, za takie przecież niewinne rzeczy, wtrąca do więzienia. Przerażone wizją spowodowanego przez siebie rodzinnego kataklizmu dzieci najczęściej cierpią i milczą. Dzięki takim

manipulacjom możliwe jest długotrwałe, czasami wieloletnie wykorzystywanie córek przez ojców, wnuczek przez dziadków, sióstr przez braci itd. Im dłużej trwa cały proceder, tym mniejsze są szanse przełamania przez dziecko bariery milczenia, ponieważ z czasem powstaje specyficzna, ambiwalentna relacja pomiędzy ofiarą a sprawcą, którą doskonale uchwyciła Monika B., współautorka i bohaterka książki niemieckiej dziennikarki Karin Jackel ukazującej trwające siedemnaście lat wykorzystywanie seksualne córki przez brutalnego i bezwzględnego ojca. Pisze ona, że nienawidziła pieszczoł ojca oraz bała się i jego, i bólu, jakiego doznawała przy stosunkach z nim, ale jednocześnie na poły świadomie pragnęła, żeby przyszedł do niej w nocy, bo tylko w tych chwilach był dla niej czuły i dawał jej odrobinę miłości, której bardzo od niego pragnęła.

Kazirodztwo, wszędzie tam, gdzie jest ścigane przez prawo, ma bodaj najniższy wskaźnik wykrywalności ze wszystkich przestępstw, bowiem dzieci, tak jak i w przypadkach maltretowania, kryją krzywdzących je rodziców z miłości. Są oni dla nich osobami obdarzonymi naturalnym autorytetem, którym bezwzględnie należy okazywać szacunek i posłuszeństwo. Toteż najczęściej – mimo odrazy i lęku – spełniają seksualne zachcianki ojców zazwyczaj (szczególnie w przypadku małych dzieci) w przeświadczeniu, że to, co się dzieje, jest normalne i odbywa się w każdej rodzinie.

Seksualne napastowanie ze strony rodziców i bliskich krewnych jest jednym z najbardziej niszczących i bolesnych elementów koszmaru dzieciństwa. Żadne dziecko nie jest w stanie normalnie żyć i funkcjonować ze świadomością, że jedna z najbliższych mu i bezwarunkowo kochanych osób może zmuszać je do odrażających, zakazanych czynów, sprawiać mu wielki fizyczny ból i powodować u niego niewyobrażalne poczucie winy, lęk i wstręt do samego siebie. Nie jest też w stanie pojąć, jak ten, który w innych okolicznościach bywa ostoją bezpieczeństwa kojącą wszelki ból i strach oraz autorytetem potrafiącym rozproszyć każde wątpliwości, może jednocześnie zmuszać je bezlitośnie do robienia „tych rzeczy” i do znoszenia związanych z nimi cierpień. Napięcie, zamęt i pomieszanie w psychice molestowanego dziecka znajduje wyraz w licznych trapiących je objawach, takich jak bezsenność, lęki nocne, zaburzenia koncentracji uwagi, bóle głowy, zaburzenia mowy, moczenie nocne i dzienne, onanizm, przedwczesne zainteresowania seksualne, depresyjne obniżenie nastroju, płaczliwość i chwiejność emocjonalna, nadmierna męczliwość itp. Wszystkie one razem wzięte tworzą syndrom dziecka wykorzystywanego seksualnie, ale rzadko budzą w otoczeniu podejrzenia idące w tym kierunku. Wykazujące go dzieci uchodzą za „trudne”, „znerwicowane” lub „mające słaby układ nerwowy” i rzadko komu przychodzi do głowy, że są one ofiarami permanentnie zadawanego im gwałtu.

W najtrudniejszej sytuacji są te z nich, które, mimo wszystko, zdecydowały się odkryć straszną tajemnicę matce albo komuś z krewnych i nie dano im wiary lub nawet ukarano za „wygadywanie takich rzeczy”. Część matek i innych członków rodziny rzeczywiście nie wierzy oskarżeniom dzieci, szczególnie kiedy sprawcy (co się często zdarza) są postrzegani jako porządni ludzie, troskliwi ojcowie i dobrzy mężowie. Część zaś doskonale wie, co się dzieje, ale poświęca dziecko, aby nie rozdrażnić męża-despoty, albo boi się niedostatku po stracie jego zarobków w przypadku ewentualnego aresztowania. Dlatego też, jeśli nawet niektóre matki, którym małoletnie córki zwierzyły się z molestowania ich przez ojca albo które przyłapały męża z córką na gorącym uczynku, biegną w pierwszym odruchu gniewu na policję, to po jakimś czasie, dodatkowo przekonywane i zastraszane przez sprawcę, najczęściej wycofują oskarżenie i wszystko wraca do poprzedniego stanu. Dla wykorzystywanego dziecka taki wynik jego zwierzeń jest katastrofą, ostatecznym upadkiem nadziei na wyzwolenie się z koszmaru i straszliwym rozczarowaniem z powodu „zdrady” matki, co niekiedy może skończyć się nawet próbą samobójczą, a prawie zawsze powoduje depresję i rozpacz. Ofierze nie pozostaje nic innego, jak pogodzić się z losem i wyrzucić przerażającą rzeczywistość ze świadomości. Wspomniana już Monika B. , kiedy zorientowała się, że matka doskonale wie, co wyrabia z nią ojciec, i bynajmniej nie



zamierza interweniować, zaprzestała starań, aby uniknąć seksualnej napastliwości ojca, skupiając się na wynalazionej przez siebie technice zaprzeczania i wypierania ze świadomości tego, co robił z jej ciałem. Oto jak ją opisała:

„Próbowałam oddychać jak najpłycej i nie myśleć o niczym innym poza oddychaniem. Mój oddech musiał być krótki, krótszy od mojego nosa. Po kilkudziesięciu sekundach poczułam coś dziwnego. W oczach, w uszach, wszędzie to napastliwe słowo: «Powietrza!». Miejsce między moimi nogami, przy którym manipulował ojciec, zdawało się takie odległe. Moja ręka, którą położył na swoim sztywnym członku i przesuwiał w dół i w górę, nie była już moją ręką. Udało mi się niemal zupełnie zatrzymać oddech. Dopiero kiedy przed oczami zobaczyłam nieprzeniknioną mgłę, haustami zaczęłam łapać powietrze. Wyobrażałam sobie, że staję się coraz lżejsza i lżejsza, aż wreszcie znikam. Wychodziło mi to tak dobrze, że moja skóra przestała odbierać bodźce zewnętrzne”\*.

W ten sposób ośmioletnia dziewczynka prawie co wieczór sama niemal pozbawiała się przytomności, aby nie sprawiać ojcu kłopotu swoim oporem, ponieważ uwielbiany ojciec nie mógł robić nic złego. Już jako dorosła kobieta tak opisała swoje ówczesne przeżycia: „Chyba wszystko musiało być w porządku, bo przecież mój ojciec, którego tak po-

---

\* Katrin Jackel, Monika B., *Nie jestem już waszą córką*, „Książnica”, Katowice 1997, s. 125.

dziwiano i admiirowano, nie mógł robić nic zdroźnego. Jeżeli budziło we mnie odrazę to, co mi robił, wina musiała leżeć po mojej stronie. Byłam więc złą dziewczynką. A przecież zawsze, ponad wszystko chciałam jednego – być dobrą dziewczynką, jego dziewczynką”\*.

W wyniku uporczywego zaprzeczania i wypierania całe to seksualne piekło zostaje w końcu usunięte ze świadomości dziecka i pozornie zapomniane. Ale tylko pozornie. W istocie bowiem wywołany nim psychiczny uraz pozostaje aktywnym źródłem trapiących je już w dorosłym życiu neurotycznych problemów, psychicznych zaburzeń i seksualnych dewiacji. Koszmar dzieciństwa dla tych osób nigdy się nie kończy.

---

\* Tamże, s. 126.

## 8. A mówili, że mnie kochają

### **Koniec dzieciństwa**

Dzieciństwo, we właściwym tego słowa znaczeniu, kończy się na początku piętnastego roku życia. Potem następuje młodość.

Koniec dzieciństwa, podobnie jak jego początek, pełen jest cierpienia, przy czym, w odróżnieniu od noworodka, dorastający nastolatek cierpi głównie z powodu „ból psychicznego”, a nie fizycznego. Źródłami owego bólu są gwałtowne zmiany, jakie następują w jego funkcjonowaniu i życiu.

Pierwszym z nich, szalenie ważnym, choć na ogół lekceważonym przez dorosłe otoczenie nastolatka, jest wygląd zewnętrzny. Pomiędzy trzynastym a piętnastym rokiem życia następuje błyskawiczne przeistoczenie się dzieciaków w młode kobiety i mężczyzn, którzy potem będą już tylko rośli i nabierali kształtów, zasadniczo nie zmieniając swego wyglądu. Procesy fizjologiczne towarzyszące dorastaniu powodują, że przynajmniej początkowo uroda

nastolatków pozostawia wiele do życzenia. Twarze wyciągają się, tracąc dziecięcą regularność rysów i wykwitają na nich utrapione młodzieńcze pryszcze. Sylwetki albo się również wyciągają, nabierając charakterystycznej dysproporcjonalności (długie nogi, wielkie kolana i stopy, „małpie” ręce), albo wręcz przeciwnie, nadmiernie się zaokrągłają, ponieważ u części dorastających hormony płciowe, rozpoczynające swą pracę, powodują gwałtowne tycie. Ruchy stają się nieharmonijne i źle skoordynowane, oczy patrzą mało przytomnie. Jednym słowem dramat, i to tym większy, że około trzynastego roku życia, po latach prawie całkowitej w tych sprawach obojętności, dzieci wreszcie zaczynają przywiązywać wagę do swojej urody i stroju. W piętnastym roku życia godzinami wystają przed lustrem, medytując, co by tu zrobić z wielkim nosem, w który przekształcił się zgrabny, dziecięcy nosek, z krzywymi zębami, z alabastrowym niegdyś czołem, dziś pokrytym kraterami pryszczy, z rzadkimi włoskami na brodzie i pod nosem, z klatką piersiową jak u koguta itd. Zużywają kilogramy kosmetyków, kąpią się w antypryszczowych preparatach, dają sobie założyć prostujące druty na zęby, usiłują się odchudzać albo rozpaczliwie próbują utyć, ale niewiele to pomaga. Są, przede wszystkim w swoim odczuciu, ale do pewnego stopnia i obiektywnie rzecz biorąc, brzydkie, niezdarne, pozbawione uroku i wdzięku. Jest to przyczyną morza łez wylewanych ukradkiem w poduszkę i stanowi przyczynek do ogólnego ob-

nizienia nastroju w tym okresie, nazywanego niekiedy „młodzieńczą depresją”.

Następnym źródłem cierpienia jest generalna konfrontacja z własną niedoskonałością. Małe dziecko jest, jeśli chodzi o własną osobę, optymistą. Patrzy w przyszłość z przekonaniem, że zostanie wielką gwiazdą filmową, prezydentem, kosmonautą, sławnym naukowcem, a w najgorszym razie strażakiem albo nauczycielem. Wierzy, że czeka je dobry los i z radością wyciąga ku niemu ręce. To samo dziecko w okresie dorastania przeradza się w pełnego lęków „kompleksiarza” i pesymistę. Wraz ze świeżo nabytym krytycyzmem w stosunku do własnej osoby nastolatek odkrywa swoje rozliczne ograniczenia i boleśnie to przeżywa. Podsumowując swoją dotychczasową karierę szkolną, na ogół wie już, że nagroda Nobla, a nawet znacznie skromniejsze osiągnięcia naukowe są poza jego zasięgiem. Patrząc w lustro, konstatuje, że raczej nie jest mu pisany los znanego aktora czy telewizyjnej prezenterki. Wychodząc „między ludzi”, gdzie spodziewa się znaleźć przyjaźń, miłość i uznanie, spostrzega, że nawet pies z kulawą nogą nie zwraca na niego uwagi, a cóż dopiero zajęci swoją niedoskonałością rówieśnicy. Wszystko to powoduje, że nastolatki w głębi swoich dusz czują się beznadziejnie brzydzy, głupi, dla nikogo nieatrakcyjni i nikomu niepotrzebni. W tym swoim zabójczym poczuciu mniejszej wartości dorastający są przeważnie całkowicie osamotnieni, bowiem rodzice w większości

lekceważą ich osobiste problemy w stylu: „Zamiast godzinami gapić się w lustro, lepiej poucz się geografii”, a z rówieśnikami nie zdążyli jeszcze stworzyć więzi, które mogłyby być pociechą i wsparciem.

Jeszcze innym źródłem bólu nastolatków jest najpierw gwałtowne przyspieszenie, a potem finisz procesu separacji. Młody człowiek bowiem, choć z jednej strony pragnie całkowitego „przejścia na samodzielność”, to z drugiej obawia się nadejścia momentu, kiedy za większość swoich wyborów, decyzji i pomysłów będzie ponosił osobistą odpowiedzialność. Jego doświadczenie, które dopiero musi powstać, niczego mu nie podpowiada, toteż często błądzi, wikła się w pochopne przedsięwzięcia, stawia nie na tych, co trzeba, ludzi, ulega złudzeniom i życzeniowemu myśleniu, czyli, krótko mówiąc, dostaje po głowie, z czego – i to jest jedyna korzyść z młodzięńczych błędów – powoli powstaje wspomniane już doświadczenie i wiedza „o życiu”. Owo uporczywe dostawanie po głowie (niektórzy wolą przy tej okazji wymieniać zupełnie inną część ciała) tworzy w młodych pokusę powrotu do zależności od rodziców i dalszego korzystania z ich ochrony i pomocy. Ale świeżo ukształtowany honor dorosłego na to nie pozwala i tak tworzy się bolesny, wewnętrzny konflikt pomiędzy potrzebą bezpieczeństwa a chęcią zmierzenia się z wyzwaniem samodzielności. Jego rozwiązanie nie może się odbyć bez strat i cierpienia. Pozostając w zależności od

rodziców, młody człowiek decyduje się jednocześnie na stałe, napięciotwórcze impulsy buntu i przekory, na przeżywanie pogardy dla samego siebie i zazdrości wobec wolnych i samodzielnych rówieśników, wreszcie na utratę okazji do sprawdzenia swoich możliwości i doznania smaku ewentualnego sukcesu. Kto psychicznie siedzi przy rodzicach, mniej się boi, ale też mniej się cieszy i mniej ma okazji do uwierzenia we własne siły.

Jeżeli natomiast decyduje się na dalszą separację, to wybiera ryzyko, niepewność i zagrożenie. Decyduje się na przeżywanie rozczarowań i zawodów oraz wszystkiego tego, czego doświadcza człowiek błądzący, czyli złości, smutku, żalu i rozpacz, ale też nadziei, radości z sukcesu, dumy i zadowolenia z siebie. Ostatecznie zwycięża zwykle pragnienie autonomii, chociaż ogromna liczba ludzi przez całe życie nie umie (i pewnie nie chce) zakończyć procesu separacji i wyemancypować się spod kurateli rodziców.

Największym jednak źródłem cierpienia w okresie dorastania są inni ludzie.

## **Rodzice**

Wpływ rodziców na życie dziecka i ich dla niego znaczenie w okresie dorastania gwałtownie maleją. Matkom i ojcom nie jest łatwo się z tym pogodzić. Od przyjścia dziecka na świat do początku okresu dorastania mija około 5110 dni. Od początku okre-

su dorastania do jego zakończenia upływa blisko 1460 dni. Wynika z tego, że przez większość lat dzieciństwa tempo zmian, jakim ulega człowiek, jest umiarkowane i daje rodzicom czas na przystosowanie się do nich. I rzeczywiście, pomiędzy ośmio- a dziewięcioletkiem różnica jest trudno uchwytna, wyjąwszy (i to nie zawsze) rozmiar buta czy wielkość spodni. Pomędzy czternasto- a piętnastolatkiem ta różnica jest ogromna i to przede wszystkim w zachowaniu i w reakcjach psychicznych, a nie w parametrach ciała. Nic więc dziwnego, że rodzicom z trudem przychodzi przystosować się do takiego tempa zmian i nieraz nie mogą wprost uwierzyć w to, jak inną osobą jest ich dziecko w stosunku do tej, którą było jeszcze rok wcześniej. Między innymi z tego wynika ich tendencja do uporczywego traktowania nastolatków, jakby były młodsze, niż są, i lekceważenia ich aspiracji do autonomii i swobody.

Około dwunastego roku życia dziecko definitywnie „wychodzi z domu”. Oznacza to, że dom i rodzice nie mogą już w pełni zaspokoić jego rozwijających się potrzeb psychicznych i społecznych. W ich miejsce pojawia się grupa rówieśnicza, która od tej pory aż do założenia własnej rodziny będzie dla dziecka najważniejszym jego kontekstem społecznym. Dla dwunasto-, trzynasto- i czternastolatków grupa koleżeńska staje się jedyną ważną rzeczą w życiu, a jej znalezienie i uzyskanie w niej pewnej pozycji jest głównym celem ich aktywności. Rodzi-



ce natychmiast odczuwają tę zmianę. Widzą, że dziecko znika z domu, starając się jak najwięcej czasu spędzać z rówieśnikami. Dowiadują się w szkole, że jego wyniki w nauce znacznie się pogorszyły (pogarszają się u przeszło 90% szóstoklasistów, a teraz gimnazjalistów). Zauważają, że potomek znacznie mniej mówi o sobie, niechętnie zwierza się z czegokolwiek i w ogóle stał się bardziej odległy i tajemniczy. To wszystko budzi ich obawy, głównie o to, że córka czy syn „wpadli w złe towarzystwo”, które namówi ich na papierosy, alkohol, narkotyki i inne „zakazane zabawy”. Zawsze zdumiewała mnie łatwość, z jaką rodzice przestają ufać swoim dorastającym dzieciom. Zdają się nie pamiętać o tym, że są one niejako ich „produktem”, w którego wytworzenie włożyli najlepsze swoje intencje i umiejętności. Wydaje im się, że ich wysiłki wychowawcze nie odniosły żadnego skutku i że ich dziecko nie posiada rozumu, władzy sądenia i umiejętności odróżniania dobra od zła, które to atrybuty tak bardzo chcieli mu przekazać, w związku z czym skorzysta z pierwszej nadarzającej się okazji, aby popełnić wszystkie zakazane czyny i ulec wszystkim czyhającym nań pokusom. Dlatego trzeba wzmocnić nad nim kontrolę i uniemożliwić mu kontakt z nimi. Przyjęcie takiej postawy przez niezliczone matki i ojców oznacza triumf paraliżującego ich lęku nad zdrowym rozsądkiem i rozumem. Dorastający odbierają tę utratę zaufania rodziców jako nieuzasadnioną szykanę utrudniającą im i tak już nieła-

twą sytuację. Nie dość, że muszą znaleźć sobie swoją społeczną grupę odniesienia i wywalczyć w niej jakąś pozycję, to jeszcze muszą to robić bez akceptacji rodziców, wbrew ich kontrolerskim zapędom. Ten brak z ich strony zrozumienia dla swoich żywotnych interesów dzieci odczuwają jak emocjonalny zawód, zdradę i akt wrogości ze strony najbliższych do tej pory osób.

„A mówili, że mnie kochają – skarżą mi się często nastolatki. – Jeśli tak, to czemu tak zupełnie mnie nie rozumieją i zamiast pomóc, tylko utrudniają mi życie”. Nie są one w stanie pojąć ogromu strachu rodziców związanego z ich dorastaniem, ponieważ w umysłach nastolatków nie ma na ogół złych intencji czy planów unurzania się w narkotycznym, alkoholowym czy innym rynsztoku. One chcą tylko, żeby uszanowano ich postępującą dorosłość i żeby przynajmniej nie przeszkadzano im w realizacji dominujących pragnień, wśród których na pierwszym miejscu plasuje się potrzeba przynależności oraz potrzeba doznawania i dawania przyjaźni. Nie widzą też nic zagrażającego w pozyskiwaniu większej swobody i autonomii, więc siłą rzeczy rozmaite obawy rodziców interpretują jako ich złą wolę (oni wciąż chcą mną rządzić) albo przewrażliwienie (oni się wszystkiego boją, w związku z czym na nic mi nie pozwalają). W ten sposób zostaje zarysowany najważniejszy konflikt okresu dorastania, czyli walka dzieci z rodzicami o swobodę i autonomię oraz rodziców z dziećmi o kontrolę nad nimi i

wpływ na ich życie. Jest ona źródłem niepokoju i cierpienia dla obu stron, ale, z oczywistych względów, więcej uwagi poświęcimy dzieciom.

Około trzynastego roku życia w ramach procesu separacji powstaje u dorastających i szybko się rozwija sfera prywatności, czyli zespół spraw, znajomości, myśli, marzeń, wątpliwości, rozterek, do których młodzi nie chcą już dopuszczać dorosłych, a w szczególności rodziców. Swoje tajemnicze (najczęściej zupełnie niewinne) sprawy, fantazje i pomysły wolą powierzać kartkom pamiętnika oraz różnego rodzaju zapiskom, listom, wierszom, opowiadaniom i innym wytworom. Rodzice z kolei, przyzwyczajeni przez tyle lat do otwartej szczerości dzieci, za wszelką cenę pragną nadal wiedzieć, co się dzieje w głowach i w duszach ich pociech, ponieważ wydaje im się, że jeśli będą to wiedzieć, to potrafią ustrzec je przed czyhającymi na nie zagrożeniami. Przeszukują więc pokoje dzieci, przetrząsają ich kieszenie, torby, plecaki i teczki, polując na ukryte notatki, pamiętniki i utwory, które czytają ukradkiem, z płonącymi uszami. Dzieci prędzej czy później odkrywają ten proceder i mają do „starych” uzasadnione pretensje. Czują się śledzone i mają świadomość tego, że są traktowane podejrzliwie, co nie poprawia ich poczucia bezpieczeństwa. Wścibstwo i brak dyskrecji u rodziców prawie wszystkie nastolatki wymieniają jako źródła swojego napięcia i lęku.

„Prosząc rodziców, żeby mi na coś tam pozwo-

lili, już z góry staram się nastawić na ich «maglowanie» w stylu: gdzie, po co, z kim – nazwiska, adresy, kontakty. Oczywiście, nic nie mogę im powiedzieć, bo boję się, że narobią mi «obciachu». Nie mam więc innego wyjścia, niż «ściemnić», skrócić, skłamać, chociaż kłamać nie lubię i czuję do siebie obrzydzenie za to, że to robię” – mówi piętnastolatka.

„Jeśli się z czegoś zwierzę mamie, to na bank «wyklepie» to babci, ciotkom, swoim koleżankom albo przy pierwszej kłótni wykrzyczy mi w oczy. Dlatego nie zwierzam się, a jeśli, to wciskam jej bałachy” – opowiada inna.

Specyficzny kodeks grupowy nastolatków posługuje się pojęciem „obciachu” na określenie sytuacji, w której ktoś im publicznie narobił wstydu, skompromitował ich, zdezwauował i ośmieszył, a trzeba wiedzieć, że nastolatek niczego tak się nie lęka jak ośmieszenia wobec grupy. Obciachem jest wszystko to, co wobec innych podważa dorosłość i autonomię dorastającego. Będzie więc nim publiczne wyrażenie dziecku przez rodzica czułości lub troski, zwrócenie mu uwagi, nazwanie go „przy kolegach” domowym zdrobnieniem, wyrażenie troski o jego zdrowie lub postępy w szkole, interwencje na rzecz dziecka w szkole (np. upominanie się u nauczycieli o lepsze stopnie), zabranianie dziecku uczestniczenia w grupowych przedsięwzięciach (wycieczkach, wyprawach na koncerty, „impresach”) itd. Młodzież traktuje to, co jest, i to, co nie

jest obciachem, bardzo poważnie, a rodzice mają tendencję do lekceważenia tych reguł. „Cóż to, nie mam prawa zapytać dziecka, jak było w szkole albo czy zjadło obiad?” – pytają. „Pytać możesz o co chcesz, byle nie przy kolegach” – brzmi odpowiedź.

Kolejną udręką dorastających, której źródłem są rodzice, jest „mędzenie”, „kwaszenie”, „trucie”, „gadanie” i „czepianie się”, czyli niemal wszystko to, co matki i ojcowie uważają za będącą ich obowiązkiem wychowawczą działalność.

Współżycie z nastolatkami na jednym terytorium nie jest łatwe. Są one bowiem samolubne, leniwe, bałaganiarskie, niesubordynowane, niedbałe, opryskliwe, najeżone i niesamowicie obraźliwe. Z całą pewnością nie będąc już dziećmi, nie są jeszcze z całą pewnością dorosłymi, co powoduje, że trudno znaleźć taką formułę kontaktów z nimi, która zapewniałaby jakiś stały poziom wymiany informacji i porozumienia. Rodzice próbują raz jak z dziećmi, raz jak z dorosłymi i widząc, że nic z tego nie wychodzi, niejako „osuwają się” w gderanie, napominanie i wygłaszanie kazań, choć na ogół zdają sobie sprawę z tego, że taka ich działalność wychowawcza powoduje u potomstwa zniecierpliwienie i odruchy przekornej złości.

„Moim rodzicom nic się nie podoba. Źle się odżywiam, źle śpię, źle siedzę, źle chodzę, brzydko się ubieram, źle dbam o porządek, źle się zachowuję i w ogóle jestem zła. Przecież kiedyś mówili mi,

że jestem OK, że mnie kochają. Dzisiaj chyba mnie nienawidzą” – zwierza mi się wzburzona i rozżalona piętnastolatka.

„Wszystko, ale to dosłownie wszystko jest dla moich rodziców okazją do wygłaszania na mój temat uwag i kazań, z których wynika, że jestem głupią, niegodną zaufania, niewychowaną fleją” – skarży się inna.

„Na gadactwo moich rodziców nie pomaga nic. Choćbym wylał ze skóry, zawsze jest jakieś «ale». No, ładnie posprzątałeś, ale okna nie przetarłeś. No, w szkole jest jako tako, ale mogłoby być lepiej. No, w porządku, że wczoraj wróciłeś punktualnie, ale jednak spóźniłeś się osiem minut itd. Wciąż bez końca w tym stylu, aż czasami chce mi się wyć” – opowiada najeżony piętnastolatek. I tak dalej.

Dla większości dorastających, pod pozorami arogancji i „zwisu” niezwykle wrażliwych na krytykę, narzekania i dydaktyczne smrodki rodziców są wyrazem dezakceptacji i emocjonalnego odrzucenia, które boleśnie współgra z ich niewielkim poczuciem własnej wartości, powodując, że czują się jeszcze bardziej samotni, niekochani i nierozumiani.

Bo chociaż stają się coraz bardziej dorośli i emocjonalnie niezależni od rodziców, to matka i ojciec pozostają dla nich nadal bardzo ważnymi osobami, od których oczekują bezwarunkowego zrozumienia, akceptacji i wsparcia za „samo istnienie”, a nie za jakieś osiągnięcia, wyniki w szkole czy podporządkowanie się rodzicielskiej woli.

## Rówieśnicy

Dla czternastolatka bycie w grupie jest wartością samą w sobie. Nie wiąże się on ze swoim kręgiem towarzyskim czy paczką dla realizacji jakiegoś celu, ale dla wspólnego spędzenia czasu, choćby siedzenia godzinami na podwórkowej ławce albo wystawiania po bramach i zakamarkach. Jedną z ławek na moim podwórku wciąż okupuje latem taka grupa chłopców. Siedzą, coś leniwie pogadują, potem zbierają między sobą pieniądze, idą do pobliskiego sklepu, kupują coca-colę i chipsy, znów siedzą, pogadują, śmieją się, czasami milczą, czasami siłują się albo boksują, ale bez specjalnego zaangażowania, czasami gdzieś idą, by po godzinie, dwu wrócić znów na ławkę, siadają, pogadują, idą po coca-colę, gapią się na przechodzących ludzi, pozdrawiają tych, których znają, okrzykami i gwizdami zaczepiają przechodzące dziewczyny i tak całymi dniami. Kiedyś, korzystając z tego, że jako „swojego”, znanego im osobnika pozdrawiają mnie gromkim „ndobry!”, zapytałem, czemu tak wciąż siedzą na tej ławce. „A tak, bo nie ma co robić” – odpowiedzieli. „A jakby ktoś nie przychodził na ławkę, to co?” – drażyłem dalej. „No, toby do nas nie należał i miałby przechłapanie”. „A na czym polega należenie do was?” „Na przychodzeniu na ławkę”. Koniec wyjaśnień. Przesiadywanie na ławce nie jest tylko przesiadywaniem na ławce. Jest formą przynależności do grupy, sposobem uczestnictwa

w podwórkowym kolektywie, które, mimo swej pozornie małej atrakcyjności, jest na tyle ważne, że wygrywa z chęcią pójdzie do kina czy posiedzenia w domu przy komputerze. Możliwość powiedzenia o sobie „my” i poczucie przynależności do owego „my” jest warte nudnego „grzania ławy” czy wystawiania godzinami gdzieś w bramie. Na oko w takiej „ławkowej” grupie nic specjalnego się nie dzieje. W rzeczywistości posiada ona ściśle określoną, hierarchiczną strukturę, w której pozycja i role poszczególnych uczestników są ustalone, wiadomo, kto przewodzi, ma posłuch i cieszy się szacunkiem, a kto dopiero na szacunek musi zasłużyć, i w której wreszcie toczy się stała rywalizacja o wyższe miejsce. Zdobywa się je np. poprzez wyzwanie na „solówkę”, czyli bokerski pojedynek, poprzez pieniądze i inne dobra oddawane do dyspozycji grupy czy poprzez pomysł na jakiś „numer” albo „skok”, który dostarczy grupie zajęcia i rozrywki. Może to być numer stosunkowo niewinny (np. chłopcy z „mojej” ławki czasami wchodzili na dachy stojących nieopodal garaży i urządzali pogonie z usiłującymi ich stamtąd spędzić właścicielami) albo rzeczywisty „skok”, np. na zaparkowany przy ulicy samochód albo na piwnicę w któryś z bloków.

Znalezienie się i utrzymanie w rówieśniczej grupie jest główną udręką czternasto- i piętnastolatków powodowaną przez rówieśników. Rzesze chłopców i dziewcząt w tym wieku (dziewczyny też mają „solówki”, nie mówiąc już o skokach, które



często bywają bardziej ryzykanckie niż te, na które porywają się chłopcy) przeżywają istne katusze, nie mogąc się uporać ze strachem przed bójką, brakiem pieniędzy na „fundy” dla grupy czy lękiem przed pogwałceniem norm współżycia albo wręcz przepisów prawa podczas skoku. Przynależność do grupy „opłacają” oni ustawicznym napięciem. Jeśli sięgniemy pamięcią do własnej młodości, stwierdzimy, że prawie każdy z nas miał w tym okresie swojego wroga-prześladowcę, czyli rówieśnika, który nas systematycznie, w różny sposób napastował, upokarzał, straszył i wykorzystywał i z którym wciąż musieliśmy albo walczyć, albo przed nim uciekać. Nie inaczej jest i z naszymi dziećmi. Nasze nastolatki też nie śpią po nocach, boją się iść do szkoły albo „chodzą kanałami” ze strachu przed jakimś wysoko stojącym w hierarchii grupy konkurentem albo gwiazdą popularności w klasie, która akurat nasze dziecko upodobała sobie jako „chłopca do bicia i na posyłki”. Najczęściej po prostu o tym nie wiemy, bo nasza pociecha za nic w świecie nie przyzna się do swojego dramatu, bojąc się, że jej narobimy „obciachu” swoimi ewentualnymi interwencjami i jeszcze pogorszymy sprawę. Jedne dzieci potrafią czasem zastraszyć i zaszczuć inne dzieci i może się to zdarzyć „na oczach” dorosłych, którzy nawet nie zorientują się, że coś się dzieje, bo ofiara gotowa jest raczej cierpieć, niż narazić się na ostateczne odrzucenie przez grupę spowodowane interwencją dorosłych.

W niemodnej już dziś wśród młodych, ale zapewne pamiętanej przez rodziców powieści Molnara *Chłopcy z Placu Broni* jest taka bardzo prawdziwa psychologicznie sytuacja, w której słabszy chłopiec prześladowany przez silniejszego wybiera z góry skazaną na niepowodzenie konfrontację z prześladowcą zakończoną poważnymi skutkami zdrowotnymi niż ucieczkę i schronienie się pod opiekę dorosłych. Prawa rządzące grupami dorastających są twarde i bezlitosne, a ponadto kompletnie zazwyczaj nierozumiane przez rodziców, którzy zdążyli zapomnieć o swoich młodzieńczych doświadczeniach. Dlatego skłonni są honorowy kodeks swojego nastolatka, jego dumę i działania na rzecz zachowania godności wobec grupy traktować jak idiotyczne wymysły i głupoty, które mogą się źle skończyć i do których nie należy dopuszczać. Z punktu widzenia rodzicielskiej troski i lęku o dziecko mają rację, ale z punktu widzenia rozwoju ich dziecka i przebiegu procesu separacji – nie. Nie traktując poważnie kłopotów potomstwa z rówieśnikami, osiągają zazwyczaj tyle, że synowie i córki nic im o nich nie mówią, borykając się w samotności ze swoim strachem, kompleksami i doznawanymi krzywdami stanowiącymi istotny składnik kosztu ich dzieciństwa.

Około piętnastego roku życia potrzeby emocjonalne nastolatków związane z grupą rówieśniczą ulegają zmianie. Ewoluuja one w bardziej osobistym, uczuciowym kierunku. Najważniejszymi war-

tościami nie są już poczucie przynależności do grupy i miejsce w jej hierarchicznej strukturze. Najistotniejsze staje się poszukiwanie osobistej więzi z rówieśnikami w postaci bliskiej przyjaźni i pierwszych miłości. Celem aktywności nastolatków nie jest już po prostu bycie w grupie, ale znalezienie w niej konkretnej osoby, przyjaciela lub przyjaciółki, kontakty z którą zaspokoiliłyby szybko rozwijającą się potrzebę uczuciowej i nie tylko uczuciowej bliskości z innym człowiekiem. To bardzo trudny czas „zadurzeń” nastolatków w nauczycielach, trenerach, aktorach i starszych kolegach, często tej samej płci, i pierwszych „na zabój” zakochań. Przyjaciel czy przyjaciółka „od serca” staje się dla dorastającego najbliższą i najważniejszą osobą, z którą przegrywają w przedbiegach rodzice i właściwie wszyscy inni ludzie z jego otoczenia. Jego lub jej osoba jest przedmiotem palącej zazdrości i obiektem zaborczej adoracji. Nastoletni przyjaciele i przyjaciółki starają się być nierozłączni. Nie nudzi ich i nie nuży własne towarzystwo, nawet jeśli spędzają ze sobą długie godziny. Jeżeli muszą się rozstać, natychmiast tęsknią do siebie, telefonują, piszą, kontaktują się za pośrednictwem poczty elektronicznej itd. Dla rodziców jest to czas niekończących się rozmów telefonicznych „za zamkniętymi drzwiami”, ogromnych telefonicznych rachunków i niemal stałej obecności przy ich dziecku tej drugiej osoby, którą trzeba nieraz zabierać na weekendy czy na wakacje, bo dziecko bez przyjaciela wyjechać nie

chce, a zmusić go już nie bardzo można. W tym samym bowiem czasie następuje jedno z najważniejszych dla dorastających odkryć, czyli odkrycie rzeczywistej bezradności rodziców.

Przez długie lata przyzwyczajone do uległości dziecko nie ma odwagi dostatecznie stanowczo sprzeciwić się rodzicom, bo wyobraża sobie, że wtedy stanie się coś strasznego. Tak działa wciąż powtarzany w trakcie wychowania i w końcu zinternalizowany przez dziecko (czyli uwewnętrzniony, jako część sumienia) nakaz posłuszeństwa. Wreszcie jednak przychodzi taka chwila, najczęściej właśnie gdzieś w piętnastym roku życia, kiedy zdeterminowany pragnieniem autonomii nastolatek zbiera się wreszcie na odwagę i stanowczo mówi rodzicom – nie. Następnie kuli się w sobie i czeka, aż to okropne „coś”, co zagraża nieposłusznym dzieciom, wreszcie się stanie. Czekąca cały w drżeniu, a tu nic się nie dzieje, nic się nie staje, tylko zaskoczeni jego oporem rodzice wyraźnie nie wiedzą, co robić, aż wreszcie spuszcza ją z tonu i zamiast, jak dotychczas, zagrznieć srogim gniewem, zaczynają prosić albo łagodnie perswadować. A nastolatek w jednym, jasnym prześwycie zrozumienia już wie. Bał się niepotrzebnie, ponieważ rodzice wobec jego stanowczego sprzeciwu są właściwie bezradni. Z ich butnej siły i pewności siebie w jednej chwili zostają żałosne szczątki. Jakieś miny, jakieś gesty, których już nie można traktować poważnie, bo czar prysnął. „To tak – opowiadała mi o tym momencie

pewna nastolatka – jakby człowiek zamknięty w klatce nagle skojarzył, że cały czas były w niej uchylone drzwi, których, jakimś cudem, dotąd nie dostrzegął. To wspaniała chwila ulgi, że można już z tej klatki wyjść, i jednocześnie wściekłej złości, że tak długo było się ślepym”.

Od tego czasu walka o autonomię pomiędzy dziećmi a rodzicami przybiera ostrzejsze formy, ponieważ bogatsze o nową wiedzę dzieci zaczynają szeroko stosować strategię tworzenia faktów dokonanych i „robią swoje” na zasadzie – nie będę posłuszny, i co mi zrobisz? W ogromnej mierze dotyczy to kontaktów z kolegami i przyjaciółmi, bo rodzice są im z reguły przeciwni. Boją się, że dziecko popadnie w nieodpowiednie towarzystwo, a znów nawet znani im jego przyjaciele zbyt szybko je absorbują i odciągają od nauki. Tym bardziej, że owe bliskie, przyjacielskie relacje (szczególnie u dziewcząt) są na ogół bardzo burzliwe, pełne kłótni, „zdrad”, wzajemnych pretensji, zerwań i powrotów. Rodzice widzą, jak latorośl leje łzy albo zamartwia się tym, co przyjaciel czy przyjaciółka powiedzieli lub zrobili, i wcale im się to nie podoba, więc starają się, w interesie dziecka, te przyjacielskie kontakty uczynić mniej intensywnymi albo inaczej je kontrolować. Nie rozumieją najczęściej, że w ten sposób utrudniają synowi czy córce sytuację, bowiem etap bliskich przyjaźni jest koniecznym stadium rozwoju uczuciowego, swoistej „edukacji sentymentalnej” będącej przygotowaniem do wejścia

w trwalsze i głębsze związki z ludźmi spoza rodziny.

Trudności ze znalezieniem przyjaciela, lęk przed odrzuceniem przez wybraną osobę oferowanych jej uczuć, cierpienia spowodowane zazdrością i pragnieniem wyłączności w sercu przyjaciela, obawy przed jego niezadowoleniem, krytyką, nielojalnością i tym podobne „zmory” są zazwyczaj nieuniknionym elementem koszmaru dzieciństwa w okresie dorastania, ale też źródłem doświadczeń niezbędnych przy budowaniu przyszłego, samodzielnego życia w społeczeństwie.

## 9. Szkoła jako obszar cierpienia

### **Płacz i zgrzytanie zębów**

Nauka w szkole to podstawowy i, na dobrą sprawę, jedyny poważny obowiązek dziecka. Na jego wypełnienie zostaje przeznaczona większa część jego czasu, energii i uwagi. Cały okres „szkolnego dzieciństwa” (odliczając przesypiane, na ogół, noce) wynosi w przybliżeniu nieco ponad 48 tysięcy godzin. Z tego w szkole dziecko spędza około 32 tysięcy godzin. Na „całą resztę życia” pozostaje mu więc około 16 tysięcy godzin, z czego trzeba jeszcze odliczyć średnio 8 tysięcy godzin spędzonych nad lekcjami i zadaniami domowymi. Tak więc w szkole i nad sprawami związanymi ze szkołą dziecko spędza prawie 82% swojego dzieciństwa i wczesnej młodości. To naprawdę kawał czasu, ale nie byłoby może w tym nic specjalnie godnego uwagi, gdyby nie to, że jest to czas spędzany w nieprzyjaznym miejscu, w którym dziecko narażone jest na przewlekły stres i cierpienie. Szkoła, taka jaka jest obecnie w naszym kraju, wywołuje u dzieci

głównie strach, zniecierpliwienie, nudę i wszech-  
obejmujące uczucie „bycia nie w porządku”. Na  
samą myśl o niej bardzo wielu naszym pociechom  
wymioty panicznego lęku podchodzą do gardła, a  
ciało pokrywa się zimnym potem. Jest to, zważyw-  
szy wiek i kompleksję dziecka, życie porównywalne  
do losu pilotów odrzutowców, o którym jeden z  
nich powiedział mi tak: „Sześć razy w tygodniu  
umierasz ze strachu, a przez resztę czasu przygoto-  
wujesz się do tego, żeby to znieść”.

W ostatnich latach coraz powszechniejsze staje  
się odmawianie przez pierwszoklasistów uczęsz-  
czania do szkoły już po kilku pierwszych tygo-  
dniach, a nawet dniach, mimo że wybierali się do  
niej z zapałem i byli tak dumni ze swojego szkolne-  
go wyposażenia. Rozczarowanie, jakie ich spotyka  
za drzwiami smutnych, brzydkich klas, jest niebo-  
tyczne. I choć pod naciskiem rodziców chodzą do  
szkoły, to czynią to nad wyraz niechętnie, traktując  
nawet trudne do zniesienia choroby jak wybawie-  
nie od tego przykrego obowiązku. A dalej jest już  
tylko gorzej. Niechęć do szkoły narasta u uczniów z  
roku na rok, z klasy na klasę, aby na początku szko-  
ły średniej osiągnąć rozmiary bliskie nienawiści.

Polskie szkoły są permanentnie dewastowane  
przez uczniów w takim stopniu, że większość z nich  
musi być podczas wakacji dość gruntownie remon-  
towana. Poukręcane krany i pourywane spluczki w  
toaletach, niemiłosiernie pobrudzone ściany, poła-  
mane ławki i krzesła, powyrywane kontakty i prze-



łączniki elektryczne – to w budynkach szkolnych zwyczajny widok. I nie są to bynajmniej szkody powstałe w wyniku normalnej eksploatacji, ale celowe zniszczenia dokonywane z furią i znacznym nieraz nakładem pracy. Sam wielokrotnie, ze zdumieniem oglądałem w szkołach skręcone „dziecięcymi rączkami” żelazne barierki ochronne przy schodach, pogieęte ozdoby, żelazne kraty czy powyginane pod różnymi kątami bramki i słupki na szkolnych boiskach, wykonane zazwyczaj z solidnych, metalowych rur. Wygląda na to, że materialna substancja szkoły jest obiektem wyładowywania nagromadzonej w dzieciach złości do owej instytucji, złości, która nie może przejawić się bezpośrednio w stosunku do nauczycieli, chociaż przypadki brutalnych, fizycznych ataków na nich dokonywane przez uczniów są coraz liczniejsze.

Z polskich szkół dobiega krzyk przerażenia i zgrzytanie zębami bezsilnej złości.

### **Totalna frustracja**

Złość i będąca jej ekspresją agresja jest u ludzi wynikiem frustracji, czyli niezaspokojenia lub przeszkód w zaspokojeniu ważnych potrzeb fizycznych i, przede wszystkim, psychicznych.

Jeżeli frustracja trwa dostatecznie długo lub ma charakter przewlekły, złość zamienia się w smutek, apatię i rozpacz.

Szkoła frustruje większość ważnych potrzeb

dzieci, ponieważ jest niemal całkowicie nieprzystosowana do ich właściwości rozwojowych.

Spróbujmy popatrzeć, jak to wygląda.

### **Potrzeba ruchu, ekspresji i wydatkowania energii**

Choć silna, nie jest to najpilniejsza z potrzeb małego (od 0 do 10 roku życia) dziecka, ale umieszczam ją na pierwszym miejscu, ponieważ sposoby jej zaspokajania są bardzo „widowiskowe” i przyciągające uwagę.

Każdy rodzic i nie tylko rodzic dobrze wie, że małe dziecko, jeśli nie jest w ruchu, to ani chybi jest chore albo potwornie zmęczone. Nie wie tego tylko szkoła.

Siedzący nieruchomo pięcio-, sześć- czy ośmiolatek jest zjawiskiem równie częstym, jak czerwony banan. Normalne, zdrowe, małe dziecko jest niemal w ciągłym ruchu, a jego zasoby energetyczne zdają się być niewyczerpane. Jeśli nie może biegać, chodzić, skakać, czołgać się albo w inny sposób przemieszczać się w przestrzeni, będzie podskakiwać i dreptać w miejscu oraz kręcić się i wiercić, choćby dookoła własnej osi. Jeżeli i to jest niemożliwe, będzie poruszać wszystkimi ruchomymi częściami ciała na tyle, na ile to się daje zrobić. Jeśli sytuacja wyklucza również „ruszanie się” (np. dziecko siedzi w tłoku na kolanach matki), będzie wykrzywiać buzię, przewracać oczami i stroić miny. Zacznie wydawać różne dźwięki (np. naśladujące warkot silnika

albo szczekanie psa), gadać (często do siebie, dla samego gadania) i śpiewać. A jeśli i tego mu zakazemy, najpewniej wybuchnie płaczem i zacznie energicznie protestować. Dzieje się tak nie dlatego, że dziecko jest złe, głupie, przekorne czy źle wychowane, ale dlatego, że rozsadza je energia, która bez przerwy domaga się jakiegoś ujścia. Jego uwaga jest przerzutna i na jednym obiekcie skupia się zaledwie na kilkanaście sekund, chyba że jest to przedmiot, opowieść lub zjawisko naprawdę fascynujące. Wtedy skupi się i na 15 minut, ale gdzie są te naprawdę fascynujące opowieści, zjawiska i przedmioty? W szkole np. nie ma ich prawie wcale, bo szkoła nie przyjmuje do wiadomości opisanej powyżej właściwości rozwojowej dziecka i wymaga od niego bezruchu i skupienia uwagi przez trzydzieści i więcej minut. To tak, jakby od kozy wymagać śpiewania arii operowych. Dziecko ma siedzieć spokojnie i w skupieniu na lekcji, zajmując się np. tak fascynującą czynnością, jak rysowanie wciąż tych samych szlaczków albo zapoznawanie się ze szczegółami niełatwego żywota *Naszej szkapy*. Na przerwie zaś ma poruszać się po korytarzu powoli, statecznie i w jedną stronę, jak „dożywotki” na wieziennym spacerunku. Podyktowane jest to względami bezpieczeństwa, bowiem większość budynków szkolnych, ze swoimi niezliczonymi betonowymi schodami, zakamarkami i do absurdu wyświeconymi posadzkami, nie jest przystosowana do przebywania w nich dużych grup małych dzieci.

Na boisko szkolne też dzieci nie mogą wyjść, bo ktoś wymyślił centralną szatnię, niczym jakieś kazamaty, pełną żelaznych klatek mających chronić ubrania przed złodziejami. Przed nikim niczego nie chronią (złodzieje i tak kradną, co chcą i kiedy chcą) za to skutecznie uniemożliwiają szybkie wyjście na zewnątrz, bo ich sforsowanie zabiera więcej czasu (trzeba znaleźć panią woźną, namówić ją, by raczyła otworzyć odpowiedni boks, ubrać się itd.), niż trwa przerwa. A poza tym boisko często nie lepsze niż korytarz. Wybetonowane albo wysypane ostrym żwirem jest tak samo, a może nawet bardziej niebezpieczne niż wywoskowana „na lustro” kamienna posadzka. Nie rozumiem też dlaczego, tak jak w wielu krajach Europy Zachodniej i w USA, kurtki nie mogą po prostu wisieć na wieszaku w klasie. Aha! Oczywiście. Nie mogą wisieć w klasie, bo nie ma klasy. Ktoś wymyślił, że małe dzieci będą wędrować od klasopracowni do klasopracowni, które to klasopracownie tym się różnią od klas, że stoją w nich prastare, zakurzone i nigdy nieużywane „pomocze naukowe”. Niemożność zaspokojenia potrzeby ruchu, ekspresji emocjonalnej i wydatkowania energii wywołuje u dzieci przede wszystkim złość i napięcie, które z czasem przechodzi w stan przewlekłego rozdrażnienia zwanego uczenie „dysforią”, a jeszcze później w depresyjną apatię. Wszystkie te stany psychiczne są dla dzieci mocno nieprzyjemne i tak męczące, że wiele z nich po przyjściu ze szkoły wygląda „jak z krzyża zdjęte” i

musi się chwilkę przespać, żeby odzyskać swój normalny wigor. Dysforyczne, pobudzone dzieci wypełniają wrzaskiem polskie szkoły, kręcą się na lekcjach i szaleją na przerwach, o co szkoła ma do nich ustawiczne pretensje, często nie wiedząc (a może nie chcąc wiedzieć), że sama je w taki stan wprowadza.

### **Potrzeba bezpieczeństwa**

Jedna z najważniejszych potrzeb psychicznych dziecka i w ogóle człowieka. Złożona. Zawiera w sobie inne potrzeby, których zaspokojenie jest warunkiem poczucia bezpieczeństwa, czyli dobrego samopoczucia fizycznego i psychicznego.

U małych dzieci najbardziej bezpośrednio zaspokajają potrzebę bezpieczeństwa bliskość rodziców (szczególnie matki) oraz stałość, powtarzalność, a co za tym idzie przewidywalność ich środowiska i zachowania się otaczających je osób. Dziecko, chociaż niesłychanie ruchliwe i ciekawe, w istocie nie lubi zmian w swoim życiu i źle je toleruje. Najbezpieczniej czuje się blisko rodziców (gdzieś do 10 roku życia) w sytuacji, w której dni mają bardzo podobny przebieg, a rozkład jego czynności i zajęć jest stały. Bardzo też nie lubi być zaskakiwane nagłymi zmianami w zachowaniu matki, ojca lub innych znaczących osób z jego otoczenia. Dorosli w powtarzających się sytuacjach mają zachowywać się zawsze tak samo. Kiedy dziecko bywa np. smut-

ne, bo poniosło jakąś w swoim mniemaniu porażkę, matka nie może raz je przytulić, raz przejść obok niego obojętnie, a raz nakrzyczeć na nie za to, że do owej porażki dopuściło. Krótko mówiąc, aby czuć się bezpiecznie, dziecko musi wiedzieć, czego się trzymać i czego może się spodziewać.

W szkole nie ma rodziców i to już powoduje u dziecka pewien stopień napięcia psychicznego i lęku. Oczywiście, nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie robił szkole zarzutów z tego tytułu. Dziecko musi się nauczyć dawać sobie radę bez rodziców i szkoła jest jednym z miejsc, gdzie ma się tego nauczyć. Ale owa nauka kończy się (i to nie zawsze) dopiero około czternastego roku życia i do tego czasu szkoła powinna pamiętać, żeby w zakresie „wyrabiania się” emocjonalnego nie stawiać dziecku zbyt wygórowanych wymagań i nie przyjmować za cel nauczania go samodzielności w kilka miesięcy. Niestety, na ogół o tym nie pamięta, wymagając od uczniów opanowania, spokoju i racjonalnego zachowania się od razu i bez względu na okoliczności. Nie zapewnia też szkoła stałości i przewidywalności środowiska, choć z grubsza wydaje się ono ustrukturalizowane (w czwartek, na ogół, są te same lekcje, co w ubiegły czwartek). Już sam fakt przebywania dziecka w kolektywie klasowym, w grupie, wymaga od niego znacznej elastyczności reagowania na zmienne zachowania innych jego członków. W każdej klasie szkolnej występują wewnętrzgrupowe konflikty i rozgrywki, toczy się ry-

walizacja o prestiż, pozycję i władzę, powstają coraz to inne relacje osobowe między jej członkami, zawiązują się i upadają przyjaźnie, sojusze i koalicje. Jest to najczęściej ukryte, niejawne, „drugie życie” klasy, do którego nauczyciele zazwyczaj nie mają (ale też i niespecjalnie chcą mieć) dostępu. Aby zapewnić uczniom elementarne poczucie bezpieczeństwa, szkoła musiałaby umieć w to „drugie życie” konstruktywnie ingerować i kształtować je wychowawczo, a nie tępić. Oznacza to konieczność systematycznej pracy wychowawczej z każdym kolektywem nad rodzącymi się w klasie problemami i układami interpersonalnymi. Jest to niedościgłe marzenie. W skupionej wyłącznie na dydaktyce polskiej szkole nie ma na to miejsca ani czasu, bo trzeba „realizować program” (choć wiadomo, że niepewne czy wystraszone dziecko gorzej ten program realizuje) i przerabiać „materiał” (tak, tak, materiał, a nie zdobywać wiedzę). W naszej szkole nauczyciel rozliczany jest z „realizacji programu” i „przerobienia materiału”, a nie z tego, czy kogoś czegoś nauczył albo choć odrobinę wychował. Jest to, w kontekście deklarowanych przez szkołę celów, dziwne, a nawet niezrozumiałe, ale to już szkoły nie obchodzi. W efekcie uczniowie muszą z reguły sami „wyrabiać się” z międzyludzkimi problemami, jakich wśród nich nie ma, a jak ktoś się nie wyrobi i „puszczą mu nerwy”, to szkoła, w ramach działań wychowawczych, złoży na niego donos do jego rodziców i pójdzie dalej „z materiałem”.

## **Potrzeba afiliacji, czyli przynależności**

Aby mieć poczucie bezpieczeństwa, dziecko musi czuć, że gdzieś „przynależy”, że jest komuś potrzebne, dla kogoś ważne i przez kogoś chronione. Wszystkie te trzy funkcje najlepiej oczywiście spełniają rodzice i rodzina.

W szkole dziecko nie jest nikomu potrzebne. Ustawicznie otrzymuje ono tam komunikaty, że jest kłopotem i utrapieniem, z którym nauczyciele sobie nie radzą i tylko tracą zdrowie na jałowych staraniach. Obyczaj zwoływania przez nauczycieli rodzicielskich zebrań i oświadczenia przestraszonym matkom i ojcom, że „nie radzą sobie z tą klasą”, jest w polskich szkołach powszechny. Na całym logicznie myślącym świecie tego rodzaju deklaracja, odnosząca się do zdrowych, normalnych dzieci, które jak najbardziej mają prawo być w szkole, byłaby odebrana jako przyznanie się pedagoga do zawodowej niekompetencji i rezygnacji z pracy. W Polsce oznacza ona, że dzieci są aż tak złe, że świetny nauczyciel nie może sobie z nimi poradzić, w związku z czym rodzice mają natychmiast coś zrobić ze swoimi beznadziejnymi latoroślami, żeby on zaczął sobie radzić. Ponieważ zazwyczaj nikt nie wie, co niby rodzice mieliby zrobić, wszyscy skupiają się na znalezieniu trzech, czterech kozłów ofiarnych, którzy „rozkładają klasę”, „uniemożliwiają prowadzenie lekcji”, „zakłócają normalny tok szkolnej pracy” i „demoralizują innych swoim zgubnym



wpływem”. Zabawne jest pomyśleć, że te demony rozkładu, ci destruktorzy, zakłóccze i demoralizatorzy to ośmio- albo dziewięcioletnie dzieciaki.

Bardzo często odnoszę wrażenie, że szkoła doskonale obeszlaby się w ogóle bez uczniów. Nauczyciele „realizowaliby program”, „przerabiali materiał”, pisali konspekty i wypełniali dzienniki, wizytatorzy by wizytowali i stawiali nauczycielom oceny, kuratorzy rozraczaliby kuratelę, a minister ministrował i wszędzie byłaby cisza i porządek.

Dla szkoły dziecko nie jest też ważne. W jej hierarchicznej strukturze uczeń jest na ostatnim miejscu, za panią woźną, a nawet za palaczem-alkoholikiem, bo uczniowie sami pchają się do szkoły, a woźną czy palacza znaleźć trudno. Toteż uczniowska racja musi ustąpić przed racją dyrekcji, sekretarek, nauczycieli, woźnych i palaczy, co w konsekwencji powoduje, że uczeń nigdy nie ma racji, a szkoła – zawsze. Nikt też w szkole specjalnie nie stara się wysłuchać tych racji ani też poważnie potraktować. Obowiązuje zasada: „nie dyskutuj, Kowalski”, co znaczy: milcz i słuchaj w pokorze. „Dyskutowanie”, czyli usiłowanie ze strony dziecka przedstawienia swoich argumentów albo obrony swojego stanowiska, traktowane jest jak naganne zachowanie będące lekceważeniem autorytetu nauczyciela i nierozumnym „stawianiem się” władzy, która przecież chce dla ucznia dobrze. Za „dyskutowanie” można zarobić uwagę w dzienniczku, wylecieć za drzwi z lekcji, wylądować „na dywaniku” w gabi-

necie dyrektora (co nie wiadomo dlaczego uchodzi za straszną karę) albo dorobić się wezwania „na dywanik” do szkoły rodziców (co dla niektórych dzieci bywa straszną karą).

Pojedyncze dziecko (jeśli nie jest ulubieńcem nauczyciela) i jego interes w szkole się nie liczą. „Trudno, że tego nie rozumiesz, Kowalski, bo inni już zrozumieli” – mówi np. pani i jedzie dalej „z materiałem”. A Kowalski? Cóż? Jego sprawa. Najwyżej zagrozi mu powtarzanie roku i wtedy szkoła, za cenę przepuszczenia do następnej klasy, będzie usiłowała się go pozbyć. „Niestety – powie rodzicom – syn jest poważnie zagrożony, ale damy mu promocję, jeśli zabierzecie go ze szkoły”. Bo ważniejszy niż dziecko i jego interesy jest dla szkoły święty spokój, w imię którego gotowa jest zdusić jakąkolwiek dziecięcą indywidualność i pokazać każdemu, kto „się stawia”, gdzie jego miejsce. Kiedy bierzemy to pod uwagę, staje się jasne, że na szkołę, jako na sojusznika i alianta, dziecko też nie ma co liczyć. I tak właśnie jest. Szkoła, na ogół, nie tylko nie stara się chronić swoich uczniów i występować w ich obronie, ale ochoczo przyłącza się niemal do każdego, kto ich w jakiś sposób atakuje.

Niedawno miałem okazję brać udział w sprawie pewnego świeżo upieczonego licealisty, dobrego ucznia i spokojnego chłopaka z porządnego domu, który, aby zaimponować nowo poznanym kolegom, usiłował ukraść płytę w sklepie muzycznym. Został przyłapany na gorącym uczynku i oddany w

ręce policji, która natychmiast (ciekawe tylko, jakim prawem?) zawiadomiła o zdarzeniu szkołę. Dyrektorka renomowanego liceum nawet się nie zająknęła w obronie swojego **dobrego i spokojnego** ucznia, tylko niezwłocznie podjęła decyzję o wydaleniu go ze szkoły. Było to działanie całkowicie bezprawne. W końcu chłopak usiłował ukraść płytę w sklepie, ale nawet gdyby ją ukradł w szkole, to i tak nie znaczy, że złodziej nie ma prawa do edukacji. Od karania złodziei jest sąd (który rzeczywiście ukarał naszego lekkomyślnego licealistę rokiem kuratorskiego nadzoru), a nie dyrektorka szkoły, wobec której ukarany już raz uczeń (prawo zabrania karać dwa razy za ten sam czyn) był całkowicie w porządku. Tego rodzaju postawa jest w polskiej szkole bardzo rozpowszechniona. Szkoła uwielbia występować w roli prokuratora, śledczego i sądu, prowadząc różne „dochodzenia” i ferując wyroki. Z reguły też wychodzi z założenia, że uczeń jest winny i godny ukarania, nie zdradzając śladu solidarności czy troski o swojego klienta i wychowanka. Dzieci o tym wiedzą i dlatego śmiertelnie boją się, żeby jakieś ich sprawy, drobne wykroczenia, a nawet całkiem bezpodstawne oskarżenia nie dotarły do szkoły, bo ani chybi stanie ona przeciwko nim i jeszcze im dołoży. Sam byłem kiedyś świadkiem, jak do sąsiadującego ze szkołą mojej córki sklepu weszła grupka dwunasto-, trzynastoletnich uczniów. Jak to dzieci, zachowywali się trochę głośno, śmiali się i żartowali między sobą, co od razu nie spodobało się właścicielce.

„Czego tu chcecie – wpadła na nich agresywnie – lepiej wyjdźcie, bo jeszcze coś zginie”. „Jak pani może tak mówić – zaprotestowała jedna z dziewczynek – przyszliśmy kupić lody, a nie kraść”. „Wyjdźcie – upierała się właścicielka – zbierzcie pieniądze i jedno może kupić dla wszystkich”. „Ale dlaczego – protestowały dzieci – mamy prawo tu być, to jest sklep”. I tak dalej.

Potem dowiedziałem się, że rozwścieczona „dyskutowaniem” właścicielka wyrzuciła w końcu dzieciaki ze sklepu i zatelefonowała ze skargą na ich zachowanie do dyrektorki. A co zrobiła dyrektorka? Nie powiedziała bynajmniej rozjuszonej sklepikarce np.: „Moi uczniowie nie mogli się tak zachować”, choć śmiało mogła to uczynić, gdyż jej uczniowie rzeczywiście nie zrobili nic złego. Ona nawet nie wysłuchawszy racji uczniów, kazała im przyjść z rodzicami, którym naskarżyła, jakie to źle wychowane mają dzieci, a uczniów ukarała naganą wobec całej szkoły. Podobnymi przykładami mógłbym sypać jak z rękawa, ale po co? Szkoła wie, o co chodzi, ale nie jest specjalnie zainteresowana tym, żeby uczniowie czuli się w niej bezpiecznie. Wystrasżonymi łatwiej rządzić.

Potrzeba przynależności jest też przez szkołę frustrowana nawet na tak pozornie powierzchownym poziomie, jak identyfikowanie się uczniów z miejscem, w którym spędzają ponad 80% swojego czasu. Nie czują się oni niczym ze szkołą związani. Bezosobowy, z reguły brzydki budynek, obskurne,

przechodnie klasy, wnętrza, w których nie ma nic swojskiego, nic osobistego, nie sprzyjają utożsamianiu się ze swoją szkołą. Obce dzieciom, napuszone nazwy, patroni, których życie i działalność nic dzieci nie obchodzi, idiotyczne szkolne celebracje (apele i akademie bynajmniej się nie skończyły wraz ze zmianą ustroju, są tylko odprawiane ku innej „czci”), wszystko to raczej oddala, niż przyciąga. A na dodatek w tym brzydkim, odpychającym miejscu rzadko dzieje się coś naprawdę ciekawego lub przyjemnego. W efekcie szkoła kojarzy się uczniom przede wszystkim ze „szkolną udręką”, czyli z zakazami, nakazami, przymusem, nudą i strachem.

### **Potrzeba akceptacji**

Jest to kolejna, arcyważna składowa potrzeby bezpieczeństwa. Aby czuć się bezpiecznie, dziecko (i nie tylko dziecko, bo dorosłych także to dotyczy) potrzebuje od otaczających je osób sygnałów świadczących o tym, że są one (osoby oczywiście) z niego zadowolone, że dostrzegają i doceniają jego zalety (urodę, umiejętności, zdolności, talenty itd.), że jego towarzystwo jest im miłe oraz że kochają je lub co najmniej lubią, mimo jego ewentualnych wad i niedociągnięć. Sygnałami tymi są powszechnie przyjęte w danej społeczności wyrazy aprobaty, które twórca analizy transakcyjnej, Eric Berne, nazwał, z właściwym sobie poczuciem humoru, „głaskami” (od angielskiego *to stroke* – głas-

kać). Jeden głąsk, czyli podstawowa jednostka aprobaty, to np. pochwała, uśmiech, znaczące dotknięcie, pieszczota, przyznanie racji, słowny wyraz sympatii (tzw. komplement), gest wsparcia (np. pokazanie uniesionego kciuka, „przybicie piątki” itp.), wyrażenie solidarności, podarunek, premia, nagroda, publiczne wyróżnienie, wyrażenie podziwu, okazanie zaufania, zapewnienie o miłości lub sympatii itd., itp. Głąski są bardzo poszukiwanym towarem we wszelkich stosunkach międzyludzkich, a ich uzyskiwanie od innych ludzi stanowi potężny motyw popychający nas do działania i aktywności. Oczywiście, bywa tak, że dorosły człowiek potrafi pracować i działać nie tylko dla głąsków, ale dla „czystej satysfakcji”, z ciekawości czy dla realizacji jakiejś ważnej dla niego, nadrzędnej wartości. Dziecko tego nie potrafi lub potrafi w bardzo niewielkim stopniu, przy czym umiejętność ta pogłębia się wraz z wiekiem. Małe dziecko i nastolatek pracują wyłącznie dla głąsków. Za pracę (mam tu na myśli szeroko rozumianą pracę jako zorganizowane działanie, a więc będzie nią też nauka i zabawa) otrzymują aprobatę (w głąskach), która, wraz z poczuciem przynależności, zapewnia im poczucie bezpieczeństwa.

Szkoła jest bardzo skąpym źródłem głąsków. Dominuje w niej raczej tzw. pedagogika kar, wedle której dezaprobata i kara skuteczniej motywują dziecko do wysiłku niż aprobata i nagroda. Jest to oczywista nieprawda, o której szkoła dobrze wie,

ale w swojej inercji nie jest w stanie przełamać ustalonego stereotypu, zgodnie z którym:

a. Uczeń nigdy nie może czuć się całkowicie „w porządku”, bo to go zdemotywuje i zdemoralizuje. W związku z tym, jeśli nawet ma oczywiste osiągnięcia i po prostu nie można uniknąć udzielenia mu pochwały, winna ona przyjąć wyważoną, „wychowawczą” formę, np.: „No niezłe, Kowalski, ale mogłoby być jeszcze lepiej” albo „Stawiam ci szóstkę, ale na najwyższy u mnie, celujący, musisz jeszcze popracować”.

b. Ucznia nie należy za często chwalić, bo mu to „przewróci w głowie”. Trzeba mu uświadamiać, że osiągnięcia są jego normalnym obowiązkiem, a pochwałę można otrzymać za coś naprawdę ekstra. Pochwała zaś powinna brzmieć, jak w punkcie a.

Stereotyp ten nakazuje też, aby nauczyciel stale „pouczał” ucznia, czyli wyłapywał i uzmysławiał mu wszelkie jego niedoskonałości i uchybienia wobec szkolnych wymagań, szkolnej etykiety i szkolnego *savoir vivre*’u. Spontaniczny wyraz sympatii nauczyciela dla ucznia, jeśli taki w ogóle można sobie wyobrazić, powinien więc wyglądać następująco: „Kowalski, wstań, jak do ciebie mówię, stój prosto, nie kręć się, schowaj za siebie te brudne ręce. Co to, żujesz gumę? Nie? No to przestań ruszać szczęką, popatrz na mnie – chcę ci powiedzieć, że jesteś miłym chłopcem, chociaż, oczywiście, mógłbyś się postarać i być jeszcze miłszym”. Jeśli tego rodzaju

sceny na ogół się w szkole nie zdarzają, to tylko dlatego, że nauczycielom nie przychodzi do głowy jakieś spontaniczne okazywanie uczniom sympatii, nawet gdy zdarza się, że coś takiego do któregoś z nich odczuwają. Pogłaskanie, przytulenie czy inny, ciepły gest w stosunku do małego dziecka (stęsknionego za mamą pierwszaka czy zmartwionego czymś ośmiolatka) jest w repertuarze zawodowym bardzo małej liczby nauczycieli nauczania początkowego, a w stosunku do starszych dzieci nawet bardzo symboliczne gesty wsparcia nie wchodzi w grę, ponieważ są uważane przez szkołę za zachętę do „spoufalania się” i skracania dystansu przez uczniów. Z podobnych względów szkoła wzdraga się przed przyznaniem uczniom racji czy solidaryzowaniem się z nimi. Zagroza to, w jej mniemaniu, autorytetowi nauczycieli i ich dominującej w stosunku do ucznia pozycji. Nie zauważa przy tym, że dzieci nie są zainteresowane w osłabianiu pozycji otaczających je dorosłych. Wręcz przeciwnie. One chcą mieć wokół siebie mądrych, silnych i przyjaznych dorosłych, którzy ustabilizują im środowisko, zakreślą w nim bezpieczne granice i będą je wspierać w zmaganiach z rzeczywistością. Szkoła nie widzi, że dzieci, snując opowieści i fantazje na temat rodziców, członków rodziny, a często i nauczycieli, nierzadko **przydają** autorytetu swoim dorosłym zgodnie ze swoimi emocjonalnymi potrzebami.

Podsumowując, można śmiało powiedzieć, że



szkoła silnie frustruje dziecięcą potrzebę bezpieczeństwa, w wyniku czego zdecydowana większość uczniów boi się do niej chodzić. Prowadzone na ten temat badania mówią, że chłopcy boją się jej częściej niż dziewczęta (dziewczynki są na ogół grzeczniejsze i mają lepszą „prasę” u nauczycieli), a szczególny lęk wobec „nieprzyjaznych działań nauczycieli” wykazują synowie ze słabiej wykształconych rodzin, „o sztywnej, tradycjonalistycznej strukturze interakcji”, czyli takich, w których rodzice sprawują surową władzę, a „dzieci i ryby głosu nie mają”. Nieco mniej boją się szkoły dzieci z rodzin lepiej wykształconych, w których panuje większa elastyczność interakcji, czyli większa zażyłość pomiędzy dziećmi i rodzicami. (Henryk Raszkiewicz, *Kto się boi szkoły*, w: „Psychologia Wychowawcza” 1999 nr 4).

Niektóre dzieci (a jest ich, tylko według statystyk Poradni Psychologiczno-Pedagogicznych i Dziecięcych Poradni Zdrowia Psychicznego, około 40 %, do których trzeba dodać nieznaną liczbę tych, co do poradni nigdy nie trafiły) boją się szkoły tak bardzo, że ich lęk objawia się w postaci mniej lub bardziej poważnych objawów psychosomatycznych i psychiatrycznych. Należą do nich np. występujące przed wyjściem do szkoły wymioty, biegunki i bóle brzucha (około 10% uczniów wymiotuje przed każdym wyjściem do szkoły), bóle głowy i nagłe skoki temperatury ciała (nawet do 40 stopni C), nagłe wysypki i napadowy świąd (np. skóry głowy czy

brzucha, które dzieci drapią nieraz do krwi), uporczywe parcie na pęcherz i popuszczanie w majtki, napady czkawki, zaburzenia rytmu oddychania i omdlenia, nudności, krwotoki z nosa i parę jeszcze innych dolegliwości. Wśród objawów psychiatrycznych dominują najrozmaitsze lęki z fobią szkolną na czele (jest to paraliżujący lęk powodujący najczęściej odmowę pójścia do szkoły), napady niepowstrzymanego płaczu, uczucie pustki w głowie, zaburzenia mowy (nagłe jąkanie się lub zacinanie albo mutyzm, czyli niemożność wydobycia z siebie głosu), natręctwa (np. wielokrotne sprawdzanie tornistra, przymusowe mycie rąk, rozmaite dziwaczne rytuały), bezsenność, lęki nocne, tzw. młodzieńcza depresja itp.

Ta koszmarna lista, obszerniejsza niż rejestr przypadłości biblijnego Hioba, obrazuje bezmiar cierpień, jakich przysparza dzieciom lęk przed szkołą, która przecież z założenia ma być instytucją przyjazną. Zamiast tego jest ważną składową koszmaru dzieciństwa.



Część II

## Czy tak być musi?

*Nie ma dziecka. Jest człowiek.*

Korczak

## 1. Czy dzieciństwo musi być koszmarem?

Wiele wskazuje na to, że przynajmniej do pewnego stopnia – tak. Wzrastanie i rozwój musi nieść ze sobą pewną dozę cierpienia, jest ono bowiem pokonywaniem niezliczonych barier i nakładaniem naturze dziecka twardych więzów cywilizacji i kultury. Zygmunta Freuda jako pierwszy spróbował tak popatrzeć na dziecko i na proces dorastania. Według niego, najważniejsze zdarzenia kształtujące zręby indywidualności i charakteru dzieją się w dzieciństwie, i to stosunkowo wczesnym. Zachodzą one właśnie na styku natury dziecka, czyli jego pierwotnych potrzeb, instynktów i motywów, oraz kultury, czyli wytworzonych przez cywilizację norm regulujących zachowanie się człowieka i jego postępowanie. W procesie wychowania dziecko uwewnętrznia (internalizuje) owe normy, czyniąc z nich wewnętrznego, psychicznego regulatora zachowania, czyli sumienia. Według Freuda pomiędzy trzecim a czwartym rokiem życia sumienie dziecka jest już w zasadzie ukształtowane. Zanim jednak do

tego dojdzie, musi nastąpić niejako starcie z jego naturą i okiełznanie przez kulturowe nakazy pierwotnej dążności do nieskrępowanego zaspokajania potrzeb. Jest to połączone z silną frustracją tych potrzeb i stanowi dla dziecka źródło różnorodnych cierpień. Po tej burzliwej i bolesnej fazie rozwoju, którą starałem się przedstawić w pierwszych rozdziałach niniejszej książki, następuje długi, nieco tylko spokojniejszy okres, kiedy już sumienie raz po raz wchodzi w konflikt z potrzebami i sposobami ich zaspokajania, co znów jest źródłem napięcia, poczucia winy i cierpienia. Freud napisał na ten temat klasyczny już esej pod tytułem *Kultura jako źródło cierpienia*, w którym formułuje ostatecznie tezę, że właściwie przez całe życie człowieka konieczność godzenia jego egoistycznych, gwałtownych potrzeb z uwewnętrznionymi jako sumienie normami i wartościami kultury jest przyczyną większości psychicznych napięć i cierpienia każdego z nas. Z racji braku lub niedostatecznego jeszcze rozwoju tworzących się wraz z doświadczeniem mechanizmów obronnych, za pomocą których psychika usiłuje unikać cierpienia, szczególnie na nie podatne są właśnie dzieci.

Wiele wskazuje na to, że Freud miał rację. Może nie w pełni i nie we wszystkich szczegółach, ale generalnie – tak.

Dzieciństwo nie może więc całkowicie nie być koszmarem, a doznawane przez dzieci cierpienie ma sens, ponieważ jest ceną za przemianę nieokieł-

znanego dzikusa, ulegającego jedynie impulsom własnych potrzeb, w cywilizowanego, kierującego się moralnymi normami uczestnika kultury. Naturalnie nie każde cierpienie ma ten sens w takim samym stopniu, co inne. Trudno np. byłoby doszukać się go w dziecięcej „szkolnej udręce” będącej wynikiem wadliwego funkcjonowania szkoły czy w cierpieniach powodowanych maltretowaniem dzieci i seksualną wobec nich przemocą.

I tak jednak, nawet mimo posiadania owego wyższego sensu, koszmary dzieciństwa, w gruncie rzeczy, nie sprzyjają kształtowaniu się zdrowej osobowości i charakteru człowieka, a cierpienie, mimo swojego wychowawczego znaczenia, jest jednak czymś, co z zasady zagraża ludzkiej wolności i szczęściu. Szczególnie zaś, gdy jest ono udziałem jednostek niedojrzałych, nieposiadających świadomości gotowej do akceptacji bólu i znoszenia go w imię nadrzędnych wartości. Dlatego też warto podejmować starania, aby koszmar dzieciństwa nie był zbyt koszmarny, cierpienie zaś było rzeczywicie tylko takie, jakiego nie da się uniknąć.

W tej części książki starałem się zwięźle i praktycznie opisać niektóre sposoby łagodzenia dziecięcego cierpienia, nawet gdy generalnie jest ono nieuniknione.

## 2. Elixir bliskości

Bardzo często na zdjęciach lub filmach z czarnej Afryki można zobaczyć zajęte różnymi pracami kobiety, do pleców których przytroczone są, za pomocą przemyślnie związanych chust, małe dzieci. Inne czarne matki dźwigają swoje roczne i starsze dzieci w specjalnych zapaskach, usadowione okrajkami na biodrze. Założę się, że niejeden z was, widząc taki obrazek, pomyślał ze współczuciem o znoszących takie niewygody maluchach i uśmiechnął się z wyższością przedstawiciela cywilizacji łóżeczek, leżaczków i wymyślnych, jak pojazdy kosmiczne, dziecięcych wózków. Zupełnie niestuszenie. Jeżeli bowiem ktoś tutaj zasługuje na współczucie, to raczej obarczone słodkimi ciężarami matki, chociaż – z drugiej strony – unikają one zamartwiania się o pozostawione samo sobie dziecko, na które narażone są nasze matki, gdy wykonują jakąś pracę. Jeśli zaś chodzi o dzieci, to wiele wskazuje na to, że należą one do najszczęśliwszych noworodków i niemowląt pod słońcem, a gdyby nie niedożywienie, brak higieny i endemiczne choroby, można by



też o nich powiedzieć, że są otoczone najlepszą z możliwych opieką.

Jak pamiętamy, największą – obok bólu fizycznego – udręką noworodka i wczesnego niemowlęcia jest osamotnienie i pustka polegająca na oddzieleniu od matki oraz na braku bodźców ruchowych, które dziecko odbiera i do których przywyka, będąc w ciele matki. Ruchy matki za pośrednictwem wód płodowych powodują niemal stałe, łagodne ruchy płodu urywające się gwałtownie po przyjściu na świat. Świat ten bowiem, a przynajmniej cywilizowana jego część, uznał, że to, czego najbardziej potrzebuje nowo narodzony jego obywatel, to nieruchome leżenie w łóżeczku przerywane na krótko karmieniami i zabiegami higienicznymi. Tymczasem wiadomo już na pewno, że bezpośrednia bliskość matki i łagodny ruch są tym, co najskuteczniej zmniejsza ból istnienia noworodka. Problem z tym, że bliskości matki nie da się do końca pogodzić z jej konieczną do życia (w tym również do życia dziecka) aktywnością. Natura rozwiązała go najlepiej, jak mogła, tworząc u zwierzęcych matek (mam tu na myśli ssaki, u których okres zależności dziecka od matki jest stosunkowo długi) instynkt każący im prawie każdą chwilę poza zdobywaniem pokarmu spędzać z potomstwem na lizaniu go i czyszczeniu. U naczelnych (czyli u małp) dziecko nawet podczas zdobywania pożywienia nie oddala się od matki, spędzając cały czas wczepione w jej futro. Obrazki zadowolonych małych pawianów podróżujących

na grzbietach swych matek należą do najbardziej zabawnych i sympatycznych, jakie można oglądać wśród zwierząt. Ich sytuacja do złudzenia przypomina położenie, w jakim znajdują się niemowlęta murzyńskich, hinduskich czy japońskich matek spędzające prawie cały czas przynajmniej na ciałach swych rodziców, skoro nie mogą już przebywać wewnątrz nich. Małe dziecko uwielbia przebywać na ciele matki, na jej rękach, przy piersiach, kocha być noszone, delikatnie huśtane, przytulane itd. W sposób widoczny działa to nań uspokajająco, łagodzi ból (np. niemowlęta cierpiące na kolikę pokarmową na rękach matek przestają płakać i prężyć się) i znosi przykre napięcie. Tymczasem cywilizowany świat uznał, że matka tylko krótko może nosić i przytulać swoje dziecko, ponieważ inaczej nauczy się ono przebywać na jej rękach i „rozpuszczone”, będzie protestować przy próbach odłożenia go do łóżka. W tej dziedzinie noworodek nie musi się niczego uczyć, bo pragnienie bliskości z matką przynosi ze sobą na świat, z czego wynika też, że niespecjalnie można go „rozpuścić”, bo przeciw przerwaniu tej bliskości, jeśli tylko będzie czuł, zaprotestuje zawsze.

Cielesna bliskość z matką jest cudownym eliksirem pomagającym w leczeniu wszelkich dolegliwości wczesnego niemowlęctwa i łagodzącym koszmara pierwszych chwil dzieciństwa. Można i należy używać go jak najczęściej. Dzieci mające częsty kontakt z ciałem matki są spokojniejsze, bardziej

wyluzowane, lepiej jedzą i przybierają na wadze i w ogóle lepiej się rozwijają. Przestrogi przed zbytnim niańczeniem niemowląt należą do mitów dziewiętnastowiecznej „czarnej pedagogiki” znakomicie opisanej przez Alice Miller\*.

---

\*Alice Miller, *Zniewolone dzieciństwo*, Media Rodzina, Poznań 1999.

### 3. Sam, ale z tobą

Wszyscy rodzice wiedzą, że ledwie ich pociecha jako tako stanie na nogi, budzi się w niej niepostrzymana ciekawość i poznawcza pasja. Wszędzie chce wejść, wszystkiego dotknąć, za wszystko, co zwisa, pociągnąć, we wszystko, co jest otworem, wetknąć palec albo całą rękę, wszystko, co się da poruszyć – poruszyć, a co da się zrzucić – zrzucić. Jest to bardzo trudny czas zarówno dla rodziców, jak i dla dziecka. Dla rodziców dlatego, że boją się niebezpieczeństw, na jakie badający świat potomek się naraża. Oczami wyobraźni widzą, jak dotyka gorącego żelazka albo szklanki z wrzątkiem, jak włazi na parapet uchylonego okna, jak ściąga na siebie serwetę ze stołu wraz z talerzem gorącej zupy, jak wtyka palec do elektrycznego gniazdka, jak zrzuca sobie na głowę wazon z etażerki itd. Boją się tym bardziej, że potomek, im jest starszy, tym bardziej rwie się do samodzielnego poznawania otoczenia i coraz intensywniej protestuje przeciw nakładanym mu w tej materii ograniczeniom, które są konieczne, bo jego rozmaite umiejętności, zręcz-

ność poruszania się i zdolność oceny sytuacji dalece nie dorównują jego autonomicznym ambicjom. Stąd bierze się frustracja i cierpienie dzieci, których swoboda dla ich własnego bezpieczeństwa bywa drastycznie ograniczana. Halsujący na niepewnych nogach półtorarocznik zostaje w końcu wsadzony do kojca, gdzie siedzi jak nieszczęśliwy aresztant, albo wzięty na szelki, które ciągnie niczym swawolny psiak, pragnąc dostać się do upragnionych rzeczy zakazanych, lub też łąduje w objęciach babci, która woli raczej dźwigać go na rękach (choć drze się i macha chętnymi do biegania nogami) czy więzić na swoich kolanach, niż narazić wnuka na bolesny upadek albo styk z elektrycznym gniazdkiem.

Tymczasem nawet tak małe dziecko posiada już pewną wiedzę o świecie i pewne kompetencje. Ma przecież za sobą cały niemowlęcy okres kontaktu z rzeczami, manipulowania nimi i poznawania ich właściwości. Wie, że przedmioty spadają, przewracają się (piętrzyło przecież klocki i z upodobaniem rozwaląo wzniesione z nich wieże), tłuką, niszczą, drą, a czasami, odbite od prętów łóżka, zbyt mocno naciskane lub ciągnięte, nagle boleśnie „atakują” (odbita piłka wali w nos, naciskany uchwyt od grzechotki „sprężynuje” i daje prztyczka w rękę, ciągnięta z uporem tasiemka urywa się, czego rezultatem jest niespodziewana wywrotka do tyłu itd.). Wszystko to zostało zapamiętane i jest teraz w gotowości do użycia. Jeżeli rodzice zdecydują się nieco zaufać kompetencjom swojego malucha, z pewnym zaskoczeniem odkryją, że:

- Swobodnie „puszczone” i tylko asekurowane dziecko jest z natury ostrożne i do rzeczy nieznanych podchodzi z rezerwą. Jak oszołom-kamikadze zachowuje się tylko wtedy, kiedy uda mu się jakoś wyrwać z babcinego lub maminego aresztu i bardzo się spieszy, żeby coś pomacać czy polizać, zanim znów popadnie w niewolę.

- Malec co prawda chce wszystko sam, ale nie ma nic przeciwko dyskretnej asekuracji ze strony opiekuna. Jego bliskość, jeśli nie wtrąca on się specjalnie w proces badawczy, dziecku nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie. Lubi ono rzeczy wyjątkowo dziwne i ciekawe badać w ten sposób, że jedną ręką trzyma dorosłego, np. za palec, a drugą sięga do nieznanego przedmiotu. W ten sposób tworzy sobie „gorącą linię”, przez którą czerpie poczucie bezpieczeństwa i odwagę.

Gdyby nasz malec umiał w takiej chwili mówić, zapewne powiedziałby: „Chcę wszystko zbadać sam, ale chcę też być z tobą. Bądź przy mnie, ale zaufaj mi i pozwól, abym najpierw sam spróbował sprawdzić, co to jest”.

Posłuchajcie tej niewypowiedzianej prośby waszego dziecka. Pozwólcie mu poznawać świat, stojąc gotowi do pomocy za jego plecami i podając mu zbawczy palec. W takiej pozycji przecież zawsze zdążycie usunąć poza zasięg jego ręki groźny wazon na etażerce albo odgrodzić je od elektrycznego gniazdka. Nie recytujcie mu niekończącej się listy zakazów i nakazów, nie dodawaj-

cie do koszmaru jego dzieciństwa obrazu świata pełnego budzących lęk pułapek. Zaufajcie trochę jego kompetencjom i uwierzcie, że nie jest ono bezrozumnym szaleńcem, który rozbija sobie głowę i ścianę czy ugryzie kawałek szklanki, chociaż i to może mu się zdarzyć, jeśli będzie się spieszyć, żeby wykorzystać chwilę waszej nieuwagi i wyrwać się spod ograniczającej je kurateli.

Wszystko to wymaga, oczywiście, mnóstwa czasu i cierpliwości. Znacznie łatwiej jest wsadzić dzieciaka do kojca, dać go babci do popilnowania albo wymyśleć jeszcze coś innego, żeby tak nie latał (tym „czymś” jest, niestety, bardzo często telewizor – ruszające się obrazki przyciągają uwagę dziecka i pacyfikują je przynajmniej na pewien czas). Warto jednak zdać sobie sprawę z tego, że są to działania sprzeczne z rozwojowym interesem dziecka, przysparzające mu niepotrzebnych cierpień teraz i w przyszłości. Niestety, taki już jest los rodziców, że muszą umieć przeżyć wraz z dzieckiem każdy okres jego rozwoju tak, żeby nie zyskiwał dla niego oblicza koszmaru. Jeżeli ktoś nie jest na to przygotowany, niech lepiej zamiast rodzicielstwa poświęci się hodowli żółwi – zwierzątek, jak wiadomo, mało kłopotliwych.

### **Czego Jaś się nie nauczy, Janek nauczy się szybciej i łatwiej**

W naszym i pewnie nie tylko w naszym kraju bardzo rozpowszechnione jest przekonanie znaj-

dujące swój lapidarny wyraz w znanym porzekad-  
dle: „Czego Jaś się nie nauczy, tego Jan nie będzie  
umiał”. Sugeruje ono, że pewnych, ważnych rów-  
nież w dorosłym życiu „cnót”, takich jak umiowa-  
nie porządku, dbałość o higienę i czystość, uprzej-  
mość, altruizm, szacunek dla starszych itp. , należy  
zacząć uczyć dziecko najwcześniej, jak tylko się  
da, ponieważ tylko wtedy można je na trwałe  
„wbić” w charakter i głowę człowieka. Kobiety np.  
chętnie wierzą w to, że nie umieją gotować albo  
prasować, bo matki nie goniły ich jako dziewczy-  
nek do kuchni lub żelazka, nie wbijały im w głowę  
przepisów na grochówkę i nie demonstrowały  
sztuki rozprasowywania zagniotów. Mężczyźni z  
kolei są przekonani, że nie potrafią np. naprawić  
własnoręcznie wszystkiego, co się w domu psuje,  
albo pamiętać o czyszczeniu butów, bo ich ojco-  
wie – „złote rączki” – nie zaganiali ich do szczotki  
lub do domowego warsztatu i nie uczyli, jak osią-  
gnąć połysk czuba albo jak domowym sposobem  
zrobić tranzystor z biurowego spinacza i rowero-  
wego dynama. Tysiące żywiących podobne prze-  
konania rodziców postanawia nie powtórzyć ta-  
kiego błędu ze swoimi dziećmi. Dziesiątki tysięcy  
matek, oprócz wiary w maksymę o Jasiu i Janie,  
czuje też potrzebę popisania się swoją pociechą,  
która „już w ósmym miesiącu wyszła z pieluch, a  
mając rok, potrafiła posprzątać pokój”. Jak naj-  
wcześniej wyszkolone i do różnych umiejętności  
wdrożone dzieci świadczą o klasie sportowej rodzi-



cielek w tym powszechnym wyścigu matek, o ich troskliwości, zapobiegliwości i innych zaletach. Ledwie więc pociecha opanuje sztukę siedzenia, jest w odpowiednich porach sadzana na nocnik, a ledwie stanie na nogi, słyszy, że po zabawie ma posprzątać zabawki. Zarówno konieczność załatwiania potrzeb fizjologicznych do nocnika, jak i odnośzenia po użyciu zabawek „na miejsce” jest w tym wieku całkowicie dla dziecka niezrozumiała i sprzeczna z jego rozwojowym interesem. Porzekadło o Jasiu i Janie jest po prostu nieprawdziwe. Półtoraroczniak czy dwulatek uczy się wielu rzeczy, które będą mu potrzebne w dorosłym życiu, ale akurat tego – nie. Nie „cnót” typu higiena i umiowanie porządku. Wymaganie ich od niego powoduje jedynie nasilenie się dziecięcego koszmaru o kolejną dawkę poczucia winy.

Pomiędzy pierwszym a drugim rokiem życia dziecko przeistacza się z bezradnego niemowlaka w człowieka całą gębą, który chodzi, biega, poznaje świat wszystkimi zmysłami, opanowuje tajniki języka, czyli uczy się stosunku pojęć do ich desygnatów, przyswaja sobie zaczątki logiki i logicznego myślenia, zapoznaje się z prawem przyczyny i skutku, powoli uczy się, czym jest czas i co znaczą słowa – teraz, przedtem, potem, później itd. I to wszystko w ciągu 365 dni, czyli, odliczając spanie, w ciągu około 4380 godzin. To naprawdę niemało. Ręczę, że tak intensywnego kursu nikt z was by nie wytrzymał i nie zaliczył. Warto więc zastanowić się,

czy w tym okresie obciążać dziecko jeszcze tresurą (bo o świadomym uczeniu się nie ma tu mowy) w zakresie kontroli nad wydalaniem i sprzątania. Tym bardziej że pod koniec tego okresu, bliżej trzeciego roku życia, dziecko zaczyna zwracać większą uwagę na zachowania dorosłych i przejawiać tendencję do ich naśladowania. Potomstwo podgląda wtedy intensywnie, jak też mama i tata załatwiają swoje potrzeby fizjologiczne, i chce robić tak samo. Jest to idealny czas na przeprowadzenie treningu czystości, który trwa wtedy dosłownie kilka dni.

Powrót do natury jest obecnie dominującą na świecie tendencją w opiece nad małym dzieckiem i we wczesnym wychowaniu. Już dawno odstąpiono np. od karmienia niemowlęcia według zegara na rzecz karmienia „na żądanie”. Obecnie za najzdrowsze i najkorzystniejsze rozwojowo uważa się karmienie piersią i to jak najdłuższe, nawet do drugiego, trzeciego roku życia. Zachęca się też rodziców do jak najwcześniejszego, intensywnego kontaktu fizycznego z dzieckiem. Znikają szpitale położnicze, w których dziecko natychmiast po porodzie separowano od matki, dostarczając jej tylko ściśle opakowany i oznakowany tłumoczek do karmienia. Ich miejsce zajmują kliniki, w których kobieta może rodzić w towarzystwie męża i gdzie dziecko, po opuszczeniu łona matki, kładzie się na jej ciele, a potem pozostawia się przy niej, przerywając ten kontakt tylko koniecznymi zabiegami higienicznymi przejmowanymi też przez matkę natychmiast,

kiedy poczuje się ona do tego zdolna. Coraz większym uznaniem cieszą się też porody w warunkach domowych pod opieką lekarza rodzinnego itd.

We wczesnym wychowaniu także zwraca się uwagę na naturalny rytm rozwoju danego dziecka, spokojnie pozwalając mu dojrzeć do pokonania kolejnych jego etapów. W Holandii czy USA fakt używania pieluch przez trzy-, czteroletnie, a nawet i starsze dzieci nie budzi niczyjzego niepokoju ani zdziwienia. Wiadomo bowiem, że prędzej czy później malec zainteresuje się, jak to jest u rodziców (albo u starszego rodzeństwa). Wtedy wyjście z pieluch dokonuje się błyskawicznie. Podążający za tymi tendencjami przemysł stworzył niemal doskonałe pieluszki, w których dziecko może żyć i działać i które oszczędzają rodzicom prawie całej pracy wkładanej kiedyś w utrzymanie malucha w czystości.

Pozwólcie więc swoim dzieciom dojrzeć do zainteresowania się kontrolą wydalania. Nie rozpoczynajcie treningu czystości zbyt wcześnie, bo staje się on wtedy dla dziecka źródłem zupełnie niepotrzebnego cierpienia, które pogłębia koszmara jego dzieciństwa. Pozwólcie mu też dojrzeć do sprzątania, do utrzymywania w czystości ubrań, do dbania o wygląd, do zrozumienia roli towarzyskich konwensów i do wielu jeszcze innych umiejętności potrzebnych w naszym życiu. Czego Jaś się nie nauczy, Janek nauczy się szybciej i łatwiej, jeszcze zanim zostanie Janem. Pamiętajcie też, że Jaś lubi się uczyć. Uczenie się wciąż nowych rzeczy to wręcz

jego pasja, więc jeśli czegoś nie chce się uczyć albo nie daje się nauczyć, to widocznie nie może tego zrobić. Jak ogórek z wiersza mistrza Gałczyńskiego, który dlatego nie śpiewa, „i to o żadnej porze, że widać z woli nieba prawdopodobnie nie może”.

### **Dwa kroki w przód, krok w tył**

Oszołomieni tempem rozwoju dziecka w pierwszym roku życia (już nigdy potem człowiek nie rozwija się tak szybko i tak intensywnie) rodzice, na których oczach dokonuje się niemal z dnia na dzień przemiana ich potomka z wrzeszczącego przewodu pokarmowo-wydalniczego w człowieka, nabierają zazwyczaj przekonania, że rozwój jest nieustającym posuwaniem się dziecka do przodu. Wydaje się on szeroką, prostą autostradą wiodącą od gorszego ku coraz lepszemu. Oczekują, że tak jak ciało dziecka, które staje się coraz większe i sprawniejsze i którego rozwój nigdy się nie cofa (dziecko, jak wiadomo, nie może któregoś dnia zacząć się zmniejszać) – tak też będzie z jego psychiką. Spodziewają się, że wraz z upływem czasu ich pociecha będzie coraz mniej kłopotliwa, stając się coraz mądrzejszą, coraz bardziej zrównoważoną, pojętą, grzeczną i odpowiedzialną osobką. Czeka ich srogie rozczarowanie. W istocie bowiem, trzymając się dalej „drogowych” porównań, rozwój psychiczny dziecka jest nie tyle autostradą, ile gruntową drogą, nierówną i pełną zakrętów, biegnącą do celu nie po

prostej, ale po spirali. Składa się on z naprzemiennie występujących okresów ustabilizowanego postępu i gwałtownych regresji, podczas których wydaje się, że wszystko, co dziecko ostatnio osiągnęło, cofa się i idzie w rozsypkę. Grzeczny, czuły i podporządkowany jednolatek staje się wściekłym, plującym i rzucającym wszystko, co schwyci w ręce, półtorarocznikiem. Pilnujący się mamy, posłuszny trzylatek przeistacza się w wiecznie uciekającego, wrzeszczącego „nie!” trzyipółlatka. Posłuszny, rozsądny i ugodowy dziesięcioletek staje się zadziornym i buntowniczym jedenastolatkiem. I tak dalej. Ledwie rodzice przyjdą do siebie po burzy i zaczynają wierzyć, że najgorsze mają za sobą, nadchodzi następna zawierucha i zachowanie dziecka znów się pogarsza. Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że każda zmiana wymaga uprzedniego zburzenia wcześniej ukształtowanego ładu. Aby zbudować w danym miejscu coś nowego, musimy wszak zburzyć lub zdemontować to, co w owym miejscu zbudowano w poprzednim okresie, choćby nawet była to budowla użyteczna i ładna. Podobnie u dziecka. Żeby mogło ono osiągnąć wyższy stopień równowagi i integracji psychicznej, musi ulec zburzeniu równowaga wcześniejsza, choćby łączyła się ona z zachowaniem lepszym i mniej kłopotliwym dla rodziców. Ojcowie i matki przeważnie nie wiedzą, że jest to prawo rządzące rozwojem ich potomka i mają tendencje do wyznaczania swoich cezur na różnych jego etapach.

„Już jesteś za duży na ssanie smoczka” – mówią dziecku – i «przyjaciół na trudne chwile» znika.

„Musisz już sam jeść. Koniec z pomocą przy ubieraniu. Bajki na dobranoc były dobre, kiedy byłeś mały. Teraz już możesz sam zostać w domu. Koniec z tym przychodzeniem w nocy do naszego łóżka” – dyrygują.

„W szkole nikt ci nie będzie sznurował butów. Na kolonii, jak szybko nie zjesz, to nikt nie będzie na ciebie czekał” – straszą. A wszystko po to, żeby dziecko „szybciej rośło”. Próżny trud. Nic nie będzie się działo szybciej, bo wszystko ma swoje tempo i rytm. Rozwój będzie postępował, czyniąc dwa kroki naprzód i krok w tył, a przyspieszanie go za pomocą rodzicielskich dekretów spowoduje jedynie, że dziecko często będzie nawiedzane przez napięcie, lęk, złość i poczucie winy, czterech jeźdźców koszmarnego dzieciństwa.

Ponadto wywoła w nim skojarzenie, że wzrastanie i stawanie się coraz starszym oznacza ubywanie przyjemnych przywilejów i przybywanie niemiłych obowiązków. Nie warto więc być coraz większym, bo więksi muszą wyrzekać się smoczka, bajek, ciepłej butli mleka na dobranoc, matki i pomocy itd. Najwyraźniej widać te wątpliwości związane ze wzrastaniem u sześciolatków, które widzą i przeczuwają, że zbliża się koniec najwcześniejszego dzieciństwa wraz z jego już „rozpoznanymi” i „oswojonymi” udrękami, ale i z niebagatelnymi przywilejami. Aby powstrzymać lub choćby odwlec

kres tzw. wieku beztroski (najgorsze doświadczenia już zostały zapomniane), „starszaki” bardzo często uciekają w regresję. Stają się bezradne i płaczące jak dużo młodsze dzieci i z uporem powracają do zachowań, od których już odstąpiły (domagają się smoczka, chcą być traktowane jak małe „dzidzie”, nierzadko zaczynają na powrót popuszczać w majtki itp.), jakby chciały zakomunikować otaczającym je dorosłym: „Patrzcie, co mi się przydarza! Wcale nie jestem jeszcze taki duży, jak wam się wydaje”.

I jeszcze jedno. W trudnych chwilach, kiedy dziecko biorąc we władanie choroba, ból lub strach, aby sobie ulżyć w cierpieniu, powraca ono zazwyczaj do wcześniejszych, dobrze znanych i sprawdzonych form zachowania. Może np. domagać się noszenia go na rękach lub pocałowania przez mamę bolącego miejsca, zdarza mu się powrócić do ssania palca albo do kręcenia rożka poduszki (z czym w zasadzie już skończyło), może znów poprosić, abyśmy się z nim położyli do łóżka przy zasypianiu, może powrócić do dziecinnego „pieszczenia się” przy mówieniu albo zrobić cokolwiek innego, co wcześniej przynosiło ukojenie i ulgę. My, dorośli, choć rzadko zdajemy sobie z tego sprawę, zachowujemy się podobnie. W bólu i nieszczęściu płaczemy, wzywamy mamę, domagamy się, aby ktoś bliski dotrzymał nam towarzystwa, ssiemy palce i robimy inne jeszcze rzeczy, o których wiemy z doświadczenia, że pomagają znieść ból, strach i zmartwienie. Pamiętajmy o tym, widząc, jak nasza

schorowana i zboląta latorośl „kręci roga” u poduszki lub toczy po niej tam i z powrotem głową, jakby miała znowu rok. Niech sobie kręci. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, rozstanie się z tym nawykiem bez protestów, napięcia i żalu.

Pozwólcie dzieciom powracać na różnych etapach rozwoju do wcześniejszych jego stadiów. To prawo rządzące ich wzrastaniem. Owe regresje i pozorne załamania się linii rozwojowej są czymś całkowicie normalnym, co nie powinno wywoływać rodzicielskiego niepokoju ani tym bardziej złości na dziecko za to, że się pieści. Im mniej będziemy je poganiać i piętnować za niezgodne z ich wiekiem zachowania, tym szybciej i bez większych problemów od nich odstąpią. Pogódźcie się z tym, że pewnych rzeczy nie da się skrócić ani przyspieszyć i że rozwój waszego dziecka do nich należy. Nie starajcie się też forsownie przyspieszać procesu separacji, narzucając dziecku nazbyt surowe wymagania w zakresie samodzielności i uspołecznienia. Pozwólcie mu uczyć się dawania sobie rady bez was i porozumiewania się z innymi ludźmi w jego własnym tempie i rytmie.

W szczególności zaś starajcie się:

- Nie wyśmiewać i nie zawstydzająć dziecka, kiedy zaczyna się ono zachowywać, jakby było młodsze. Zazwyczaj ma ku temu ważne powody.
- Nie przełamujmy siłą jego obaw i lęków, które wydają się wam w jego wieku bezsensowne i nieadekwatne. Jeśli wasz potomek, choć już z tym dawno skończył, nagle zaczyna się znów bać ciemności, nie



gaście mu na siłę światła i nie zamykajcie go w ciemnym pokoju, żeby się „przełamał”. Raczej zostawcie mu nocną lampkę albo dajcie ręczną latarkę.

Jeżeli wasz śmiały już i rezydentny synek nagle znów zacznie się boczyć na nieznanym mu gości albo, co gorsza, odmówi przywitania się z ciocią, którą już kiedyś poznał, nie karćcie go i nie wypychajcie na siłę, żeby pokazał, że naprawdę jest dobrze wychowany. Niech wam wystarczy, że wy to wiecie.

Jeśli wasz potomek nagle zacznie objawiać lęk przed zwierzętami, chociaż przedtem lazył do każdego psa, którego spotkał, nie zmuszajcie go, żeby pogłaskał kotka albo podszedł do zaprzyjaźnionego pieska. I tak dalej.

- Nie zmuszać dziecka do uprzejmego zachowania się wobec innych dzieci, do dzielenia się z nimi tym, co mają (no, dajże Markowi kawałek czekolady, chytrusie) i do ustępowania im w sporach, sprzeczkach i bójkach. Dzieci mają swój kodeks postępowania i dadzą sobie radę, jeśli nie będziecie im przeszkadzać.

- Nie zmuszać dziecka, aby wbrew sobie nawiązywało kontakty z innymi dziećmi lub było ich inicjatorem. Jeśli w parku pełnym bawiących się dzieciaków wasza pociecha uparcie tkwi przy was, choć strzyże oczami w stronę rówieśników, nie odpychajcie jej od siebie, mówiąc: „Idźże do dzieci, dzikusie – przecież cię nie zjedzą”.

- Nie odrywać uczonego was dziecka od siebie, aby zostawić je w obcym sobie miejscu z nie-

znanymi ludźmi. Nikt, nawet dorosły człowiek nie jest w stanie znieść takiego doświadczenia bez przerażenia i swego rodzaju szoku. Nikt nie jest dostatecznie „duży”, żeby nie cierpieć w takiej sytuacji. Jeśli twoje dziecko wczepia się w ciebie i nie chce zostać w przedszkolu, nie odrywaj go od siebie i nie zostawiaj. Raczej zostań z nim, pozwól mu „oswoić” nowe miejsce i nowych ludzi. Przedszkola powinny dawać rodzicom możliwość pobycia w nich jakiś czas ze swoimi dziećmi. Jeśli praca nie pozwala ci na takie rozwiązanie, poświęć na nie urlop. Po tygodniu czy dwu „pracy” nad tym problemem twoje dziecko, nawet jeżeli nadal nie będzie chętnie, zgodzi się zostać. Zrobi to dla ciebie. Tym sposobem proces separacji posunie się naprawdę o krok naprzód, a nie pozornie, jak to się dzieje przy siłowym rozwiązaniu. W wyniku tego ostatniego lęk dziecka przed oddzieleniem się od ciebie tylko wzrasta, ponieważ traci ono do ciebie zaufanie. Czuje się zdradzone, oszukane i porzucone przez najbliższą mu osobę, czego nie potrafi pojąć ani zaakceptować. Musi pogodzić się z przemocą, bo nie ma innego wyjścia, i po kolejnym „odrywaniu” w końcu się podda, ale będzie się bać i cierpieć, a koszmar jego dzieciństwa stanie się trudniejszy do zniesienia.

## **Seks i okolice**

Bardzo często przychodzący do mnie po pomoc rodzice wspominają o swoim zażenowaniu i

skrępowaniu wobec erotycznej ciekawości swoich dzieci i pytań dotyczących tej sfery, które padają z ich strony. Wynika to bez wątpienia, przynajmniej w znacznym stopniu, ze stylu i sposobu, w jaki sami byli „uświadamiani” przez swoich rodziców, ale nie tylko. U dużej liczby ojców i matek zainteresowanie ich potomstwa narządami płciowymi, tym, skąd się biorą dzieci i co należy zrobić, żeby dziecko powstało, wywołuje niepokój, czy to u dziecka jest normalne, bowiem w potocznej opinii pokutuje wciąż przeświadczenie, że dziecko jest aerotycznym i aseksualnym aniołkiem, który sprawami płci w ogóle się nie zajmuje. Tymczasem, jak to starałem się wcześniej pokazać, dziecko jest istotą erotyczną i sprawami płci interesuje się od bardzo wczesnego okresu swego życia. Już trzy-, czterolatki potrafią pytać rodziców o sprawy związane z rozrodem czy uprawiać bez żadnego skrępowania masturbację, traktując te sprawy równie naturalnie, jak jedzenie lub wydalanie. I tak też powinni traktować je rodzice. Seks jest bowiem, co prawda, rodzajem aktywności ludzkiej powiązanej z takimi wartościami, jak miłość, małżeństwo, rodzina, wierność, zaufanie itd., ale też bez wątpienia jest aktywnością naturalną i normalną dla każdego zdrowego człowieka, będącą zaspokojeniem naturalnych i normalnych jego potrzeb. Naturalnie i normalnie należy też o tym wszystkim mówić.

Rozmowy z dzieckiem o rozrodzie, erotyce i seksie to takie same rozmowy wychowawcze jak

każde inne, wymagające może trochę większego opanowania i odpowiedzialności za to, co i jak się mówi, gdyż dotyczą one najdelikatniejszych spraw pomiędzy ludźmi. Jako rodzic nie możesz się od nich uchylać ani się ich obawiać czy wstydzić. Nie bój się szczerze i poważnie rozmawiać ze swoim dzieckiem o sprawach płci, nie lekceważ jego zainteresowania tymi sprawami i nie zbywaj go byle czym. Przyjmij też kilka rad, które być może pomogą ci to robić odważniej i spokojniej.

- Jeżeli zauważysz sam albo otrzymasz dyskretny sygnał z przedszkola czy szkoły, że twoje dziecko się onanizuje, nie krzycz na nie i nie dramatyzuj. Ono nie ma pojęcia, że robi coś naganego. Porozmawiaj z nim spokojnie i wytłumacz mu, że ludzie umówili się między sobą, iż pewnych czynności nie będą robić poza domem i w otoczeniu innych, szczególnie obcych ludzi. Dlatego nikt nie robi siusiu, nie oddaje kału ani nie chodzi nago po ulicy, w sklepie czy w szkole. Bawienie się swoim penisem (czy waginą) też należy do takich właśnie czynności, zwanych intymnymi, których nie robi się publicznie. Już czterolatek doskonale zrozumie, o co chodzi. Pamiętaj, że problemem nie jest tu onanizm (rzecz całkowicie naturalna, niewinna i nieszkodliwa), ale ewentualne uprawianie go przez dziecko publicznie, w przedszkolu, w szkole czy „przy gościach”, co naraża dziecko na przykrości i urazy wynikające ze społecznej dezaprobaty, a i ciebie na wstyd i zażenowanie.

- Z dzieckiem, które ukończyło szósty rok życia,

najlepiej rozmawiaj o seksie w cztery oczy. Obecność innych osób, nawet współmałżonka czy babci, speszzy przede wszystkim ciebie, a to speszzy i zaniepokoi dziecko.

- Zawsze rozmawiaj poważnie, mimo że seks to nader częsty temat do żartów i aluzji. Dziecko nie jest dla dorosłego partnerem do erotycznych żartów.

- Używaj języka naukowego. Chociaż nieraz brzmi on doprawdy okropnie, to jest jednak lepszy od głupawego zdrabniania i infantylizowania nazw narządów płciowych i czynności seksualnych. Niech twój syn wie, że ma penisa, a nie „patyczka” czy „pimpusia”, a córka waginę zamiast „pusi” czy „cipci”. Nie popadaj jednak w przesadę i o rodzicach powiedz raczej, że kochają się fizycznie, niż że odbywają stosunki płciowe.

- Twoje wypowiedzi powinny być dostosowane do poziomu rozumienia dziecka. Maluchowi odpowiadaj krótko i rzeczowo. Z dwunastolatkiem możesz już pogawędzić.

- Jeśli czegoś nie wiesz, nie zgaduj i nie „haftuj”. Powiedz uczciwie, że nie wiesz, ale się dowiesz, i dotrzymaj słowa. Twój autorytet na tym nie ucierpi.

- Nie oburzaj się i nie śmiej, kiedy dziecko powtórzy ci wulgarne wyrażenia lub bzdury na tematy seksualne usłyszane od kolegów. Spokojnie i poważnie koryguj podwórkową wiedzę. Syn lub córka tego od ciebie oczekują i dlatego ci o tym mówią. Chcą znać prawdę i uważają cię za jej źródło.

- Małe dzieci (do 10-11 roku życia) pytają przede wszystkim o to, jak powstają i rodzą się dzieci. Odpowiadaj na te pytania poważnie i prawdziwie, używając naukowych nazw (np. plemnik, sperma itd.), chociaż możesz się posługiwać różnymi porównaniami – np. komórki jajowej do nasionka, a spermy do płynu do podlewania nasion. Nie bój się zaufać swojemu wyczuciu i wyobraźni.

- Dorastające dzieci często pytają, czy życie płciowe to grzech, chcą wiedzieć, co to aborcja i antykoncepcja. Musisz być przygotowany do udzielenia im prawdziwych odpowiedzi, w których będziesz umiał oddzielić obiektywną wiedzę od tego, w co wierzysz i jakie poglądy wyznajesz. Nazywaj wiedzę wiedzą, a poglądy poglądami.

- W rozmowach ze starszymi dziećmi staraj się pokazywać, że seks to nie tylko zapewnienie sobie erotycznej przyjemności, ale ważna część więzi uczuciowej wiążącej dwoje ludzi.

- Zawsze podkreślaj, że seks jest atrybutem dorosłości, ponieważ łączy się on z odpowiedzialnością za jego skutki i za partnera. Dlatego we wszystkich znanych kulturach ustalono czas, kiedy seks jest niepożądany i zakazany. W naszej kulturze taki prawny zakaz obowiązuje do piętnastego roku życia, a społeczną dezakceptacją objęte jest podejmowanie aktywności płciowej przed osiemnastym rokiem życia.

- Nie unikaj pytań o dewiacje seksualne. Jeżeli twoje dorastające dziecko (młodsze zazwyczaj o

takie rzeczy nie pytają) zapyta cię – kto to jest „gej” czy „pedofil”, odpowiedz mu zgodnie z prawdą. Pamiętaj też, że w seksie dorosłych ludzi prawie nic nie jest perwersją czy „zbożeniem”. Jednak zaznacz też, że są sposoby zapewniania sobie erotycznej satysfakcji niezgodne z prawem i stanowiące przestępstwo. Należą do nich: używanie przemocy i zastraszanie, aby zmusić kogoś do uprawiania seksu, oraz wykorzystywanie do celów seksualnych osób, które nie są świadome tego, co robią, i nie rozumieją tego, co się z nimi dzieje. Dlatego zgwałcenie oraz uprawianie seksu z osobami upośledzonymi umysłowo i z dziećmi jest ścigane przez prawo.

- Poucz też swoje małe dzieci (da się to zrobić już mniej więcej od piątego roku życia), że żaden dorosły nie może żądać od nich obnażenia się i nie może dotykać ich genitaliów, pośladków czy piersi. Powiedz im, że gdyby ktoś próbował to robić, mają uciekać, wzywać pomocy i natychmiast o wszystkim powiedzieć mamie.

- Ze starszymi dziećmi nie unikaj rozmów o pornografii czy o seksualnym molestowaniu. Nie bój się wraz z twoim dorastającym synem czy córką obejrzeć np. fragmentu pornograficznego filmu albo „świerszczyka”. Twój rzeczowy komentarz pozbawi owe „dzieła” (z którymi twoje dziecko prędzej czy później się zetknie albo już się zetknęło) aury tajemniczości i zakazanego owocu. Rzetelna, dostosowana do wieku i świadomości wiedza na temat życia seksualnego jest najlepszą obroną dziecięcej psychiki przed urazami i

nadużyciami w tej sferze. Dziecko, które wie, „co jest grane”, nie da się obcemu „wujkowi” zaprosić do jego mieszkania ani nie pozwoli się np. sąsiadowi rozebrać pod pozorem „lekarskiego badania”. Ma ono znacznie większe szanse uniknięcia seksualnego napastowania niż to, które nic nie kojarzy i jest bezkrytycznie ufne wobec każdego dorosłego.

- Jeśli te rady znajdą zastosowanie u rodziców, będzie można powiedzieć, że ich dzieci odebrały w rodzinie wychowanie seksualne, a tym samym zmniejszy się szansa, że erotyka i seks staną się źródłami koszmaru ich dzieciństwa. Wszyscy ci, którzy nawołują do ograniczenia edukacji seksualnej lub wiążą ją jednoznacznie z religią, oddają dzieciom niedźwiedzią przysługę, pozbawiając je bardzo istotnych informacji o motywach ludzkiego postępowania, o innych ludziach i o sobie samych. Życie w poczuciu winy i grzechu z powodu własnych potrzeb erotycznych jest dla psychiki i życia społecznego człowieka tak samo niszczące, jak traktowanie seksu jedynie jako źródła niczym nieskrępowanego użycia i powierzchownej przyjemności. Prawda o seksie leży gdzieś pośrodku, pomiędzy tymi skrajnościami. Dając dziecku rzetelne wychowanie seksualne, rodzice powinni pomóc mu tę prawdę odszukać.

### **Czas przyjaźni**

Dorastanie to przede wszystkim okres długotrwałego kryzysu w stosunkach pomiędzy dziećmi



a rodzicami będącego źródłem cierpień dla jednych i drugich. Po raz pierwszy od przyjścia dziecka na świat więź uczuciowa pomiędzy nim a matką i ojcem zostaje poddana tak poważnej próbie. Składają się na nią z jednej strony – gwałtowny bunt dziecka przeciwko większości form swojej zależności od rodziców, i z drugiej – opór rodziców przed rezygnacją z zależnościowego układu z dzieckiem na rzecz relacji bardziej partnerskich, uznających autonomię obu stron. Bunt dziecka wynika z jego rozwoju, z szybko zmieniających się w tym czasie jego potrzeb społecznych i psychicznych, opór zaś rodziców jest rezultatem ich obaw o bezpieczeństwo dziecka oraz o to, by doraźne decyzje i wybory nie zniweczyły jego szans na przyszłość. Starcie się ze sobą obu stron przynosi ważną zmianę we wzajemnej relacji: dzieci odkrywają bezradność rodziców wobec ich uporu i determinacji, a rodzicom owa bezradność zostaje boleśnie uświadomiona. Przekonują się oni, że ich rodzicielski autorytet nie wynika z samego faktu bycia matką czy ojcem i że nie został im dany raz na zawsze. Powstaje sytuacja, w której rodzice już nic lub prawie nic nie mogą zrobić z dzieckiem bez jego zgody i akceptacji. Nie potrafią już zmusić go do uległości czy wyegzekwować swoich nakazów i zakazów. Dziecko zaś doznaje bolesnego zawodu, bowiem, w jego odczuciu, ci, których wsparcia jeszcze bardzo potrzebuje, okazują się nierozumiejącymi go egoistami, troszczącymi się tylko o to, żeby mniej się bać. Pełne zło-

ści i żalu dokłada więc starań, żeby im się to przypadkiem nie udało. Rezultatem jest pogłębiająca się wzajemna wrogość, która prowadzi do coraz to nowych prób sił. Rodzice mnożą zakazy i nakazy, a dziecko z przekornym upodobaniem łamie je, udowadniając rodzicom wciąż na nowo ich bezradność. Żadne jednak próby sił nie są w stanie zmienić tej sytuacji, bo rozwiązania siłowe żadną miarą nie mogą być z niej wyjściem. Obie strony są skazane na koegzystencję (rodzice nie mogą opuścić nieletniego dziecka, a dziecko, jako niepełnoletnie, nie może żyć całkiem niezależnie i po swojemu), więc zerwanie stosunków nie jest możliwe, nie mówiąc już o względach uczuciowych, które nie pozwalają rodzicom i dzieciom nawet na, powiedzmy, obojętne traktowanie się.

Jedynym wyjściem jest doprowadzenie do tego, że dziecko będzie chciało, a nie musiało uwzględnić w swoim postępowaniu postulatów rodziców, ponieważ uzna je za słuszne. A uzna je za słuszne, kiedy będzie lubiło i darzyło szacunkiem ich autorów. A będzie ich lubiło i szanowało, jeśli oni zmienią swoje postępowanie i postarają się, aby czas zależności zmienił się w czas przyjaźni. Wielokrotnie pytałem i nadal pytam moich dorastających rozmówców, czy możliwe jest zaprzyjaźnienie się z własnymi rodzicami? W pierwszym odruchu większość z nich patrzyła na mnie jak na wariata. „Zaprzyjaźnić się? Ze starymi?” – upewniali się z niedowierzaniem. To niemożliwe, nie da się – orzekali. Nie rozumieją nic, nie mają pojęcia, jacy jesteśmy – argumentowali.

„Moja matka tylko mnie krytykuje – skarży się pewna piętnastolatka. – Nie podoba jej się nic, dosłownie nic: ani moje stroje, ani koledzy, ani poglądy. Jak ja mam się z nią zaprzyjaźnić?”

„A moja – wcina się jej najeżony rówieśnik – o czym bym nie wspomniał, tylko jęczy: ucz się, ucz się, ucz się. Jaka tam z nią przyjaźń?”

„Mój ojciec przy każdej okazji wyśmiewa się ze mnie – mówi inna nastolatka. – Robi sobie jaja ze wszystkiego, co powiem, bo ja dla niego jestem dziecko i już. Nie znoszę go”.

„A mój tylko mnie oczernia – dorzuca jeszcze inna. – Wygaduje o mnie niestworzone rzeczy do każdego, kto chce słuchać. Plotkuje nawet ze swoimi kolegami, jaki to ze mnie brudas, bałaganiara i nieuk, chociaż nic z tego nie jest prawdą. To mój wróg, a nie przyjaciel”. I tak dalej.

Takich i podobnych wypowiedzi mógłbym przytoczyć całe mnóstwo, bo już od dawna zadaję nastolatkom to moje pytanie. Mają one jedną, wspólną cechę. Wynika z nich mianowicie, że dorastający przeważnie nie lubią i nie cenią swoich rodziców. Ich opinie i dobre rady przyjmują nieufnie, z irytacją i złością. Uważają matki i ojców za hipokrytów i kłamców, chociaż sami przed kłamstwem się nie wzdragają, twierdząc, że jest ono obroną przed rodzicielskim wścibstwem i niedyskrecją. Krótko mówiąc, możliwość zaprzyjaźnienia się z własnymi rodzicami uważają za nierealne mrzonki, bo przyznają też, że niejednokrotnie ma-

rzą o tym, żeby mieć w rodzicach przyjaciół, których, generalnie, bardzo w tym okresie swojego życia poszukują. Niestety, nie da się, konstatują w końcu z żalem i złością.

Wypytywani dalej – co też rodzice musieliby zrobić, żeby było to możliwe, stosunkowo bez wahania i zgodnie wymieniają trzy warunki, które ojcowie i matki powinni spełnić, jeżeli pragną być przyjaciółmi swoich dzieci.

- Powinni być zawsze po stronie swojego dziecka, czyli nigdy i w żadnych okolicznościach nie mogą stawać po stronie tego, kto je atakuje. Choćby nawet miał rację. Przyjaciół nie może być obiektywny czy sprawiedliwy – mówią nastolatki. Przyjaciół ma być niezawodnym sojusznikiem, na którego zawsze można liczyć, również wtedy, kiedy zrobiło się jakieś głupstwo czy zachowało się w sposób nie przynoszący zaszczytu. W domu, w czterech ścianach i w cztery oczy przyjaciel może nas skrytykować i wygarnąć nam, co myśli o naszym postępowaniu, ale na zewnątrz, wśród ludzi musi zawsze twardo stać po naszej stronie.

- Muszą być dyskretni. Co ci dziecko powiedziało, rodzicu, to jak w studnię. Nie możesz tego powtórzyć babci, cioci czy koleżance i, przede wszystkim, nie możesz tego „wypomnieć” lub wykrzyknąć przy najbliższej sprzeczce.

- Muszą dziecko traktować poważnie. Przyjaciół nie może lekceważyć tego, co mówię, nie może mnie wyśmiać lub choćby nieuważnie słuchać, kie-

dy mam mu coś ważnego dla mnie do powiedzenia – powtarzają dorastający.

Prawda, jakie to proste? Tym bardziej że my, dorośli, w gruncie rzeczy stawiamy identyczne wymagania naszym przyjaciołom. Nikt z nas nie nazwie przyjacielem kogoś, kto nie trzyma naszej strony i przyznaje rację albo wspiera tych, co nas atakują. Nie będzie też naszym przyjacielem osoba, która rozpowiada innym to, co jej w zaufaniu powiedzieliśmy, ani taka, która traktuje nas jak dziecko albo jak półgłówka. Cenimy sobie wysoko lojalność, dyskrecję i poważne traktowanie naszych spraw. Znamy ich wartość, ale nie w stosunku do naszych dzieci, bo to przecież tylko dzieci, a my jesteśmy aż rodzicami. Nad wyraz łatwo przyznajemy rację tym, którzy nasze dzieci krytykują i atakują – nauczycielom, sąsiadom, dozorczy i Bóg wie jeszcze komu – bo sądzimy, że jest to słuszne wychowawczo i że tym ludziom zależy na tym, żeby nasze dzieci były lepsze. Tymczasem im najczęściej zależy wyłącznie na świętym spokoju albo na innych, własnych interesach, a los naszych dzieci nic ich nie obchodzi. Dorastający to czują i nie mogą pojąć, dlaczego najbliżsi im ludzie biorą stronę takich osób przeciwko tym, których podobno kochają ponad wszystko i których dobro jest dla nich najważniejsze. W ich młodzieńczym idealizmie i egzaltacji taka nielojalność nie mieści im się w głowach, a jedynym jej wytłumaczeniem staje się przypisywanie rodzicom egoizmu i głupoty, których dotychczas

nie dostrzegały. To z kolei pociąga za sobą coś, czego dla odmiany matki i ojcowie nie są w stanie znieść, czyli odcięcie ich od wszelkich informacji o życiu dziecka, o jego myślach, zamiarach, problemach, i zastąpienie ich kłamstwami, które mają „starych” wywieść w pole, a młodym zapewnić choć chwilę wytchnienia od wścibstwa i namolności rodzicieli. Nieuchronnie wychodzące na jaw kłamstwa upewniają rodziców, że ich latorośle nie zasługują na autonomię i poważne traktowanie oraz że wzmożenie nadzoru i represji za nieprzestrzeganie rodzicielskich nakazów jest jedynie słuszną drogą postępowania. Powstaje błędne koło czasu dorastania. Im bardziej rodzice nasilają kontrolę, tym bardziej dziecko jest zbuntowane. Z obu stron padają ciosy będące źródłem cierpienia. Nie ma wygranych. Wszyscy są przegrani i rozgoryczeni. I tak będzie, dopóki rodzice nie zrozumieją, że ich rola, jako kontrolerów i programatorów życia ich córek i synów, skończyła się wraz z końcem dzieciństwa i początkiem młodości i dopóki dzieci nie zrozumieją, że w swoim dążeniu do autonomii nie mogą narażać rodziców na lęk przekraczający próg ich tolerancji.

Czas przyjaźni nastąpi wtedy, kiedy rodzice będą umieli powiedzieć swojemu dorastającemu dziecku: „Dajemy ci swobodę i obdarzamy cię naszym zaufaniem, bo rozumiemy, że musisz teraz zacząć na własną rękę budować swoje samodzielne życie”. A dziecko odpowie: „Będę z niej korzystał tak, żebyście codziennie nie umierali ze strachu o mnie”.

## **Pomiędzy szkołą a domem, czyli jak nie dać się zwariować**

W jaki sposób szkoła doprowadza do tego, że większość uczniów boi się jej jak ognia, usiłowałem pokazać w pierwszej części niniejszej książki. Tu chciałbym skupić się na roli domu i rodziców w powstawaniu takiej sytuacji. A jest ona niebagatelna.

Przyglądając się bliżej wystraszonej uczniom, łatwo stwierdzić, że nie tyle boją się oni szkoły, ile tego, co następuje w związku ze szkołą w ich rodzinnych domach.

Z chwilą rozpoczęcia się, nauka i jej postępy stają się dla większości rodziców głównym kryterium oceny dziecka i jego akceptacji w rodzinie. To, jak się potomek uczy i czy sprawia kłopoty w szkole, staje się ważniejsze od tego, jak on się czuje, jakim jest dzieckiem, jakie ma mocne strony i talenty i jak się sprawuje w domu. Nawet najgrzeczniejsze w domu dziecko, jeśli „rozrabia” w szkole i otrzymuje w niej negatywne oceny, najprawdopodobniej zostanie przez rodziców gorzej ocenione niż takie, które nie jest grzeczne ani miłe, ale dobrze się uczy. Dzieci bardzo szybko wychwytyją tę zmianę w nastawieniu rodziców do siebie i w ich umysłach utrwała się nowe prawo: o najważniejszej dla siebie sprawie, czyli o tym, na ile rodzice kochają je i akceptują, decyduje teraz szkoła i (najczęściej) pani nauczycielka. Od tego, co powie ona rodzicom na twój temat, zależy, ile i jakich głasków dostaniesz od mamy i taty. Dlatego pierwszaki z takim

uwielbieniem i oddaniem traktują swoje „panie”. Czują, że stały się one bardzo ważnymi, może nawet ważniejszymi niż rodzice osobami w ich życiu. W tym też momencie rodzi się strach przed szkołą, bo może ona łatwo spowodować, że dziecko będzie mniej przez rodziców akceptowane albo akceptowane z zastrzeżeniami, czyli, w jego odbiorze, mniej kochane. Tak dokonuje się ostateczna przemiana bezwarunkowej akceptacji z wczesnego dzieciństwa w akceptację warunkową. Dziecko przestaje odczuwać, że jest przez rodziców kochane bez żadnych warunków, za samo to, że jest, i zaczyna rozumieć, że teraz będzie akceptowane (lub nie) za to, jakie jest. Główną przyczynę tej zmiany całkowicie słusznie upatruje malec w szkole. Szkoła zaś doskonale zdaje sobie sprawę ze swojej pozycji w rodzinie i bezwzględnie wykorzystuje ją do swoich celów, czyli do zrzucenia na rodziców całości zadań wychowawczych i sporej części zadań dydaktycznych. Donos na dziecko skierowany do jego rodziców, nazywany eufemistycznie „współpracą rodziny i szkoły”, stał się w Polsce tak powszechnie stosowany, że nikomu nie przychodzi do głowy zastanowić się, o co tutaj właściwie chodzi. Rodzice odbierają ze szkoły niezliczone telefony informujące ich, jak źle się ich dziecko zachowało lub czego się nie nauczyło, uczestniczą w zebraniach, gdzie słyszą na okrągło, jak to nauczyciele nie radzą sobie z ich dziećmi, są wzywani „na dywanik” do nauczycieli, sztorcowani i zastraszani, ale nie widzą w tym nic dziwnego. Zupełnie jakby uznawali za normalną sytuację, w któ-



rej wezwany do pękniętej rury hydraulik oświadcza, że nie poradzi sobie z naprawą usterki, ponieważ mają wyjątkowo beznadziejne rury, więc sami są sobie winni, a on za chwilę wystawi im rachunek, bo jednak przyszedł i fachowo stwierdził, że się nie da nic zrobić. Rodzicom nie przychodzi do głowy, że powinni powiedzieć szkole, żeby o postępach w nauce i zachowaniu w klasie rozmawiała z uczniami, bo na tym polega jej wychowawcza rola i za to nauczyciele dostają pieniądze. Matkę czy ojca ma prawo nie obchodzić, że pani nie radzi sobie z ich dzieckiem, i powinni w takim wypadku jedynie wyrazić nadzieję, że na miejsce tej nieradzącej sobie szkoła zatrudni kogoś bardziej kompetentnego, kto sobie poradzi. Zamiast tego zastraszeni i ogłupieni przez szkołę przytaczają się do niej i stają przeciwko swoim dzieciom, gnębiąc je, krytykując i robiąc z domu przedłużenie szkoły, po to, żeby wyręczyć nauczycieli w ich obowiązkach i dać im więcej czasu na to, co najbardziej lubią robić, czyli na ocenianie i stawianie stopni. Zamiast uczyć i wychowywać swoich uczniów, nauczyciele zajęci są „realizacją programu”, czyli odbyciem określonej liczby lekcji na określone tematy bez względu na to, czy w ich wyniku ktoś się czegoś nauczy, czy nie, wywierają na rodziców presję, aby to oni siedzieli ze swoimi dziećmi przy lekcjach, sprawdzali im prace domowe, kontrolowali zeszyty i w ogóle zadbali o to, żeby dzieci coś jednak umiały. To rodzice mają wbić pociechom do głowy tabliczkę mnożenia, twierdzenie Pitagorasa, budowę cewki Malpigniego i wszystkie inne rzeczy,

na które „realizujący program” nauczyciel nie miał czasu. W ten sposób rodzice przestają być rodzicami, stając się dodatkowymi nauczycielami, a szkoła rozciąga swoje porządki i obyczaje na dom i rodzinę ucznia. Ojcowie i matki w ramach pełnienia wobec dziecka swoich przyrodzonych ról powinni je oczywiście wychowywać i różnych rzeczy uczyć, ale akurat nie tych, których zobowiązuje się nauczyć je szkoła, i nie w taki sposób, jak to szkoła robi. Tymczasem rodzice często nie mają czasu na wywiązywanie się z rodzicielskich zadań, bo zostają przez szkołę zaprzęgnięci do realizacji za „friko” jej zadań i jej zobowiązań. Jest w tym jakieś głębokie nieporozumienie, nad którym nikt się jednak nie zastanawia, bo szkoła w utrzymaniu takiej sytuacji jest żywotnie zainteresowana, a rodzice sądzą, że tak ma być, bo zawsze tak było. Poza tym boją się „postawić” szkole, ponieważ wiedzą, że może się to fatalnie odbić na losie ich dziecka wydane go na łaskę i niełaskę wszechwładnych pedagogów. Udowodnienie, że nauczyciel (co nader często ma miejsce) był wobec dziecka niesprawiedliwy, złośliwy czy mściwy, jest tak trudne, że praktycznie rzecz biorąc, niemożliwe. Rodzice to wiedzą i dlatego wolą być wobec szkoły ulegli i podporządkowani, chociaż nieraz krew im się przeciw temu burzy. Dla dobra dziecka zaciskają jednak zęby i nic nie mówią. Tymczasem dziecku to wcale nie wychodzi na dobre. Uczniowie, nawet ci najmłodszy, są bowiem istotami bardzo spostrzegawczymi i myślącymi jeszcze bez stereotypów i skostniałych nawyków. Dzięki temu dość szybko za-

czynają dostrzegać ułomności szkoły, jej niesprawiedliwość, niewrażliwość na uczniowskie sprawy, zakłamanie, brutalność w traktowaniu dziecięcych i młodzieńczych uczuć i tym podobne zjawiska. Równie szybko staje się dla nich oczywiste, że nauczyciele nie są bynajmniej tacy, za jakich chcieliby uchodzić i jakich chciałyby mieć dzieci, czyli sprawiedliwi, spokojni, mądrzy, obiektywni, wrażliwi, opiekuńczy itd. Kiedy zaś próbują powiedzieć o tym swoim najważniejszym i najbliższym osobom, rodzicom – okazuje się, że ci stają po stronie szkoły, twierdząc, że to, co dzieci czują, widzą i rozumieją, albo nie ma miejsca, albo jest przez nie źle odbierane. „Ty się więcej ucz i bardziej się staraj, a nie stawiaj” – mówią. Taka zdrada jest dla dziecięcej psychiki bolesnym ciosem. W jej wyniku uczniowie nie tylko czują się wobec szkoły samotni i bezradni, ale też stają wobec dramatycznego wyboru: albo stracić zaufanie do rodziców, albo zaprzeczyć temu, co mówi ich rozum i serce. Na utratę zaufania do rodziców nie mogą sobie pozwolić, bo na nim opiera się ich poczucie bezpieczeństwa, a faktom po prostu zaprzeczyć się nie da. Wobec tego jedyne, co im pozostaje, to wyeliminować sprawy szkoły z kontaktów z rodzicami i nie doprowadzać do sytuacji tego bolesnego wewnętrznego rozdarcia. I tak się dzieje. Dzieci przestają mówić rodzicom o szkolnych sprawach, a na ich pytanie „jak tam w szkole?” uczą się odpowiadać „w porządku” bez względu na faktyczny stan rzeczy. Od tej pory będą żyć w strachu. Będą się bać szkoły jako potencjalnego źródła informacji o tym,

że jednak nie jest „w porządku” (a wobec szkoły prawie nigdy nie można być „w porządku”), co może spowodować zmniejszenie się akceptacji ze strony rodziców. Ów strach jest tym silniejszy, im większy wpływ mają sprawy szkolne na stosunek rodziców do dziecka. Im bardziej matki i ojcowie są wobec szkoły ulegli i podporządkowani, tym bardziej boi się ich dziecko.

Czy tak być musi? Czy szkoła i edukacja nieuchronnie muszą się stać dla dziecka obszarem cierpienia? Oczywiście nie. Aby tak nie było, wystarczy, że rodzice będą **po stronie dziecka** i udzielą mu wsparcia w jego przeprawach ze szkołą. Ojcowie i matki na ogół obawiają się przyznać dziecku rację, co do jego zarzutów wobec szkoły, i podzielić jego zdanie, nawet wtedy, gdy naprawdę uważają, że ich potomek ma słuszność. Sądzą bowiem, że dziecko rozzuchwalone otrzymanym wsparciem pójdzie np. do nauczyciela i powie: „Ja i moja mama uważamy pana za niesprawiedliwego i złośliwego”, czym sobie tylko napyta biedy. Tym samym odmawiają swojemu dziecku zdrowego rozumu i rozsądku. Dzieciom nie chodzi bowiem o wygrywanie jakichś potyczek ze szkołą. Wiedzą, że jest to bardzo trudne, jeżeli w ogóle możliwe. Im chodzi o to, żeby w domu było „w porządku” i żeby mogły poczuć za sobą twarde ramię wspierającego ich rodzica. Żeby były pewne jego akceptacji i miłości, której nie zmieni byle donos ze szkoły.

Wielu rodziców żywi także przeświadczenie, że wspieranie dziecka przeciwko szkole jest niepeda-

gogeniczne, bo osłabia jej autorytet. Aż dziw bierze, jak może w takim razie być pedagogiczne wspieranie szkoły tam, gdzie i według dziecka, i według wewnętrznego przekonania rodzica nie ma ona racji? Jeśli zaś chodzi o autorytet, to aby można go było osłabić, musiałby on najpierw istnieć. Szkoła, stawiając na strach i terror jako swoje narzędzia, sama wyrzekła się autorytetu, który przecież jest odmianą głębokiego szacunku, jaki osoba czy instytucja wzbudza w ludziach.

Nie można szanować kogoś, kogo się boimy i kogo nie lubimy. Szkoła od dawna uważa za autorytet lęk i niechęć, jaką uczniowie wobec niej odczuwają.

Rodzice powinni wiedzieć, że szkoły nie trzeba ani kochać, ani jej nienawidzić. Szkoda na to energii. Szkołę należy po prostu skończyć i iść dalej. Jest ona bowiem w życiu człowieka jedynie epizodem, i to nie najważniejszym, oraz środkiem umożliwiającym osiągnięcie innych życiowych celów. Ona sama w sobie nie jest i nie powinna być życiowym celem, chociaż często zachowuje się tak, jakby stanowiła cel jedyny i najważniejszy.

Rola rodziców polega między innymi i na tym, aby umieli pomóc swoim dzieciom umieścić szkołę na właściwym miejscu w ich życiu i nie dopuścić do tego, żeby zatrąła ich i tak nielekkie dzieciństwo strachem i cierpieniem. Doświadczenie uczy, że dzieci, które mają wsparcie rodziców oraz są przez nich akceptowane i poważnie traktowane, poradzą sobie z każdą, nawet najgorszą szkołą.

# Spis treści

Słowo od autora    5

Oblicza koszmaru    11

1. Dziecko – kto to jest?    13
2. Dziecko i miłość    36
3. Chaos i ból    58
4. Oporna i tajemnicza materia świata    66
5. Udręki cywilizacji    79
6. Piekło – to inni    92
7. Erotyzm i seks    111
8. A mówili, że mnie kochają    132
9. Szkoła jako obszar cierpienia    152

Czy tak być musi?    173

1. Czy dzieciństwo musi być koszmarem?    174
2. Elixir bliskości    177
3. Sam, ale z tobą    181